tygodnikprzeglad.pl

Przegląd

Nr 35 (1390)
24-30.08.2026
Cena 10,90 zł
(w tym 8% VAT)

Maciej Berek
Bitwa o Trybunał Konstytucyjny

Kim jest Andrij Sadowy, mer Lwowa?

Joanna Rawik
Artystka, człowiek lewicy



PROF. STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA

KUSTOSZ KRESOWEJ ATLANTYDY

ISSN: 1509-3115 Indeks: 353299

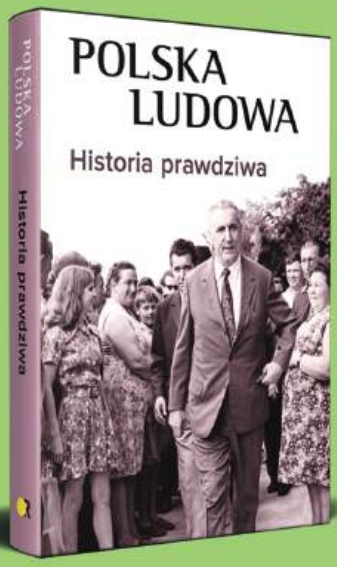
ISSN 1509 3115 35 >
9 771509 311607

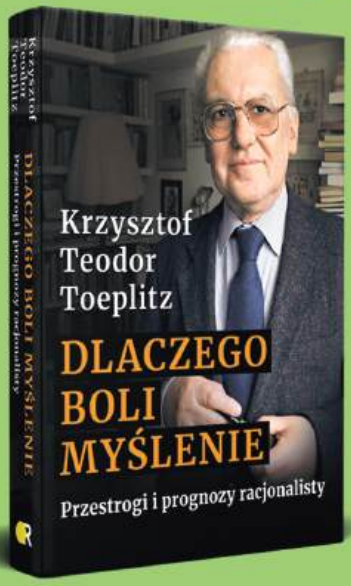
eprasa.pl a4cc490153

Wakacje z książką PRZEGLĄDU

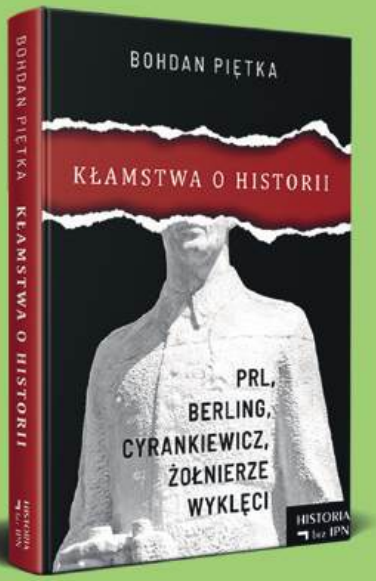
20% taniej











Przegląd

Promocja obowiązuje do 30 sierpnia 2026 r.

sklep.tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a4cc490153



Jerzy Domański

MÓJ PRZEGLĄD

Szarlatani dziękują Nawrockiemu

Trafił się naszej ojczyźnie – i tak nad miarę dotkniętej nieszczęściami – prezydent, który sam w sobie jest problemem. Doszukiwanie się w tym, co mówi, czegoś głębszego ma taki sens jak jego wystąpienie na defiladzie z okazji Święta Wojska Polskiego. Pan prezydent raczył chwalić naszych dzielnych obrońców Monte Cassino. Wychodzi więc na to, że on może być ukrytą opcją niemiecką, której w Polsce szuka ekipa prezesa Kaczyńskiego. Oczywiście każdy może się przejęzyczyć i każdy może pomylić karty historii, ale były prezes IPN, niezależnie od tego, jak marna to instytucja, powinien mieć elementarną wiedzę. Chyba że zgubił snusy i był na głodzie nikotynowym. Wiadomo, że w takiej sytuacji człowiek przestaje trzeźwo myśleć.

Nim Polacy znający historię II wojny światowej wyszli z szoku, prezydent Nawrocki wprawił w osłupienie świat medyczny, nie podpisując ustawy „lex szarlatan". Skierował ją do Trybunału Konstytucyjnego. Czyli do instytucji, którą z premedytacją rozwala. Skandalem jest to, co robi z czwórką wybranych przez parlament nowych sędziów TK.

Za decyzją Nawrockiego w sprawie „lex szarlatan", podobnie jak za wetami w sprawie kryptowalut, stoją interesy polityków Konfederacji – Bosaka, Mentzena i Brauna.

Jak bardzo mści się uparte wetowanie ustaw regulujących rynek kryptowalut, dowiadujemy się od Amerykanów, którzy wpisują kolejne spółki zarejestrowane w Polsce na listy sankcyjne. Jako pralnie pieniędzy i kryptowalut dla Iranu. Stajemy się eldoradem dla międzynarodowych mafii i oszustów. Kto u nas broni tego bałaganu? Ci, którzy na tym zarabiają miliony. W Polsce jest to zaplecze wyborcze Nawrockiego. Ci sami politycy i związane z nim grupy interesów stoją za wyrzuceniem w błoto rocznej pracy zespołów eksperckich pracujących nad „lex szarlatan". Dzięki ustawie można by szybciej reagować na działania oszustów zdrowotnych. Niestety, górą są antyszczepionkowcy i szarlatani. Na zdesperowanych chorych, chcących wierzyć w cudowne terapie, czyha rzesza bezkarnych oszustów. Z ofertami wyleczenia raka ziołami, stwardnienia rozsianego biorezonansem czy nowotworu nerki akupunkturą.

Polacy są wyjątkowo podatni na szarlatanerię. A najbardziej młodzi, którzy wiedzę czerpią z algorytmów TikToka lub Instagrama. O skali dezinformacji medycznej świadczą miliardowe zasięgi kont prezentujących pseudonaukę, groźne terapie i cudowne suplementy. Rynek takich usług jest ogromny. Szacowany na setki milionów złotych. Szarlatani na strachu chorych zarabiają miliony. I tak będzie dalej. Ile jeszcze takich ustaw sparaliżuje Nawrocki?

BĄKOWSKI



eprasa.pl a4cc490153

W NUMERZE

KRAJ

8 **Kustosz Kresowej Atlantydy**
– rozmowa
z prof. Stanisławem Sławomirem Nicieją

12 **W polityce liczą się emocje**
Maciej Berek do Trybunału
Konstytucyjnego

14 **Kościół pazerny i niemiłosierny**
Eksmisje na Osiedlu Maltańskim

17 **Musimy uczyć dzieci,**
jak być dobrymi obywatelami
– rozmowa z Wandą Traczyk-Stawską

25 **Na złamanie karku**
Hulaj noga, kary nie ma

28 **Bród, głód i rozczarowanie**
Jak oszukują organizatorzy kolonii

ZAGRANICA

19 **Kim jest Andrij Sadowy, mer Lwowa**
Proeuropejski, teflonowy pragmatyk?

34 **Energia do ujarzmienia**
Prawica chce działań w sprawie upałów

37 **Koniec „uczelni politycznych janczarów"**
Porządki po Orbánie

40 **Gangi ery TikToka**
Korespondencja z Rzymu

KULTURA

22 **Jeszcze bawi cię świat**
Pożegnanie Joanny Rawik

24 **Odeszła Wielka Artystka**
Nie ukrywała lewicowych poglądów

46 **Archipelag dramatów i gniewu**
– rozmowa z Magdaleną Czubaszek

50 **Qulturalia**

66 **Damian Bonk. Knightfall**

OPINIE

31 **Felipe De La Hoz**
Czego demokratyczni przywódcy
mogą się nauczyć od Leona XIV?

HISTORIA

43 **Matki założycielki III RP**
Parlamentarzystki czasu przełomu

SPORT

52 **15 goli w jeden wieczór**
Polska kanonada w Europie

54 **Historia rugby w Siedlcach**
Zaczęło się od grupki entuzjastów

OBSERWACJE

58 **Między zupą a baklawą**
Korespondencja z Turcji

ZWIERZĘTA

60 **Samiec idealny**
Paradoks tokowiska

FELIETONY I KOMENTARZE

3 **Jerzy Domański**
Szarlatani dziękują Nawrockiemu

33 **Roman Kurkiewicz**
Radykalne zero

51 **Tomasz Jastrun**
Zupełne zezwierzęcenie

57 **Wojciech Kuczok**
Aktor totalny



25
KRAJ

NA ZŁAMANIE KARKU
Hulaj noga, kary nie ma



34
ZAGRANICA

ENERGIA DO UJARZMIENIA
Prawica chce działań w sprawie upałów



60
ZWIERZĘTA

SAMIEC IDEALNY
Paradoks tokowiska



Projekt okładki: Krzysztof Kettner

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl a4cc490153

Studenci na poziomie 10-latków

Temat polskich studentów, podjęty przez „Przegląd” (34/2026) w konsekwencji tekstu z „The Economist”, jest niezmiernie ważny. Cytowani rozmówcy zastanawiają się, czy rozpaczliwy poziom studentów (i całych studiów, nie czarujmy się) to problem zaniedbań edukacji od szkoły podstawowej, czy liczby studiujących. Oczywiście to skutek „komercjalizacji” uczelni. Kiedy stajesz się studentem za pieniądze, bez egzaminu wstępnego, to i poziom konkurencji (uczelni państwowych) się obniża. Ja sam w latach 60. nie powinienem był dostać się na studia, bo było to, prawdę mówiąc, przyjęcie po znajomości (przedwojennej) i było to mocniejsze niż poparcie z KW! Pewnie nie powinienem studiować historii, tylko jakąś politologię, której wówczas nie było – i nie mogło być. Nie jestem chyba durniem i owa „historia” (której do dziś nie znam) mi nie zaszkodziła, choć nie pomogła. Jednak myślę, że matura powinna dziś wyglądać inaczej. Powinna być przeglądem wiedzy, a przede wszystkim skłonności intelektualnych i kierować człowieka w odpowiednią stronę, przynajmniej na uczelnie państwowe z pewną renomą. Może to mogłaby załatwić dziś AI?


Przegląd
Szokujący artykuł „The Economist”
Co piąty polski student jest na poziomie 10-latka

Filip Ratkowski, Kraków

Oracz asfaltu

Odnośnie do drogi asfaltowej na ul. Rybackiej w Gliwicach opisanej w artykule Mateusza Cieślaka (34/2026). Dz. drogi stanowiącej drogę, ul. Rybacką, tj. działka 246601_1.0040.804, według danych z 15 sierpnia 2026 r. jest działką o powierzchni 1500 m kw. i długości (czytanej z mapy) ok. 300 m. Zatem szerokość tej drogi, jeśli rzeczywiście stanowi własność gminy, to zaledwie 5 m. Poza tym inwestor powinien uzyskać zgodę wszystkich właścicieli działek sąsiadujących z inwestycją, niezależnie od tego, komu ona ma służyć, takie jest prawo. Moim zdaniem to nie pan Józef naraził gminę na straty, ale ten, kto bez geodezyjnej weryfikacji własności gruntu podjął taką decyzję. Budowa jest działaniem poważnym i wymaga powagi decyzji. Oczywiście nie należy popierać metody egzekwowania praw przez rolnika, ale może nie miał wyjścia? Warto zweryfikować sytuację prawną (prawo budowlane), bo media traktują wyczyn pana Józefa jako wybryk. A może to był akt protestu? Z drugiej strony może gmina przeprowadziła wszystkie procedury, tylko Geoportal ma nieaktualne dane, a pan Józef zgodził się na inwestycję, tylko o tym zapomniał? Czy tego typu wyczyn uzasadnia areszt?


ORACZ ASFALTU

A. Sikorski, Wrocław

Jaki prezydent?


Jaki prezydent?
Andrzej Lam

W pełni zgadzam się ze stanowiskiem wyrażonym przez Andrzeja Lama na łamach „Przeglądu” w kwestii dużych ambicji prezydenta i skłonności do szablonowej retoryki patriotycznej. Swoje kredo pan prezydent szeroko zaprezentował w rocznicowym wystąpieniu 6 sierpnia na dziedzińcu pałacu przy Krakowskim Przedmieściu. Dla wiecowych wystąpień pana prezydenta, jego współpracowników i entuzjastów przygotowano kosztowne trybuny, ozdobione flagą narodową i wężykami generalskimi. (…) Świętowanie miało wiele cech stylu Donalda Trumpa.

Z zażenowaniem obserwowałem kosztowny wiec, w czasie którego prezydent Nawrocki ukazał ambicje polityczne wykraczające poza uprawnienia konstytucyjne. Zaprezentował się jako przywódca ludowy, najbliższy obywatelom, silny i stanowczy. Łatwo pomija rolę strażnika konstytucji i od początku dąży do stworzenia bardziej mu sprzyjającej ustawy zasadniczej. Za głównych przeciwników jego starań „dla dobra narodu” uznał premiera i marszałka Sejmu. Wskazuje przy tym brak dłuższej wizji działań rządu. Najwyższe noty przyznał natomiast swoim ministrom i urzędnikom. W atmosferze wiecowej wznoszono okrzyki miłe sercu prezydenta: „Precz z komuną” czy „Sto lat”. Jego kancelaria ma bardzo okazały budżet, ale takich samouwielbień żaden z prezydentów RP nie organizował.

Kazimierz Łastawski

ZDJĘCIE TYGODNIA



Zmarł Jan Frycz, jeden z najwybitniejszych aktorów teatralnych i filmowych. Związany był z Teatrem Narodowym w latach 1982-1983 i ponownie od 2006 r., ze stołecznym Polskim oraz teatrami krakowskimi. Współtworzył spektakle Teatru Telewizji i słuchowiska Teatru Polskiego Radia. Odznaczony Krzyżem Oficerskim Orderu Odrodzenia Polski i Złotym Medalem Zasłużony Kulturze Gloria Artis. Jego pogrzeb będzie miał charakter państwowy.

FOT. PIOTR BŁAWICKI/SE/EAST NEWS

eprasa.pl a4cc490153

Firmy **Moderna i Merck** poinformowały o nowej terapii i spersonalizowanej **szczepionce na czerniaka.** Preparat o nazwie Intismeran autogene w badaniach klinicznych pomógł zapobiec nawrotom choroby i przerzutom u ponad 1 tys. pacjentów z czerniakiem.

•

Rząd szykuje pakiet zmian w systemie podatkowym. Będą obowiązywać od 2027 r. **Próg podatkowy zostanie podniesiony** ze 120 **do 130 tys. zł.** Między 130 a 150 tys. pojawi się nowa stawka PIT 24%. CIT wzrośnie z 19% do 22%, gdy roczne przychody przekroczą 50 mln euro. **Do 5% ma być podwyższona danina solidarnościowa od osób zarabiających rocznie ponad 1 mln zł.**

•

Ponad 200 mld zł wydaliśmy w ostatnich latach **w USA na sprzęt wojskowy.** W tym za śmigłowce Apache zapłaciliśmy 40 mld, za 360 czołgów Abrams – 23-24 mld, za samoloty F-35 – prawie 20 mld zł.

•

Bliski współpracownik Ziobry, prezes Trybunału Konstytucyjnego Bogdan Święczkowski, jest bardzo zamożny. Ma na koncie 1 mln zł, 103 tys. dol. i 101 tys. euro. Do tego dwa luksusowe samochody (Mercedes GLB 200 i SsangYong Rexton) oraz dom o powierzchni 240 m kw. Ma więc czego bronić.

•

W 2025 r. **Prokuratura Europejska kierowana przez Grażynę Stronikowską** prowadziła 92 postępowania, w których wartość szkód wyniosła 2,91 mld zł.

•

Według statystyk policyjnych w 2025 r. mężczyzn stosujących przemoc rodzinną było u nas 52 424, a kobiet 8 465.

•

Najwyższe wynagrodzenia zarządów spółek w 2025 r. miały: **Orlen (93,1 mln)**, CD Projekt (53,1 mln), Santander (35,7 mln), Żabka (27 mln), Asseco Poland (26,9 mln) i PKO BP (24,9 mln).

•

Ponad 5 mln zgłoszeń w 2025 r. przyjęli dyspozytorzy pogotowia ratunkowego od dzwoniących **na numer 999.**

•

Spółdzielnie mieszkaniowe to prawdziwa potęga. **3,6 tys. spółdzielni** ma w swoich zasobach ok. **3,5 mln mieszkań.**

•

Od przystąpienia Polski do Unii Europejskiej do sektora rolnego i na rozwój obszarów wiejskich trafiło **ok. 500 mld zł,** z czego prawie 400 mld pochodziło bezpośrednio z budżetu unijnego.

•

W sprawach frankowych przed sądem zakończyło się 127 tys. sporów. Na rozstrzygnięcie czeka jeszcze 170 tys. spraw.

•

W Polsce jest ponad **565 tys. uli** (Eurostat).

•

Europejskie rolnictwo daje zatrudnienie ponad 30 mln osób, generuje prawie 240 mld euro eksportu i 50 mld euro nadwyżki handlowej.

•

884 tys. kuracjuszy odwiedziło polskie uzdrowiska w 2024 r., przy czym 57% korzystało z dofinansowania NFZ.

PRZEBŁYSKI



Sopiński fotela nie oddaje

Martwimy się o ministra Żurka. Faka pokazała mu nawet taka mizernota jak Michał Sopiński. Któż to? Rektor komendant Akademii Wymiaru Sprawiedliwości, powołany w 2023 r. przez ówczesnego wiceministra sprawiedliwości Marcina Romanowskiego, dziś zbiega z wieloma zarzutami, ukrywającego się w Naddniestrzu. Dr Sopiński to działacz Solidarnej Polski i urzędnik Ziobry. Choć Żurek odwołał go już w maju, Sopiński schronił się pod skrzydła Trybunału Konstytucyjnego. I fotela rektora nie oddaje. Regularnie atakuje Żurka w radiomaryjnym „Naszym Dzienniku". Agitatorem jest równie marnym jak komendantem, ale duża kasa wpływa mu na konto. Może już czas przerwać to pośmiewisko?



Nowy numer Gomoły

Adam Gomoła, najmłodszy poseł tej kadencji, nie przynosi chluby okręgowi opolskiemu. Partii Polska 2050 tym bardziej. Tolerują gościa, który już po trzech miesiącach w Sejmie okazał się przestępcą. „Nowa Trybuna Opolska" pisała o nagraniu, w którym Gomoła opowiadał o omijaniu limitu finansowania kampanii wyborczej. Zawiesili go wtedy, ale szybko wrócił. Łazi od mediów do mediów, z plakietką Polski 2050. Redakcje, które go zapraszają, są równie bezwstydne jak on.

Kolejna afera Gomoły to kombinacja z wynajmem samochodu. Przebiegły polityk wynajął auto, na koszt Sejmu, od spółki QMP. Głównym wspólnikiem jest tam Barbara Łabędzka, narzeczona Gomoły. Ile jeszcze numerów ten cwaniak wywinie, zanim go pogonią?



Prof. Ryba – głos IPN w Radiu Maryja

W czasie rządów PiS do kolegium Instytutu Pamięci Narodowej dobierano ludzi o specyficznym podejściu do historii. Takich, którzy mieszczą się w grupie „na prawo od ściany". Sprawdzonych w boju o takie wersje historii Polski, które szyte są na miarę ideologicznych potrzeb prawicy. Jednym z filarów tej polityki jest prof. Mieczysław Ryba, od wielu lat felietonista Radia Maryja. Zastępca przewodniczącego Kolegium IPN, z długim stażem w tej instytucji. Znany z wielu kampanii, które mieszczą się w absurdalnej logice IPN. Polityka historyczna w tym wydaniu to marsz od kłamstwa do kłamstwa. Co roku kosztuje nas ta obsesja setki milionów złotych. Prof. Ryba tak odkłamuje przeszłość, że po faktach niewiele zostaje. Groteskowy obraz historii w ruinie.

Proboszcz bez samochodu

Skoro zewsząd słychać narzekanie, to mamy coś krzepiącego. Choć zaczęło się marnie. Proboszcz parafii Matki Bożej Bolesnej w Białołęce (woj. dolnośląskie) wypił sobie i usiadł za kierownicą. I tu pojawiają się pozytywni bohaterowie. Kierowca, który zauważył w Czerńczycach podejrzanie jadący pojazd. Patrol policji, który szybko zatrzymał pirata mającego prawie 2 promile. I Sąd Rejonowy w Głogowie, który orzekł wobec proboszcza 9 tys. zł grzywny, przepadek samochodu i utratę prawa jazdy na trzy lata.

FOT. ADRIAN GRYCUK/WIKIMEDIA, MATERIAŁY PRASOWE (2)

eprasa.pl a4cc490153

Z GALERII ANDRZEJA MLECZKI



PYTANIE TYGODNIA | Czy polscy kierowcy są lepsi (czy gorsi) od Europejczyków?

DR EWA ODACHOWSKA-ROGALSKA,
psycholożka transportu,
Instytut Transportu Samochodowego

Z badań instytutu wynika, że ponad 80% polskich kierowców przynajmniej raz w tygodniu obserwuje agresywne zachowania na drogach: oślepianie światłami, zajeżdżanie drogi, nadużywanie klaksonu, obelgi. Jednocześnie tylko nieco ponad 30% przyznaje się do takich błędów u siebie – tę lukę świadomości obserwują również badacze za granicą. Zachowanie za kierownicą zależy od kontekstu kulturowego i stylu życia: mieszkańcy południa Europy są pełni temperamentu i ekspresji, a ich przeciwieństwem jest wyważona północ kontynentu. Polakom bliżej do tych pierwszych, m.in. przez historyczną tradycję naginania zasad. Niestety, często nie zdajemy sobie sprawy z kosztów naszej nieodpowiedzialności – mają one wymiar nie tylko finansowy, lecz także psychiczny dla wszystkich uczestników ruchu.

KRZYSZTOF HOŁOWCZYC,
rajdowy mistrz Europy,
zdobywca podium rajdu Dakar

Uważam, że polscy kierowcy są z roku na rok coraz lepsi – widzę to podczas podróży po Polsce i Europie. Jeździmy nieustannie w bardzo różnych warunkach: od upałów, przez deszcz i mgłę, po śnieg czy gołoledź. To naturalnie buduje doświadczenie, kształtuje technikę jazdy i – co najważniejsze – uczy przewidywania. Na naszych drogach poprawiła się także kultura, choć nadal zdarzają się kierowcy agresywni, próbujący „wychowywać" innych. Trzeba z tym walczyć, podobnie jak z alkoholem i używkami za kierownicą. Sam styl jazdy w Europie jest bardzo zróżnicowany – wpływają na to infrastruktura, klimat, wysokość kar, ale przede wszystkim mentalność. Inaczej jeździ się w Hiszpanii, inaczej w Skandynawii. Moje subiektywne odczucie jest jednak takie, że na tle Europy Polacy naprawdę nie mają czego się wstydzić – jesteśmy coraz bardziej świadomi zagrożeń.

WŁADYSŁAW FRASYNIUK,
przedsiębiorca transportowy,
działacz opozycji demokratycznej w PRL

Nie mamy powodów do wstydu – jeździmy zdecydowanie lepiej, pewniej i bezpieczniej niż Włosi czy Francuzi. Polski kierowca jest bardziej skupiony za kółkiem niż obywatel starej Unii. Jeśli coś nas wyróżnia, to tempo: wciąż czujemy potrzebę nadgonienia straconego czasu. W Polsce problemem bywają agresja słowna, frustracja i zajeżdżanie drogi, czego na Zachodzie nie ma w tak celowej formie – brakuje nam jeszcze tamtejszego spokoju i życzliwości. W transporcie międzynarodowym z kolei nastąpiła rewolucja: systemy i automaty myślą za kierowcę, przez co zmalały dawne kwalifikacje techniczne. Mimo to nasi kierowcy, obok Ukraińców i Białorusinów, wciąż potrafią sami usunąć drobną awarię, podczas gdy Zachód jest już całkowicie uzależniony od serwisu.

Rozmawiał Maciej Belowski

eprasa.pl a4cc490153

CZĘŚĆ 1.

KUSTOSZ KRESOWEJ ATLANTYDY

Piszę o miastach, w których Polacy żyli przez całe wieki

Rozmawiają Robert Walenciak, Jerzy Domański, Paweł Dybicz

Zapowiadał pan, że skoro na Kresach było 200 miast i miasteczek, opisze je pan wszystkie w „Kresowej Atlantydzie”. Ile będzie ostatecznie tomów?

– Niełatwa sprawa… Kiedy zaczynałem, myślałem, że zamknę to w jakichś pięciu tomach. I zrobiłem fatalny błąd, bo w pierwszym tomie zamieściłem pięć miast, duże aglomeracje, w tym trzy stolice województw: Lwów, Tarnopol i Stanisławów, a także Borysław i Brzeżany. O Lwowie, który czuję, którym przez lata się zajmowałem, napisałem 40 stron! A później o takich małych miasteczkach jak Gródek Jagielloński, Brody czy Żółkiew – po ok. 100 stron. W tym ostatnim, 23. już tomie, który skończyłem, o Chyrowie, liczącym ledwie 3 tys. mieszkańców, jest ponad 150 stron. Bo zagłębiając się w historię Kresów, natrafiłem na tak fascynującą enklawę faktów i niebanalnych życiorysów, że poniosło to szeroką falą moją



Prof. STANISŁAW SŁAWOMIR NICIEJA
– historyk biografista, autor ponad 40 książek i współautor z Jerzym Janickim kilkudziesięciu filmów telewizyjnych o Kresach, jeden z najpoczytniejszych polskich historyków; senator RP V kadencji, długoletni (cztery kadencje) rektor i budowniczy Uniwersytetu Opolskiego, renowator zabytków. Autor monumentalnego, dotychczas 23-tomowego cyklu „Kresowa Atlantyda”.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl a4cc490153

opowieść. Nie potrafię więc powiedzieć, ile tomów jeszcze będzie.

Pan chciałby, aby zachowano pamięć o tamtej Rzeczypospolitej.

– Tak! Ale najpierw wyjaśnię, dlaczego ta „Atlantyda". Miałem ponad 1,2 tys. spotkań autorskich, od 40 lat jeżdżę. Jedno ze spotkań, w esencjonalny sposób ukazujące problematykę, którą się zajmuję, odbyło się w Stanisławowie, czyli w Iwano-Frankiwsku. Zorganizował je lwowski konsulat. Na sali 400 osób, połowa Ukraińcy, połowa Polacy. Wśród zebranych był jeden z przywódców Prawego Sektora – partii, która narzuca dziś Ukrainie „prawdę", że Bandera to przecież taki ich Piłsudski itd. Był przygotowany do spotkania ze mną, wszystko wiedział, jak dobry lustrator z IPN. Wiedział, gdzie się urodziłem, co w życiu napisałem, co robię. Wstał i ostro zapytał…

Po ukraińsku?

– Po ukraińsku. To język podobny do polskiego. Zapytał: Panie profesorze, dlaczego z uporem maniaka, i tak chcę powiedzieć ostro – maniaka, od 35 lat zajmuje się pan naszymi ukraińskimi miastami? Zaczął pan od Łyczakowa, to była książka roku, ciągle jest dodrukowywana, rozszerzana i szeroko kolportowana. A później pan się zajął Stanisławowem, Tarnopolem, Brzeżanami, Borysławiem, Drohobyczem i innymi miastami. Czy pan nie ma o czym pisać w Polsce? Nie może pan pisać o Strzegomiu, gdzie pan się urodził? Albo o Świdnicy, gdzie pan skończył liceum? Albo o Opolu, gdzie pan pracuje? A pan tu jeździ, z Jerzym Janickim zrobiliście kilkadziesiąt filmów, i dalej pan tłucze książkę za książką o naszych miastach. Pytam pana: naprawdę nie ma pan o czym pisać, tylko nam tu pisze swoją historię? Od części widowni dostał brawa, że pouczył jakiegoś Polaka, który tu się plącze i pisze.

I co pan na to?

– Popatrzyłem mu w oczy i powiedziałem: Proszę pana, ja nie piszę historii waszych miast. Jestem historykiem polskim i piszę historię swojego narodu. A muszę panu uświadomić, jeżeli pan jest niezorientowany, że Polska jako duże państwo europejskie, które ma tysiącletnią tradycję, nie leżała przez całe swoje istnienie w tym samym miejscu, jak leżą Francja czy Hiszpania. Polska miała pulsujące granice: inny kształt miała w czasach Piastów, inny w czasach Jagiellonów, inny w czasach Wazów. Później źle rządzona przepadła. Warszawa stała się miastem rosyjskim, Kraków austriackim, Poznań niemieckim. Przez 120 lat Polacy nie umieli odzyskać niepodległości. Wzniecali powstania, które kończyły się fiaskiem i lawiną nieszczęść. Aż wykorzystali koniunkturę polityczną i odzyskali niepodległość. Ale granice tej nowej, odrodzonej Polski były na Zbruczu, Dniestrze, Styrze, Horyniu, Niemnie…

Takie było wyobrażenie o Polsce.

– Gdyby wtedy ktoś powiedział, że Polska będzie nad Nysą Łużycką, uznaliby, że zwariował. Ale minęło ćwierć wieku i nie jesteśmy nad Horyniem i Niemnem, tylko nad Nysą Łużycką i Odrą. Jeżeli więc pan wymaga ode mnie – mówiłem do tego Ukraińca – żebym pisał tylko o miastach, o państwie, w którym żyję, to pan wymaga, żebym wyciął sobie trzy czwarte mózgu. Bo gdzie urodzili się Moniuszko, Kościuszko, Słowacki, Zapolska, Grottger, Hemar, Herbert? Mogę do rana wymieniać wielkie nazwiska tych wszystkich Piłsudskich, Paderewskich, Chodkiewiczów czy Żółkiewskich. Ja nie piszę o waszych miastach. Piszę o miastach, w których Polacy żyli przez wieki i zostawili tam wyraziste ślady swojej obecności, m.in. w postaci świątyń, szkół, uczelni, pałaców, twierdz, cmentarzy itp. Odtwarzam tamten czas. Po II wojnie światowej Polska jako państwo została przesunięta na mapie Europy jak klocek o 250 km. Za wschodnią granicą zostawiliśmy te 200 miast. Uznałem, że nie można ich zapomnieć. Lwów z dnia na dzień stał się miastem ukraińskim, Grodno – białoruskim, a Wilno – litewskim, jest stolicą Litwy.

To nieszczęście?

– Ależ ja przyjmuję Jałtę jako dobrodziejstwo! Nie uważam, że Stalin, Churchill i Roosevelt byli głupcami. Stalin nie był Kaligulą, a Roosevelt Olsenem. Byli to wyrafinowani politycy, zdolni do daleko posuniętego cynizmu. Wiedzieli, że coś trzeba było zrobić z Europą po tej straszliwej wojnie, aby ten kataklizm nie mógł się powtórzyć. Poszli więc na rozdział. Polska w tym nowym kształcie terytorialnym – według mnie – wyszła znakomicie! Uzyskaliśmy optymalnie najlepszy kształt państwa… z ogromnym dostępem do morza i z bogatym, przemysłowym Śląskiem. Często pytam Kresowiaków na spotkaniach w Legnicy, Jeleniej Górze czy Bytomiu: wolelibyście tam zostać, w Kołomyi, Łucku czy Nieświeżu? W warunkach pokoju i stabilizacji społecznej ta wielka różnorodność narodowa i religijna na Kresach się sprawdzała, była dobrym gruntem do rodzenia się talentów. Ale jeżeli w to się wdarły ostry nacjonalizm oraz ideologie totalitarne, dzielące nawet rodziny, które kazały unicestwić, zabić pobratymca, wtedy powstało niewyobrażalne wręcz piekło na ziemi. Dlatego chwalę Jałtę – dzięki niej z tego wyszliśmy.

Za wschodnią granicą zostawiliśmy 200 miast. Lwów stał się ukraiński, Grodno białoruskie, a Wilno jest stolicą Litwy.

Gdyby żołnierze Berlinga, którzy doszli do Berlina, mieli wrócić na Wołyń, gdzie już wiedzieli, że są tylko gruzy i groby, dopiero byłby rewanż. Tu nie byłoby porozumienia. Te narody musiały być rozdzielone. A było to tak drastyczne, bo nie znaleziono łagodniejszego wariantu i nawet nie wiem, czy inny był możliwy.

Obrona Jałty to była racja stanu Polski Ludowej. Bo Kresów nigdy byśmy nie odzyskali, a Ziemie Zachodnie mogliśmy stracić.

– Hupka i Czaja, charyzmatyczni przywódcy ziomkostw, mieli 9 mln zwolenników. Adenauer przez całe lata musiał na to uważać. Poza tym dużo nie brakowało, bo gdyby Chruszczow dogadał się z Adenauerem, mogliśmy stracić Wrocław i Szczecin, a nawet Kołobrzeg. Mogli przesunąć granice ustalone w Poczdamie, tym bardziej że przesiedleńcy

eprasa.pl a4cc490153

ze wschodu często – w metaforycznym ujęciu – siedzieli na nierozpakowanych walizkach. I mielibyśmy Księstwo Warszawskie – Polskę takiej wielkości. Doceńmy wielkość Gomułki, że to obronił.

Ziemie Zachodnie to było jego oczko w głowie.

– Udało mi się w 1994 r., na otwarcie Uniwersytetu Opolskiego, zrobić rzecz niebywałą. Zorganizowałem konferencję „Jałta z perspektywy półwiecza". Dziś byłoby to niewykonalne. Przyjechali na nią m.in. Jan Nowak-Jeziorański, Ryszard Kaczorowski, Krystyna Kersten, Czesław Madajczyk, Antoni Czubiński, Wojciech Roszkowski i Józef Garliński, a swój tekst z Londynu przysłała Lidia Ciołkoszowa. Wszystkie opcje! Ludzie o skrajnie różniących się poglądach siedzieli obok siebie. Podtytuł konferencji brzmiał: „Przekleństwo czy wybawienie?". Dla niektórych to było wybawienie absolutne. Bo jak miał gdzieś pod Rohatynem czy Borszczowem drewnianą, krytą słomą chatę, którą mu ciągle palili ukraińscy nacjonaliści, to wybawieniem było, jak dostał pod Bolesławcem czy Złotoryją duży dom pobauerski, z dużymi zabudowaniami gospodarczymi, i tam poznał smak nieznanego mu wcześniej pełnego bezpieczeństwa. Mój ojciec miał ośmioro rodzeństwa, mieli trzy i pół morgi pod Wadowicami, a na Dolnym Śląsku, na obrzeżach Strzegomia, dostał 10 ha. Urodziłem się w domu, gdzie był fortepian w salonie. Jaki skok cywilizacyjny!

Dla milionów.

– Moja historia… Zdaję do Opola, 400 osób na historię, 40 miejsc. Pamiętam, jak z nosem przyklejonym do gabloty patrzę. Jestem! Jako 17. Nie pójdę do wojska! Gdybym nie zdał, orałbym ziemię przy ojcu. I to, co mi wtedy ojciec powiedział, pamiętam do dziś: Stasiu, to, że Gomułka rozwalił kołchozy i przywrócił nam ziemię, nie powinieneś o nim źle powiedzieć. Ja ci to mówię, prosty chłop.

Jeżeli przesunięcie Polski na zachód przyniosło nam korzyści, dlaczego pisze pan o Kresach?

– Bo bez pamięci nie ma narodu. Spójrzmy, co robią Niemcy! Mają monografie swoich utraconych miast, nie tylko tych wielkich, jak Breslau, Stettin i Danzig. Nawet moja wieś, Pępice, i sąsiednia – Łukowice mają monografie z opisem, kto był właścicielem danego gospodarstwa. Nie ma miasteczka, o którym by zapomnieli. Rozumiem ich. Tu się urodzili, tu są kości ich przodków.

Kiedy moja rodzina w 1945 r. zamieszkała w Strzegomiu, 50 km od Wrocławia, jeszcze mieszkała tam Niemka z trójką dzieci. Moja mama zaopiekowała się nią, pomagała jej. Potem ona wyjechała. W latach 70. zaprosiła mamę do miasteczka Lemgo pod Hanowerem, gdzie mieszkała. Mama nie chciała jechać sama, pojechaliśmy razem. Wtedy zobaczyłem, co to znaczy ziomkostwo, którym mnie straszono.

I strach panu minął.

– Otóż w centrum tego miasteczka ustawiono ogromny kamień z tablicą z napisem: „Z tego miejsca do miasteczka Strzegom na Dolnym Śląsku jest 700 km. Stamtąd przybył transport dużej grupy, która tu się osiedliła". Wszedłem do ratusza w Lemgo i na parterze zobaczyłem salę muzealną, w której zgromadzono fotografie i artefakty związane ze Strzegomiem. Na jednej ścianie była fototapeta ze zdjęciem Niemców wsiadających z tobołkami do pociągu, który miał ich zawieźć do Saksonii. Mogłem tam też kupić za 2 marki 100-stronicową ilustrowaną broszurę z niemiecką historią Strzegomia.

Niemcy mają kult ziem utraconych. Nie powinniśmy się temu dziwić ani tego bać. W swojej masie pogodzili się z utratą ziem zaodrzańskich, tak jak my jesteśmy pogodzeni z utratą ziem zabużańskich. Mają prawo pisać historię swoich dawnych, utraconych ziem i mitologizować ją, tak jak my to robimy z naszymi wschodnimi ziemiami, w czym aktywnie uczestniczę od 40 lat.

Oni stracili, Polska przejęła.

– Naprawdę kocham i głęboko poznałem historię Sambora, Chodorowa czy Buczacza. Ale materialnie żadne z tych miasteczek nie da się porównać z Legnicą, Świdnicą czy Wałbrzychem. Buczacz z rokokowym ratuszem, perełką polskiej architektury kresowej, i kościołem barokowym wzniesionym przez Potockich nie ma jednak porównania w liczbie wielkiej klasy zabytkowych budowli i świątyń z moją Świdnicą! Płaczący za Kresami mówią, że duchowo nie mogą się z utratą pogodzić. Odpowiadam im: Spraw duchowych to ja m.in. pilnuję, opisuję miasta i rodziny. Ale mówię też: Nie lekceważcie tego, co mamy, nie dopatrujcie się całego zła w decyzjach jałtańskich, bo mogliśmy i duchowo, i materialnie wyjść z wojny o wiele gorzej, tracąc wschód i nie zyskując zachodu.

Ale sam pan mówi, że nie o powrót chodzi, tylko o pamięć i szacunek.

– Niedawno byłem na spotkaniu autorskim w Sanoku. Tam pulsuje patriotyzm. Sanok, pięknie odbudowane miasteczko, pięknie odbudowany ryneczek, z pomnikiem Beksińskiego. Zamek, który był ruiną, jest z wielkim pietyzmem odtworzony, ze znakomitymi zbiorami sztuki huculskiej. A w nim wystawa malarstwa kresowego. Ściągnęli Chełmońskiego, Brandta, Wyczółkowskiego. Ja na spotkaniu miałem 300 osób, bardzo emocjonalne. Tych emocji np. już na Dolnym Śląsku nie widzę. Tu nastąpiło jakieś wypranie… Bo jeżeli we Wrocławiu Most Grunwaldzki chcą nazwać Kaiserbrücke, to gdzie my żyjemy? Jeżeli nagle zdejmują orła białego z Auli Leopoldyńskiej, bo tam go nie było – był orzeł pruski – to chyba jest nienormalne!

Skąd ten trend?

– Łączy się to ze skuteczną działalnością niemieckich środowisk dbających o swoje dziedzictwo kulturowe. Tamtejsi politycy stworzyli całą sieć różnych stypendiów i nagród, które sponsorują i wyróżniają polskich historyków, germanistów czy socjologów, skłonnych przyjąć niemiecką politykę historyczną jako w pełni

Gdyby żołnierze Berlinga, którzy doszli do Berlina, mieli wrócić na Wołyń, gdzie były tylko gruzy i groby, dopiero byłby rewanż.

eprasa.pl a4cc490153

obiektywną. Dlatego pojawiła się w Polsce pewna grupa związana ze środowiskami akademickimi, przez niektórych postrzegana jako piszący „Nur für Deutsche". Trudno mieć jakiekolwiek pretensje do Niemców, którzy tak budują swoją wizję tej części Europy i jej historię. Ale jeśli Niemcy znaleźli wśród polskich badaczy chętnych do pójścia śladem ich myślenia, to nie powinniśmy na to patrzeć obojętnie, z jakąś irracjonalną wyrozumiałością. Mocno objawiło się to w głośnym ostatnio skandalu, którego bohaterem był prof. Krzysztof Ruchniewicz z Uniwersytetu Wrocławskiego – powołany na dyrektora Instytutu Pileckiego, a następnie z funkcji odwołany, po jego ewidentnych filogermańskich poczynaniach. A nie jest to niestety jedyny przedstawiciel w kręgu polskich historyków niemcoznawców. Jeżeli przechodzi się przez te wszystkie stypendia, to człowieka zmienia. Ruchniewicz ma w kolekcji wiele prestiżowych nagród niemieckich.

Problem jest, gdy zaczynamy mówić o historii Wrocławia powojennego – pomija się, jak wielkim polskim wysiłkiem podniesiono to miasto z ruin, hitlerowcy bowiem bronili Wrocławia desperacko, obracając jego centrum w perzynę. I fenomenem powojennej Polski był fakt odbudowy historycznej struktury miasta, co znakomicie opisał Zbigniew Rokita w książce „Odrzania". Nie docenia się ogromnego wkładu lwowskich intelektualistów. Stanisław Kulczyński – botanik, rektor Uniwersytetu Jana Kazimierza we Lwowie, był we Wrocławiu pierwszym rektorem połączonych uczelni – uniwersytetu i politechniki. I on doprowadził do tego, że gmach uniwersytetu odbudowano, zamiast postawić w tym miejscu jakieś socrealistyczne blokowisko, choć były takie pomysły.

Próbowano zabrać mu ulicę.

– Z racji tego, że był po wojnie działaczem Stronnictwa Demokratycznego i zastępcą przewodniczącego Rady Państwa. Na szczęście środowiska kresowe do tego nie dopuściły. Ale już w moim Opolu w ramach dekomunizacji ulic natychmiast zmieniono patrona – ulica nosi teraz imię bp. Franciszka Jopa.

Wrocław, który w czasach gomułkowskich i gierkowskich stał się wielkim centrum polskiej kultury, w którym tworzyli Różewicz, Grotowski, Tomaszewski (a mógłbym długo wyliczać tej klasy nazwiska), w którym rozwinęło skrzydła 12 prężnych uczelni o statusie uniwersyteckim, w którym stworzono od podstaw tak wspaniałe archiwa, biblioteki i wydawnictwa jak Ossolineum, w którym stworzono jedną z największych europejskich wytwórni filmowych i w którym znalazło się miejsce na lwowską Panoramę Racławicką, jest zepchnięty w cień. Teraz lansuje się ponad wszelką miarę znaczenie Pomarańczowej Alternatywy i zajezdnię tramwajową jako kolebkę wrocławskiej Solidarności.

Niemcy mają monografie swoich utraconych miast, nie tylko wielkich. Nie ma miasteczka, o którym by zapomnieli.

Czy świat, o którym pan pisze, już nie istnieje? To koniec, Kresy są na zawsze oddane i śladów polskości będzie tam coraz mniej?

– W dużej mierze tak. Szczególnie teraz, kiedy za wschodnią granicą pojawiły się tak ostre konflikty i kiedy dezaktualizuje się filozofia Giedroycia. I co z tym począć? Bardzo ubolewam – a to jest dziś w Polsce niepopularne – z powodu bezsensownej i krótkowzrocznej walki polskiej dyplomacji i rządu z Łukaszenką. Chciano tam zrobić Majdan taki jak w Kijowie, ale się nie udało. I jakie mamy efekty?

Ślady tamtej Polski i wszystko, co polskie, trafiło na listę wrogów?

– Wiele razy tam jeździłem. Odwiedzałem polskie miejsca. Pałacyk w Prużanie! Było w nim polskie muzeum, była izba poświęcona Kraszewskiemu. Jadę do Grodna, jest pomnik Orzeszkowej, na Cmentarzu Farnym znajduje się jej zadbany grób, jest Muzeum Orzeszkowej. Jadę do Starych Wasiliszek – jest muzeum Czesława Niemena zrobione przez Białorusina. Wchodzę do twierdzy Brześć, w czasach jeszcze przed tym konfliktem – jest period carski, period polski i period sowiecki. W periodzie polskim jest pokazane zdjęcie Piłsudskiego. I normalna opowieść o polskich czasach. Dzisiaj to zostało zasypane. Teraz zamknięto m.in. „Echa Polesia" – kwartalnik, który szczegółowo pisał o polskich zabytkach na Białorusi. Wszystko jest kasowane.

Jaka jest tego cena?

– Znam sprawę Tadeusza Gawina, pierwszego prezesa Związku Polaków na Białorusi, bo recenzowałem jego doktorat i habilitację. Pamiętam, co mu zrobiono. Gawin miał 300 tys. ludzi w Związku Polaków. W Opolu, w Sali Plafonowej, odbywa się obrona jego habilitacji i wstaje mi jakiś człowiek i mówi: Kogo tu bronicie? To jest agent KGB, on udaje Polaka! I człowiekowi położyli habilitację.

Później Gawin do mnie mówił: Wie pan, tam, na Białorusi, jestem opluty jako polska jaczejka, a tu opluty jako agent KGB. Żyj z tym, no żyj! Potem przyszedł czas, kiedy polska dyplomacja nie potrafiła zapobiec podziałowi w Związku Polaków na Białorusi, a można rzec, że miała w tym niechlubny udział. A konsekwencje są dziś wręcz paraliżujące.

Robert Walenciak
r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl,
Jerzy Domański
j.domanski@tygodnikprzeglad.pl,
Paweł Dybicz
p.dybicz@tygodnikprzeglad.pl

Za tydzień druga część rozmowy z prof. Stanisławem Sławomirem Nicieją:

- Fenomen Lwowa – dlaczego wygrał z Krakowem?
- Uniwersytet Jana Kazimierza – zazdrościł nam go cały świat!
- Chyrów, Złoczew, Tłumacz, Kołomyja... Tajemnice Galicji – dlaczego ludzie piszą historie swoich rodzin?
- Ci nieopisani skazani są na zapomnienie. Czyli historia ludzi ważniejsza jest niż historia systemów.

eprasa.pl a4cc490153

W polityce liczą się emocje

Maciej Berek: z rządu do Trybunału

Robert Walenciak

No to wszystko jasne. Maciej Berek do Trybunału Konstytucyjnego! Jeszcze niedawno był bliskim współpracownikiem Donalda Tuska, ministrem ds. nadzoru nad wdrażaniem polityki rządu. Ale to już przeszłość. Nadzór nad ministrami stał się mniej ważny, Berek jest potrzebny w TK. Po co?

Cały spór ma kilka pięter. Zacznijmy od parteru. Od tego, co najbardziej rzuca się w oczy. Otóż Donald Tusk, kierując do Trybunału Konstytucyjnego Macieja Berka, gorszy znaczną część opinii publicznej, tej przywiązanej do procedur i zasad. Trybunał to przecież miejsce dla wybitnych profesorów prawa, którym daleko do polityków. Mają oni mądrze i bezstronnie opiniować, czy dana ustawa jest zgodna z konstytucją, czy nie jest.

Zresztą sama koalicja przyjęła w 2024 r. ustawę o TK, w której zostało zapisane, że jeśli dana osoba pełniła funkcję w rządzie albo była w partii politycznej, o miejsce w Trybunale będzie mogła się ubiegać dopiero po czterech latach od zakończenia tych funkcji. Ale ustawa nie weszła w życie, bo Andrzej Duda skierował ją do Trybunału Konstytucyjnego, który uznał ją – a jakże – za niekonstytucyjną.

I to teraz Tuskowi się wypomina. Zgorszone jest środowisko prawników i organizacji społecznych. Charakterystyczna jest wypowiedź byłego prezesa TK, prof. Marka Safjana: „Jestem wielkim zwolennikiem tego, aby w Trybunale zasiadali prawnicy o niekwestionowanym autorytecie, którzy nie są bezpośrednio związani z polityką. Niestety – niezależnie od tego, jak bardzo cenię ministra Berka jako znakomitego prawnika i urzędnika – jego kandydatura nie jest dobrym pomysłem".

Sprzeciw zatem jest potężny, mamy wielkie apele do Berka, by się wycofał, i to płynące ze środowisk, z którymi Tuskowi było dotychczas po drodze. Po co więc premierowi tak niepopularne rozwiązanie? Odpowiedź jest prosta – widocznie ma na oku większe korzyści.

Jakie? Pierwszą byłoby na pewno realne przejęcie i uruchomienie Trybunału Konstytucyjnego. Bo, przypomnijmy, de facto go nie ma. Koalicja na mocy uchwały Sejmu z 2024 r. nie uznaje jego orzeczeń, argumentując, że zasiadają w nim sędziowie dublerzy, czyli wybrani nielegalnie. Zatem i wyroki wydane z ich udziałem nie mogą być uznawane za obowiązujące. W efekcie rząd nie drukuje orzeczeń TK. A niewydrukowane nie istnieją. Czyli koalicja wykorzystała trik Beaty Szydło z 2015 r. Przyszło jej to tym łatwiej, że w Trybunale zasiadali sędziowie wybrani przez PiS i orzekający tak, jak chce Kaczyński. Bogdan Święczkowski – prokurator generalny u Ziobry. Krystyna Pawłowicz – posłanka PiS. Stanisław Piotrowicz – poseł PiS i były prokurator.

Donald Tusk: Nie będę udawał, że jestem ciotuleńką, która nie jest w stanie oddać. Zło nie może triumfować.

Ale całkiem niedawno pojawiła się szansa na zmianę tej sytuacji. Kolejnym sędziom zaczęły wygasać kadencje. Koalicja zdecydowała więc w marcu br., że trzeba zapełnić wakaty, i wybrała sześciu nowych sędziów. W liczącym 15 sędziów Trybunale to byłaby siła znacząca. Cóż z tego, skoro opozycja odpowiedziała trikiem. Karol Nawrocki przyjął ślubowanie od dwóch sędziów, a pozostałych czterech nie zaprosił do Pałacu Prezydenckiego. Ci złożyli więc ślubowanie 9 kwietnia w Sejmie, w obecności marszałka Włodzimierza Czarzastego. A dokumenty z uroczystości przesłali na dziennik podawczy do Pałacu Prezydenckiego.

Nawrocki tego ślubowania nie uznał, nie uznał go również prezes TK Bogdan Święczkowski (niektórzy prawnicy, m.in. Marek Safjan, twierdzą, że Święczkowski nie jest prezesem, bo wybrano go w wadliwej procedurze). Mamy zatem pat, kompletne zapętlenie i wielkie rozczarowanie.

Pat, bo wszystko stoi w miejscu. Co z tego, że koalicja wybrała sześciu sędziów, w lipcu wybrała siódmego, Sławomira Patyrę (i jego ślubowanie Nawrocki przyjął), a za chwilę wybierze ósmego. Czwórki sędziów Święczkowski nie dopuszcza do orzekania i mogą co najwyżej posiedzieć na korytarzu. I PiS wciąż ma w Trybunale – według Święczkowskiego – większość. Zapętlenie, bo nie wiadomo, kto jest legalny, a kto nie, i jak wyjść z tej sytuacji. A rozczarowanie – to rzecz oczywista, bo sytuacja ośmiesza rząd i koalicję, pokazuje ich bezradność. W kwietniu, po zaprzysiężeniu w Sejmie czwórki sędziów, wydawało się, że koalicja ma pomysł na odbicie TK z rąk PiS. Że ta czwórka dobrych prawników da sobie radę. No i nie dała rady.

I teraz nasuwa się pytanie zasadnicze: czy Maciej Berek, jeżeli Sejm go wybierze, coś zmieni? Po to tam idzie. Premier Donald Tusk mówił, że Trybunał Konstytucyjny został „zmasakrowany przez PiS i ten absolutnie

eprasa.pl a4cc490153



Maciej Berek jeszcze niedawno był bliskim współpracownikiem Donalda Tuska. Warszawa, 28 sierpnia 2024 r.

nieakceptowalny stan jest chroniony przez pana prezydenta Nawrockiego". I dodawał: „Jak widzę, przepraszam, bandyckie metody czasami z tamtej strony, to nie będę udawał, że jestem taką ciotuleńką, która nie jest w stanie oddać. Tak nie może być. Zło nie może triumfować". Bo to jest „czyste plucie w twarz Polakom, tym, którzy uważają, że konstytucja coś znaczy". Trzeba więc „zrobić z tym porządek".

Te słowa uzupełnia Waldemar Żurek. W wywiadzie dla Wirtualnej Polski mówił twardo, że w sprawie Trybunału Konstytucyjnego „będzie zrobiony porządek". Jak? Tego nie chciał powiedzieć. „Nie mówię wprost, jaki mamy plan, ale prawo nie powinno ustępować bezprawiu", deklarował. Czyli czeka nas „wejście siłowe" do TK? Czy takie rozwiązanie ekipa rządząca bierze też pod uwagę? Oto odpowiedź: „Bierzemy pod uwagę, ale to nie będzie wejście siłowe, raczej zdecydowane wypełnienie tego, co narzucił nam ETPCz w zabezpieczeniu, które jasno wskazuje, że należy doprowadzić czterech prawidłowo wybranych sędziów TK do orzekania wszystkimi prawnymi sposobami. Prezes Trybunału nie jest »królem Słońce«, choć są pewne ograniczenia, ale nie powiem więcej. Na pewno jeśli zostanie to zrealizowane, nikt nie będzie mógł zarzucić nam złamania prawa".

Jak to będzie wyglądało w praktyce, przekonamy się w najbliższych tygodniach. Najpierw na sędziego musi być wybrany Maciej Berek, potem najprawdopodobniej będziemy mieli spektakl związany z jego zaprzysiężeniem, a potem… Wejście policji? Blokadę Trybunału? Coś innego?

Różne są scenariusze, każdy zakłada jakiś trik, wykorzystanie furtki prawnej. No i obecność tego zuchwałego, który nie będzie miał wątpliwości. Pewnie dlatego premier Tusk do Trybunału kieruje praktyka prawa Macieja Berka, a nie nobliwego profesora. Bo z tamtej strony ma prokuratora Święczkowskiego, wspomaganego prokuratorem Piotrowiczem. Musi więc być na twardo.

Zamysł tej operacji jest oczywisty. Tusk chce przejąć Trybunał i odblokować część spraw, które w nim zalegają. Ale przede wszystkim pokazać, że nie jest „ciotuleńką", że „potrafi oddać". I to jest istotne! W polityce liczą się emocje, a wyborcy chcą liderów zdecydowanych, pewnych siebie, sprawczych i zwycięskich.

Przez całe lata Tusk rywalizował o to miano z Jarosławem Kaczyńskim. Teraz ma naprzeciw siebie Karola Nawrockiego, który otwarcie mówi, że jego celem jest obalenie obecnego rządu. I robi wszystko, wetując ustawy, by sparaliżować prace rządu, buduje też wyborczą koalicję prawicy.

Polityczna wojna trwa i będzie eskalować. A Tusk jako jedno z pól walki wybrał Trybunał Konstytucyjny. Czy wygra? Paradoksalnie, i to jest kolejne piętro jego konstrukcji, to rzecz mniej istotna. Ważna, ale przecież nie na przejęciu Trybunału cała operacja się kończy.

I rząd, i koalicja rządząca mają słabe notowania. Gdyby wybory odbyły się dziś, koalicja oddałaby władzę. Atmosfera w niej nie jest zresztą bojowa. Piszą o tym media. „Gazeta Wyborcza" cytuje posłów KO: „Struktury leżą, są rozleniwione, panuje przekonanie, że wybory wygra za nas Tusk". Jednocześnie szepczą, że Tusk się zużywa, nie ma pomysłów itd. Premier jest zatem mniej więcej w podobnej sytuacji, w jakiej był rok temu, gdy wieszczono jego szybki upadek. Wyszedł z tego. A dziś – wszystko na to wskazuje – chce i musi powtórzyć manewr sprzed roku: spalić okręty.

Bitwa o TK do odbudowania tamtej atmosfery jak najbardziej się nadaje. Jako walka o kształt Polski, o jej ustrój – gdzie są granice kompetencji prezydenta? Kto narzuca interpretację prawa? Kto rządzi? Ale też jako sposób na mobilizację partyjnych struktur. A także urzędników i funkcjonariuszy – że nie powinni się ustawiać pod nowe rozdanie, które może nastąpić po przyszłorocznych wyborach. Bo jeśli będą za bardzo asekuranccy, mogą tych wyborów nie doczekać.

Ta historia sprzed roku… Donald Tusk przypomniał wówczas Hernána Cortésa, który, gdy przybił do wybrzeży Meksyku, spalił okręty, by jego wojskom nie przyszło do głowy się wycofać. „Okręty spalone, zostawiliśmy je na plaży. I tak jak niegdyś Cortés idziemy wyłącznie do przodu", mówił premier w lipcu 2025 r. Teraz też chce wzniecić atmosferę politycznej wojny. Bo – spójrzmy prawdzie w oczy – nie ma wyboru. A poza tym to mu najlepiej wychodzi.

r.walenciak@tygodnikprzeglad.pl

FOT. TOMASZ JASTRZĘBOWSKI/REPORTER

eprasa.pl a4cc490153

KOŚCIÓŁ PAZERNY I NIEMIŁOSIERNY

Osiedle Maltańskie w Poznaniu: dramat eksmitowanych, wielkie pieniądze i arogancja władzy

Andrzej Sikorski



45-letni Krzysztof Obst, schorowany podopieczny Miejskiego Ośrodka Pomocy Rodzinie, został eksmitowany siłą.

To nie musiało tak wyglądać. W środę 12 sierpnia kilkudziesięciu policjantów w pełnym rynsztunku bojowym, niektórzy zamaskowani, w towarzystwie komornika Pawła Śliwińskiego oraz dwóch mężczyzn w żółtych kamizelkach, wyposażonych w łomy i młoty, przeprowadziło pierwszą eksmisję na Osiedlu Maltańskim w Poznaniu.

Ponieważ 45-letni Krzysztof Obst, schorowany podopieczny miejskiego ośrodka pomocy rodzinie, nie chciał dobrowolnie wpuścić władzy państwowej do zajmowanego domu, ta weszła siłą, wyważając drzwi. „Czynnościom urzędowym" towarzyszył krzyk protestujących mieszkańców i aktywistów. Doszło do przepychanek. Bronisławę Waszkiewicz, prezeskę Stowarzyszenia Maltańskie Nasz Dom, która broniła dostępu do drzwi, stróże prawa chwycili za ręce, próbując odciągnąć na bok. Starsza kobieta poczuła się na tyle źle, że wezwano karetkę.

Policjanci musieli się czuć bardzo pewnie, bo bez powodu popychali też innych protestujących, a nawet dziennikarzy. Jeden z funkcjonariuszy groził przedstawicielom mediów, że jeśli jego twarz zostanie pokazana publicznie, to „spotkamy się w sądzie".

Robotnicy w żółtych kamizelkach spakowali dobytek Krzysztofa Obsta do kartonowych pudełek, a potem wrzucili je na pakę białego dostawczaka. Eksmitowanemu komornik Śliwiński zaproponował miejsce w opłaconym hotelu. Na razie na miesiąc. Potem to już zmartwienie miasta, więc pewnie pan Krzysztof wylądowałby w przytułku dla osób bezdomnych, bo gmina nie dysponuje lokalami komunalnymi ani socjalnymi. Mężczyzna odmówił. Tymczasowej gościny udzielili mu przyjaciele z Osiedla Maltańskiego. Pewnie nie na długo. Wkrótce ruszą kolejne eksmisje. Do wysiedlenia jest jeszcze kilkaset osób, w większości biednych, starszych, schorowanych i nieporadnych życiowo.

Cenny teren i niechciani ludzie

Osiedle Maltańskie to kilkanaście hektarów położonych w sąsiedztwie Jeziora Maltańskiego, 3,5 km od poznańskiego Starego Rynku. Na terenie po dawnych ogródkach działkowych stoi ok. 200 murowanych domków i drewnianych altan, bez kanalizacji, utwardzonych dróg i z siecią wodociągową jeszcze z lat 30. XX w. Niektóre zabudowania prowizorycznie odnowiono, ale większość jest w opłakanym stanie i przypomina slamsy z państw zwanych dawniej Trzecim Światem. Po raz pierwszy byłem tam w 1997 r. Potem jeszcze kilkakrotnie. Za każdym

eprasa.pl a4cc490153

razem widok był przygnębiający, choć mieszkańcy nie narzekali i wydawali się pogodzeni z losem.

Teren ten przed wojną należał do Kościoła. Parafia św. Jana Jerozolimskiego za Murami w Poznaniu w czasach wielkiego kryzysu gospodarczego udostępniła działki ubogim, aby ci mogli uprawiać warzywa i owoce. Z czasem powstały tam zabudowania, wznoszone bez stosownych pozwoleń, byle jak, do których przeprowadzili się ludzie. W latach 50. i 60. grunty przejęło państwo. A po upadku PRL Kościół upomniał się o swoje i odzyskał dawną własność.

Początkowo parafia nie ingerowała w życie lokatorów, a z częścią podpisano umowy dzierżawy gruntu. Po jakimś czasie księża uznali jednak, że trzeba zrobić porządek na włościach, tym bardziej że Rada Miasta Poznania w uchwale z 2004 r. zmieniającej plan zagospodarowania przestrzennego dla tej nieruchomości uznała teren za „zdegradowany". Według rajców „istniejąca substancja mieszkaniowo-gospodarcza nie da się zaadaptować w jakimkolwiek przyszłym zagospodarowaniu, z uwagi na niespełnienie przepisów prawa budowlanego i tych, które dotyczą dróg publicznych".

Czyli już 22 lata temu samorządowcy wydali wyrok na osiedle i jego mieszkańców. Ale władze Poznania, choć miały bardzo dużo czasu, aby się przygotować i zapewnić ludziom mieszkania, nie zrobiły nic, mniemając zapewne, że problem rozwiąże się sam. Wyjątkową szczerością popisała się radna KO Małgorzata Woźniak, przewodnicząca Komisji Polityki Mieszkaniowej, która stwierdziła, że „miasto nie jest stroną" i „nie będziemy brać odpowiedzialności za to, co było kiedyś". Takie postawienie sprawy było chamskie i niedorzeczne, bo przecież to władze Poznania przez kilkadziesiąt lat nie tylko pozwalały na samowolę budowlaną, ale także meldowały ludzi na osiedlu.

Strona kościelna też umyła ręce, wskazując, że zgodnie z prawem to samorząd odpowiada za zapewnienie obywatelom dachu nad głową. A ponieważ księża nie zamierzali prowadzić działalności charytatywnej, w 2024 r. zaczęli czynić starania o wyeksmitowanie mieszkańców – na początek tych, którzy nie podpisali umów dzierżawy gruntów. Nie wszyscy chcieli podpisywać takie umowy, bo słusznie obawiali się, że za jakiś czas dostaną od parafii wypowiedzenia, będą musieli opuścić swoje domostwa i trafią pod most.

Nieufność ludzi potęgowały sprzeczne komunikaty. Archidiecezja poznańska tłumaczyła, że „podjęte działania prowadzą do uregulowania statusu prawnego i nie mają nic wspólnego z eksmisją mieszkańców", natomiast ks. Paweł Deskur, proboszcz parafii św. Jana Jerozolimskiego za Murami, twierdził, że „kuria rozmawiała już z wieloma inwestorami, potencjalnie zainteresowanymi zakupem tego terenu, ale żaden z nich się nie zdecydował, bo warunek był taki, że przed rozpoczęciem inwestycji trzeba kulturalnie wyprowadzić lokatorów". Innym razem ks. Deskur zapewniał: „Gwarantuję głową, że nie ma mowy o eksmisjach w takim znaczeniu, że przyjeżdża komornik, wystawia rzeczy i mówi: radźcie sobie".



Pikieta mieszkańców Osiedla Maltańskiego przed Urzędem Miasta, Poznań 7 kwietnia 2026 r.

Ziemia sprzedana, problem pozostał

W styczniu br. parafia sprzedała Osiedle Maltańskie spółce JHM Development, będącej częścią grupy Mirbud, za którą stoi Jerzy Mirgos. Wpływowy biznesmen jest jednocześnie wiceprezesem w JHM Development i prezesem w Mirbudzie.

Do wysiedlenia jest jeszcze kilkaset osób, w większości biednych, starszych, schorowanych i nieporadnych życiowo.

Kwota transakcji to ponad 422 mln zł. Nowy właściciel zamierza wybudować na terenie dawnych ogródków potężny kompleks mieszkaniowo-usługowy z 2 tys. mieszkań. O tym, że osiedle zostało sprzedane, mieszkańcy dowiedzieli się z internetu. Ludzie nie ukrywali złości. Kilkaset osób demonstrowało przed poznańską katedrą. Protest wsparli Piotr Ikonowicz i Adrian Zandberg.

Posłanka Marcelina Zawisza kilkakrotnie interweniowała u prezydenta

FOT. PAWEŁ JASKÓŁKA/AGENCJA SE/ EAST NEWS, JAREK SZYMANKIEWICZ/REPORTER

eprasa.pl a4cc490153

Jacka Jaśkowiaka. Za pierwszym razem włodarz umówił się na spotkanie, ale gdy zobaczył polityczkę w towarzystwie mieszkańców zagrożonych eksmisją, zdezerterował. Podczas drugiego spotkania doszło do scysji. „Zachowywał się naprawdę niekulturalnie. Obrażał mnie i mieszkańców. Mówił o nich niemiłe, okropne rzeczy", relacjonowała Marcelina Zawisza. Jaśkowiak odbijał piłeczkę: „Powiedziałem (...) posłance Zawiszy, że w jej zachowaniach nie widzę jakiejkolwiek troski o tych ludzi, tylko wyrachowane działanie, którego celem jest uzyskanie rozgłosu. Dla mnie to niepojęte u kogoś, kto deklaruje lewicową wrażliwość".

Aroganckim zachowaniem Jacek Jaśkowiak tylko zaognił i tak już napiętą sytuację. W czerwcu podczas sesji rady miasta prezydent został uderzony tortem. Policja zatrzymała dwóch mężczyzn związanych z anarchistycznym kolektywem Rozbrat, który wspiera mieszkańców Osiedla Maltańskiego. W czasie „zamachu" mężczyźni krzyczeli: „To jest nasze wotum nieufności, wotum nieufności Poznaniaków!" i „Jaśkowiak, pogrążasz to miasto i właśnie na to zasługujesz".

Godzinę po zdarzeniu Jaśkowiak w rozmowie z dziennikarzem ubolewał nad zniszczeniem garnituru i wywodził, że gdyby to był atak z drugiej strony, mógłby się uchylić i wyprowadzić „uderzenie kontrujące". (Tym, którzy nie śledzą kariery włodarza Poznania, trzeba wyjaśnić, że jest on zapalonym bokserem). Dostało się też posłance Zawiszy: „Proszę sprawdzić nagrania. Czy te same osoby nie uczestniczyły w agresywnej quasiinterwencji posłanki Zawiszy w moim gabinecie. Jeśli dobrze pamiętam, to te same twarze, to samo towarzystwo".

Fałszywe świadectwo

Okazało się jednak, że Jacek Jaśkowiak sam nie ma czystego sumienia. W lokalnym portalu wPoznaniu.pl, którego wydawcą jest spółka należąca do Międzynarodowych Targów Poznańskich, stanowiących własność miasta, ukazał się kłamliwy tekst o Patrycji Bartoszewskiej, jednej z liderek protestu mieszkańców Osiedla Maltańskiego. W tekście podano, że kilkanaście lat temu kobieta sprzedała kamienicę z lokatorami za 8 mln zł. Jaśkowiak udostępnił artykuł na Facebooku i publicznie go skomentował, twierdząc, że „nie będzie napychał kobiecie kieszeni", zapewniając jej mieszkanie komunalne, skoro jest milionerką i czyścicielką kamienic. Na aktywistkę wylała się fala hejtu. Dziennikarze „Gazety Wyborczej" przeprowadzili śledztwo, ustalając, że artykuł był prowokacją, w której oprócz Jaśkowiaka uczestniczyli Jacek Masiota, prawnik reprezentujący archidiecezję poznańską, i agencja PR działająca na rzecz kurii.

W rozmowie z dziennikarzami Jaśkowiak oświadczył arogancko, że nie interesują go fakty w sprawie Bartoszewskiej i kamienicy. A prawda była taka, że Bartoszewska jako 22-latka dostała w spadku po zmarłym ojcu kamienicę, którą sprzedała za 1,8 mln zł. Pieniędzy jednak nie zatrzymała dla siebie, bo zgodnie z decyzją sądu musiała spłacić przyrodniego brata. Zostało jej 250 tys. zł, a na koszty sądowe i prawników przeznaczyła 150 tys. zł. Kobieta wpadła w długi, bo urząd skarbowy naliczył jej 400 tys. zł podatku.

„Czy to moja wina, że ktoś dziedziczy majątek warty kilka milionów i kończy z długami?", kpił Jaśkowiak, przyznając, że o sprawie kamienicy wiedział przed ukazaniem się artykułu z donosu, który trafił na jego biurko. Pytany, czy ten donos dostał od osób zaangażowanych w sprzedaż Osiedla Maltańskiego, odpowiedział: „Być może. Nie pamiętam".

Za to dobrą pamięć mieli dziennikarze portalu wPoznaniu.pl. Przyznali się, że pisząc artykuł szkalujący Bartoszewską, korzystali z gotowca od agencji PR współpracującej z Kościołem. Swojej roli nie ukrywał też mecenas Masiota. Prawnik potwierdził, że to jego aplikanci zebrali informacje o kamienicy Bartoszewskiej, a on przekazał te materiały dalej, tj. do spółki Komandoria, którą archidiecezja poznańska wynajęła do przeprowadzenia eksmisji, lub do agencji PR, która działała na zlecenie Komandorii.

A co ma do powiedzenia abp Zbigniew Zieliński? Metropolita poznański nie rozmawia z dziennikarzami albo odpowiada zdawkowo. Co do kłamliwego artykułu o Patrycji Bartoszewskiej, „to trudno mu się do tego ustosunkować", w oświadczeniu kurii metropolitalnej napisano zaś, że eksmitowani dostaną lokale komunalne od miasta (co jest nieprawdą, bo Poznań nie ma wolnych mieszkań). Z kolei 422 mln zł ze sprzedaży Osiedla Maltańskiego zostaną wykorzystane „zgodnie z przepisami prawa kościelnego", cokolwiek to znaczy. Za te pieniądze archidiecezja mogłaby zapewnić eksmitowanym mieszkania, wszak rolą Kościoła jest, oprócz głoszenia słowa bożego, pomoc ubogim i potrzebującym. Ale Pan Jezus ma w tej chwili ważniejsze potrzeby.

Andrzej Sikorski



eprasa.pl a4cc490153

Musimy uczyć dzieci, jak być dobrymi obywatelami

Fragmenty rozmowy przeprowadzonej przez Wojciecha Łaskiego, fotografa i dziennikarza, z Wandą Traczyk-Stawską w 80. rocznicę wybuchu powstania warszawskiego

Gdzie zastał panią wybuch powstania i jak pani się o nim dowiedziała?

– Wybuch powstania wywołał taki entuzjazm wśród ludności Warszawy, że zawsze o tym momencie pamiętam. Powstanie mnie nie zastało – ja do niego doszłam. Byłam w konspiracji w Szarych Szeregach. Miałam wyznaczoną placówkę i rozkaz zameldowania się u „Huberta" (Aleksandra Kamińskiego, autora książki „Kamienie na szaniec" – przyp. red.). Pełniłam funkcję, o której rzadko się mówi, bardzo niebezpieczną i trudną, polegającą m.in. na ratowaniu Żydów.

Gdzie się pani nauczyła strzelać i rzucać granatem?

– Nauczył mnie tego kolega z batalionu „Zośka". Był bardzo odważnym chłopcem, poległ w powstaniu. Na pary Niemcy zwracali mniejszą uwagę. Uważali, że chłopak z dziewczyną bardziej są zajęci sobą aniżeli konspiracją czy walką. Moim marzeniem było walczyć z bronią w ręku. Pracując w konspiracji, roznosiliśmy warunkowe wyroki śmierci, o czym także mało się mówi. Polskie służby, kierując się prawem, miały też za zadanie wykonywanie wyroków. Zdarzało się przecież, że zdradzali nawet ci, którzy byli w konspiracji. A do więzienia nie można było nikogo wsadzić, bo więzień nie było.



WANDA TRACZYK-STAWSKA
– (ur. 7 kwietnia 1927 r. w Warszawie, zm. 18 sierpnia 2026 r. tamże) ps. „Pączek", „Atma", harcerka Szarych Szeregów, żołnierka Armii Krajowej, uczestniczka powstania warszawskiego. Psycholożka, nauczycielka, działaczka społeczna i kombatancka.

Kiedy wybuchło powstanie, była pani młodą dziewczyną. Jak wyglądały pani pierwsze dni?

– To był dla mnie bardzo trudny czas. Nie miałam broni, a musiałam chodzić do ludzi, którzy donosili. Nigdy nie wiedziałam, czy nie zaczną mnie bić, by wymusić informacje o tym, kto stoi za warunkowymi wyrokami śmierci. Polakom, którzy zdradzali, roznosiliśmy pisma warunkujące: albo zaprzestanie donoszenia, albo śmierć. Roznoszący te pisma byli starannie obserwowani.

W Szarych Szeregach była pani jedną z osób, które roznosiły także informacje drukowane.

– Roznosiłam „Biuletyn Informacyjny". Wymyśliłam na to własną metodę: kupowałam gazetę, której treść odpowiadała Niemcom...

Gadzinówkę!

– ...„Nowy Kurier Warszawski", wkładałam do niego „Biuletyn Informacyjny" i mówiłam zainteresowanym kupnem o wkładce. Warszawiacy roznoszących prasę bardzo chronili. Ostrzegali: „Nie biegnij tam, bo jest łapanka" albo: „Niemcy przeprowadzają rewizję", „Schowaj się w to podwórko i idź w przeciwną stronę". Tak miasto chroniło swoje najmłodsze dzieci.

Powstanie miało trwać trzy dni, a trwało 63.

– Powstanie było czasem, kiedy wszyscy płakali. To była niezwykle piękna chwila, kiedy widziałam ludzi wzruszonych widokiem flag wiszących w bramach. Teraz, chociaż to święto ważne dla Polaków, flag wywiesza się mało. I to mnie boli. Wtedy za flagę można było być aresztowanym. Teraz brakuje poczucia, że jesteśmy wolni, że mamy się z czego cieszyć, możemy sobie pomagać i dbać o symbole.

FOT. WOJTEK RADWANSKI/ AFP/ EAST NEWS

eprasa.pl a4cc490153

Nie mówiła pani zbyt wiele o ratowaniu Żydów. A ktoś musiał ich ratować. Doskonale wiemy, jaka wówczas panowała atmosfera. Przechowywanie Żydów nie było łatwe.

– Żydzi powinni wiedzieć, że nie mają prawa mówić o naszej względem nich nielojalności. Staraliśmy się im pomagać. Bywało, że prowokowali i donosili. Nasi wywiadowcy wiedzieli bardzo dużo o ich postawie. My wiedzieliśmy dużo mniej. Choć o tym wiele się nie mówi, bardzo pomagaliśmy Żydom, narażając życie najmłodszych członków Szarych Szeregów. Więcej natomiast się mówi o naszej wobec nich nielojalności, co jest nieprawdą.

Chociaż pani o tym nigdy nie mówiła, na pewno uratowała pani niejednego z nich.

– Oczywiście. Pomagaliśmy Żydom. Wymagało to od nas, małoletnich, niesłychanej odwagi. I było obarczone ryzykiem. Dla mnie konspiracja była bardzo ważną częścią walki z Niemcami. Nasze akcje były cichutkie, ale zawsze bardzo skuteczne.

Wchodziliście do getta?

– Tak. Zadania były uzależnione od wieku. Najmłodsi mieli zazwyczaj lżejsze zadania, starsi – co było dla mnie najtrudniejsze – narażali się bez broni. Mając broń, czułabym się bezpieczna. W przypadku wpadki nie dałabym się aresztować – wolałabym popełnić samobójstwo. Nikt z nas nie mógł być pewien, ile bólu wytrzyma, jak będą go bić, by wydobyć informacje.

Był czas w trakcie powstania, kiedy z jednej strony Wisły mieliście Niemców, a z drugiej pojawili się Rosjanie.

– Pod koniec powstania powtarzaliśmy sobie słowa z wiersza, o którym się teraz nie wspomina: „Witamy cię czerwona zarazo, która uwalniasz nas od brunatnej śmierci". O Rosjanach mówiliśmy „czerwona zaraza", bo wiedzieliśmy, kim są. Byliśmy świadomi tego, że ci, co wchodzą, to było bardzo mieszane towarzystwo. Część z nich to byli rzeczywiście Polacy, którzy pragnęli niepodległości kraju, a część – tacy, którzy widzieli Polskę pod kuratelą Rosji. Byli też Polacy, którzy szli ze Wschodu, wcieleni do armii radzieckiej.

Co pani powie osobom, które dzisiaj podważają słuszność powstania warszawskiego?

– To bardzo trudny temat. Jedno jest pewne: powstanie wybuchło, bo Warszawiacy wierzyli, że przyjmą Rosjan w wolnym mieście, którego będą gospodarzami. Nie wyobrażali sobie, że Rosjanie wejdą i będą tu rządzić. Czuliśmy się bardzo dobrze zorganizowani i mieliśmy swoje zasady. To jest teraz mało eksponowane, choć na to zasługuje.

Czym zajmowała się pani po powrocie z niewoli?

– Kiedy wróciłam do kraju, od razu zaangażowałam się w pracę dla dzieci niepełnosprawnych umysłowo i zaniedbanych moralnie. Pierwsze kroki skierowałam do liceum pedagogicznego.

Czyli w PRL była pani nauczycielką?

– Tak, byłam po prostu nauczycielką i miałam bardzo dobre wyniki w nauczaniu. Bywało, że nawet starsi ode mnie uczniowie traktowali mnie z wielkim szacunkiem. Służbę dzieciom traktowałam priorytetowo. Są dla mnie najważniejsze. Taka będzie przyszłość narodu, jak wychowamy nowe pokolenia. Musimy je uczyć tego, jak być dobrymi obywatelami. Prowadzę w szkołach akcję – rozdaję książeczki, w których jest tekst konstytucji. Dzieci ze starszych klas powinny znać konstytucję, aby rozumieć swoje obywatelskie obowiązki. Każdy młody człowiek powinien wiedzieć, że będzie kiedyś głosował i decydował o rządzeniu krajem. Musimy wyciągnąć wnioski sprzed wojny, przypomnieć sobie, co było wówczas cenne i ważne. Przecież nas wtedy starano się wychować. Jak przyszła okupacja, jak przyszło powstanie, stanęliśmy do walki. To zasługa naszych rodziców.

Teraz z wychowaniem jest źle?

– Nie jest źle, ale nie jest też wystarczająco dobrze. Za często się kłócimy, nie potrafimy pójść na kompromisy, by zapewnić spokój i dobrą atmosferę w naszych domach. Razem jesteśmy siłą. Nie jest dobre dla Polski, by dbać tylko o własną partię i starać się o przedłużanie jej władzy. Wybór byle kogo, kto nie ma głowy, nie ma serca i jest pozbawiony moralności, jest złym wyborem. Przeżyliśmy bardzo zły okres, teraz jest lepiej i mam nadzieję, że ten rząd ma wszystkie klepki. Mam do niego zaufanie, wierzę, że rządzący rozumieją, co robią, i widzą potrzeby kraju. Jesteśmy narodem, który potrafi być dla siebie życzliwy, ale wciąż jesteśmy skłóceni. Kaczyński ma bardzo zły wpływ na nasz wizerunek. To człowiek, który nigdy nie powinien mieć władzy.

Wojciech Łaski



eprasa.pl a4cc490153

Kim jest Andrij Sadowy, mer Lwowa

Afery, skandale, pomniki UPA i żona – najbogatsza kobieta zachodniej Ukrainy

Marek Czarkowski

Proeuropejski wizerunek łączy z twardą polityką historyczną, a skromny majątek – z medialno-biznesowym imperium zarządzanym przez żonę, najbogatszą kobietę zachodniej Ukrainy.

Andrij Sadowy rządzi Lwowem od 2006 r., dłużej niż jakikolwiek prezydent Ukrainą. Przetrwał Wiktora Juszczenkę, Wiktora Janukowycza, Petra Poroszenkę i pierwszą kadencję Wołodymyra Zełenskiego. Przetrwał nawet własną partię Samopomoc, która w 2014 r. jako trzecia siła weszła do Rady Najwyższej Ukrainy, a po pięciu latach została zredukowana do roli politycznego planktonu.

Sadowy przetrwał też zarzuty Specjalnej Prokuratury Antykorupcyjnej (SAP), podejrzewającej go o łapownictwo i przyczynienie się do kryzysu śmieciowego, z powodu którego Lwów stał się symbolem niekompetencji i celem ataków ukraińskich dziennikarzy.

Choć trzeba również przyznać, że za jego czasów Lwów był jednym z lepiej zarządzanych miast Ukrainy. Mer, świetnie władający językiem angielskim, otwarty na zachodnie inwestycje, promujący stolicę Galicji jako centrum technologiczne i kulturalne, wydaje się nowoczesnym samorządowcem. Jednak w zakresie polityki historycznej jego działania drastycznie odbiegają od zachodnich standardów rozliczania trudnej przeszłości i ujawniają twardy pragmatyzm nastawiony na lokalnego, nacjonalistycznego wyborcę.

Andrij Sadowy przez lata wspierał inicjatywy upamiętniające Organizację Ukraińskich Nacjonalistów i Ukraińską Powstańczą Armię. Lwowski samorząd nie tylko akceptował, ale



Andrij Sadowy z żoną Kateryną Kit-Sadową na obchodach Bożego Narodzenia we Lwowie w 2023 r.

i współfinansował projekty edukacyjne, zatwierdzał nazewnictwo ulic oraz wspomagał inicjatywy stawiania pomników członkom tych formacji. Pamięć o ludziach odpowiedzialnych za czystki etniczne na Wołyniu stała się jednym z filarów polityki historycznej, a banderowska symbolika i oficjalne obchody rocznicowe na trwałe wpisały się w miejski kalendarz.

Mer i pamięć historyczna

Przykładem ilustrującym postawę Sadowego, była reakcja na zniszczenie przez rosyjski dron w nocy z 31 grudnia 2023 r. na 1 stycznia Muzeum Romana Szuchewycza w lwowskiej dzielnicy Biłohorszcze. Mieściło się w domu, w którym ukrywał się dowódca UPA i w którym zginął w marcu 1950 r. w walce z funkcjonariuszami MGB (Ministerstwa Bezpieczeństwa Państwowego). To dziś jedno z sanktuariów ukraińskiego nacjonalizmu.

Pierwsza reakcja mera Lwowa była zaskakująca – ewentualnym darczyńcom publicznie odradził finansowanie odbudowy, sugerując, by pieniądze przeznaczyli na Siły Zbrojne Ukrainy, a odbudowę muzeum zapowiedział „po zwycięstwie".

Odpowiedź środowisk narodowych była natychmiastowa. Fundacja Petra Poroszenki już 2 stycznia zaoferowała 4 mln hrywien i gwarancję bankową na odbudowę. 17 stycznia zaś w Lwowskim Muzeum Historycznym odbyło się zebranie z udziałem córki Szuchewycza Marii Trylowskiej, Bohdana Borowycza szefującego Wszechukraińskiemu Bractwu OUN-UPA im. generała-chorążego Romana Szuchewycza-Tarasa Czuprynki i dysydenta Myrosława Marynowycza. Zachowanie mera zostało podczas spotkania skrytykowane.

eprasa.pl a4cc490153

6 lutego Lwowska Rada Obwodowa przyjęła uchwałę o odbudowie muzeum w pierwotnym kształcie, a 28 lutego fundacja Poroszenki wystąpiła z listem otwartym, w którym nazwała Sadowego „człowiekiem, który świadomie lub nieświadomie hamuje proces odbudowy muzeum". Kiedy ten zorientował się, że podjął złą decyzję – przeszedł na drugą stronę barykady. Zrobił to w tak spektakularny sposób, że dziś jest twarzą projektu odbudowy Muzeum Romana Szuchewycza. Dowódcę UPA, bezpośrednio odpowiedzialnego za ludobójstwo na Wołyniu i w Małopolsce Wschodniej, nazwał bohaterem narodowym i symbolem walki o niepodległość.

Z jego inicjatywy rada miejska stworzyła w celu odbudowy muzeum specjalną grupę roboczą, a ratusz przejął rolę zamawiającego. Inwestycja oficjalnie ruszyła w marcu 2026 r. Sadowy osobiście informuje o postępach prac. Zapowiedział powiększenie powierzchni muzeum o połowę, wykup sąsiedniej chaty na „przestrzeń publiczną, gdzie płastuni (skauci ukraińscy – przyp. red.) i młodzież będą studiować historię", odtworzenie stawu, budowę parkingu itp.

Sadowy jednak nie został ideologicznym motorem kultu Szuchewycza, lecz jego niezawodnym wykonawcą. Gdy kalkulacja polityczna wskazała, że koszt oporu jest wyższy niż koszt uczestnictwa – stanął na czele pochodu.

W kwestii rzezi wołyńskiej mer Lwowa od lat prezentuje stanowisko wpisujące się w oficjalną ukraińską narrację symetrii win. Unikając jednoznacznego potępienia zbrodni popełnionych na polskiej ludności cywilnej, Sadowy wielokrotnie apelował o „wzajemne wybaczenie", stawiając na równi polskie akcje odwetowe i zaplanowaną, masową czystkę etniczną przeprowadzoną na Kresach Południowo-Wschodnich przez oddziały UPA.

W sprawie odblokowania prac ekshumacyjnych i poszukiwawczych na terenie obwodu lwowskiego władze miejskie pod jego wodzą wykazywały bierność, uzależniając postępy od polityki władz centralnych



Mer Andrij Sadowy podczas rozpoczęcia roku harcerskiego organizacji Płast. Lwów, 17 września 2023 r.

w Kijowie i odbudowy ukraińskich miejsc pamięci w Polsce.

Nie udało mi się odnaleźć żadnej inicjatywy Sadowego wspierającej miejski program upamiętnienia polskich ofiar. Jest za to ostentacyjna dbałość o „miękką" warstwę polskiego dziedzictwa we Lwowie: renowacje, cmentarze, festiwale, wspólne deklaracje samorządowe. Pełne zaangażowanie w restaurację polskich zabytków, a zarazem całkowita obojętność wobec pamięci ofiar Wołynia. I to moim zdaniem jest najlepszy opis doktryny historycznej Sadowego. Dziedzictwo stanowi zasób turystyczny i dyplomatyczny. Ofiary są ryzykiem politycznym.

Dla naszych polityków to złe informacje. Z merem administratorem, dla którego gloryfikacja UPA jest kolejną pozycją w budżecie i elementem budowy wizerunku, nie ma o czym rozmawiać.

Mąż swojej żony

Według deklaracji majątkowej za rok 2025 Andrij Sadowy z tytułu wynagrodzenia uzyskał dochód w kwocie 1 266 807 hrywien, co dało mu czwarte miejsce w Ukrainie. Więcej od niego zarabiali: mer Charkowa Ihor Terechow – 2 260 248 hrywien, mer Odessy Hennadij Truchanow (za okres od stycznia do października) – 1 744 835 hrywien oraz mer Kijowa Witalij Kliczko – 1 444 944 hrywny. Mer Lwowa nie posiada żadnych nieruchomości ani samochodów.

Za to jego żona Kateryna Kit-Sadowa, z wykształcenia historyczka sztuki, zgłosiła ponad 13 mln hrywien dochodu z aktywności biznesowej i medialnej. Jej najważniejszymi aktywami są udziały w lwowskim holdingu medialnym TRK Lux, do którego należą m.in. Radio Lux FM, Radio Maximum, Telekanal 24, serwis Zaxid.net, Football 24 oraz agencja reklamowa Lux.

W deklaracji za rok 2024 r. Kit-Sadowa wpisała ponad 10,7 mln hrywien dywidend oraz 2,3 mln hrywien wynagrodzenia. Należy do tego doliczyć dom we Lwowie o powierzchni 600 m kw., dwie działki będące jej własnością oraz trzecią działkę w mieście, użytkowaną na podstawie najmu. Kit-Sadowa jest też wskazana jako beneficjent rzeczywisty 15 spółek. Ma dwa samochody: Skodę Kodiaq, rocznik 2017, oraz Mercedesa V 300 d z 2021 r., kupionego za ok. 2,3 mln hrywien.

Andrij Sadowy i Kateryna Kit wzięli ślub w 2001 r. Mają pięciu synów. Najstarszy, Iwan-Paweł, ukończył Nottingham Business School przy Nottingham Trent University w Wielkiej Brytanii. Dwaj młodsi bracia, Tadej-Łuka i Mychajło, zdaniem ukraińskich mediów także kontynuują naukę w Wielkiej Brytanii. Warto

FOT. PAVLO PALAMARCHUK/ANADOLU AGENCY/ABACAPRESS.COM/EAST NEWS (2)

eprasa.pl a4cc490153

wspomnieć, że roczne czesne i podstawowe koszty utrzymania studenta w Wielkiej Brytanii to zwykle ok. 36-55 tys. funtów. Co oznacza, że rodzina Sadowych musi się liczyć z rocznym wydatkiem ok. 110 tys. funtów na edukację synów. Przy założeniu, że Iwan-Paweł już pracuje. Najmłodsi synowie, Josyp i Anatolij, uczą się w ukraińskich szkołach, więc pewnie koszt ich utrzymania jest niższy.

Reakcja Ukraińców na informacje o najstarszych synach Sadowego – zwłaszcza w mediach społecznościowych – była krytyczna i emocjonalna. Ich pobyt w Wielkiej Brytanii podczas wojny wielu odbiera jako symbol nierówności – dzieci wpływowych osób mogą zdobywać zagraniczne wykształcenie, podczas gdy inne są mobilizowane i giną na froncie.

Krytyka mera Lwowa nasiliła się w tym roku, po apelu dotyczącym obowiązkowego przeszkolenia wojskowego mężczyzn. Wypominano mu wtedy synów, którzy tworzą zalążek tzw. Batalionu Londyn. Sadowy musiał przyznać, że temat wywołuje silne reakcje. Trudno się dziwić. Zwłaszcza media społecznościowe pełne są zdjęć i filmów ilustrujących podróże do egzotycznych krajów synów i córek wpływowych ukraińskich polityków. Pikanterii sprawie dodaje fakt, że na ogół posługują się oni językiem Puszkina, a nie Tarasa Szewczenki.

Afery

Obraz mera Andrija Sadowego byłby niepełny, gdyby nie wspomnieć o licznych skandalach i podejrzeniach o machinacje finansowe.

W 2015 r. Lwowska Rada Miejska sprzedała 23,49 ha gruntu w mikrorejonie Rzęsna-2 spółce będącej częścią holenderskiego giganta parków przemysłowych CTP. Inwestor obiecywał m.in. ok. 3 tys. miejsc pracy i budowę pierwszego w Ukrainie wysokiej klasy parku przemysłowego. 21 listopada 2019 r. SAP postawiła Sadowemu oraz p.o. dyrektorowi departamentu urbanistyki Serhijowi Korowajnykowi zarzuty nadużycia władzy.

Komunikat SAP mówił o szkodzie wycenionej na 93,5 mln hrywien. Obu panom zarzucano, że grunty leżały na terenie wsi Rzęsna Ruska, więc rada miasta nie miała prawa nimi rozporządzać. Poza tym sprzedano je rażąco tanio – za 52,5 mln hrywien przy normatywnej wycenie wynoszącej ok. 140 mln hrywien. W grudniu 2020 r. SAP poinformowała jednak, że sprawa nie zostanie skierowana do sądu z powodu braku dowodów winy. Projekt w praktyce został zablokowany, a holenderski inwestor pierwszego w Ukrainie parku przemysłowego utknął w konflikcie kompetencyjnym. Park przemysłowy M-10 w Rzęsnej Ruskiej buduje dziś inny podmiot – Dragon Capital.

O wiele głośniejszą sprawą był skandal związany z wysypiskiem śmieci w Hrybowyczach (Grzybowicach) Wielkich pod Lwowem. Czynne od dekad, formalnie wyeksploatowane i wielokrotnie wskazywane w kontrolach jako zagrożenie ekologiczne wysypisko przez cały okres rządów Sadowego było jedynym miejscem składowania odpadów z miasta liczącego ponad 700 tys. mieszkańców. 30 maja 2016 r. doszło na nim do pożaru i osunięcia się masy odpadów. W akcji ratunkowej zginęli ludzie, w tym strażacy.

Zamknięcie wysypiska wywołało trwający ponad rok kryzys, podczas którego Lwów wywoził odpady do kilkunastu obwodów Ukrainy, a inne samorządy – często z powodów politycznych – blokowały ich przyjmowanie. Ulice miasta z zalegającymi hałdami śmieci stały się sensacyjnym materiałem dla mediów w całej Europie. Wobec urzędników miejskich prowadzone były postępowania karne. Sam Sadowy konsekwentnie przedstawiał sprawę jako element nacisku administracji prezydenta Poroszenki, z którym był skonfliktowany.

Przy czym Lwów od dawna korzystał z kredytów i grantów EBOiR mających wspierać powstanie projektu nowoczesnego zakładu przetwarzania odpadów. Tyle że prace ciągnęły się latami, dlatego katastrofa nie była wypadkiem, lecz konsekwencją odkładania decyzji, które trzeba było podjąć dekadę wcześniej.

Paradoksem jest, że skandaliczna porażka Sadowego nie okazała się gwoździem do jego politycznej trumny. Stało się wręcz przeciwnie, sięgnięcie po narrację o „śmieciowej blokadzie Lwowa przez Kijów" pozwoliło mu przekuć własne zaniedbania w opowieść o prześladowanym mieście.

W 2021 r. krakowska spółka Control Process wygrała międzynarodowy przetarg na budowę instalacji przetwarzania odpadów komunalnych we Lwowie, co miało rozwiązać śmieciowy problem. Kontrakt przewidywał zakończenie prac i uruchomienie zakładu do 4 października 2025 r. W marcu br. miasto zerwało umowę i uruchomiło gwarancje bankowe. Polacy twierdzą, że to Lwów powodował opóźnienia, zalegał z płatnościami i bezprawnie odstąpił od kontraktu. Żądają jego wznowienia oraz ok. 17 mln euro – wliczając w tę kwotę niezapłacone wynagrodzenie, zwrot środków z gwarancji i odszkodowanie.

Andrij Sadowy przez lata wspierał inicjatywy upamiętniające OUN i UPA.

W procedurach arbitrażowych nasza firma uzyskała korzystne dla siebie decyzje dotyczące części sporów, lecz nie ma jeszcze prawomocnego wyroku arbitrażu ICC (Międzynarodowej Izby Handlowej) w Paryżu, który rozstrzygnie całą sprawę.

W czerwcu br. temat publicznie podniósł minister spraw zagranicznych Radosław Sikorski, a polskie MSZ skrytykowało sposób potraktowania polskiego wykonawcy. Nic to nie dało.

I to powinno niepokoić Polskę oraz Unię Europejską. Przed nami perspektywa odbudowy Ukrainy – z setkami miliardów euro przechodzących przez samorządy takie jak lwowski. To już nie jest kwestia historyczna, ale rachunkowa.

Marek Czarkowski

eprasa.pl a4cc490153

JESZCZE BAWI CIĘ ŚWIAT

Wywalczyła sobie niezależność. Nie wszyscy byli gotowi to respektować

Tomasz Miłkowski

Od tych tytułowych słów z refrenu piosenki wyśpiewanej na festiwalu w Opolu rozpoczęła się droga Joanny Rawik na szczyt. To fragment utworu „Nie chodź tą ulicą" napisanego przez Lucjana Kaszyckiego do słów poety i aktora Tadeusza Śliwiaka. „Uważam, że był to utwór dużego formatu – mówiła po latach w rozmowie z Wiesławem Łuką – wymagający oprawy orkiestry symfonicznej. I taką oprawę dostał, bo wtedy były na to środki finansowe i na festiwalach panowała taka moda".

Za tę piosenkę wykonaną w monumentalnej aranżacji Joanna Rawik odebrała swoją pierwszą znaczącą nagrodę (III nagroda w kategorii Premiery). Był rok 1966. Potem nagrody dla Joanny Rawik w Opolu weszły jurorom w nawyk i artystka, obdarzona charakterystycznym niskim i silnym głosem, stała się ulubienicą publiczności. Kariera potoczyła się wartko, a słowa „Jeszcze bawi cię świat / Jaki jest / Pełen świeżej zieleni" towarzyszyły jej przez lata. Mimo krytycznego stosunku do wielu niepokojących symptomów upadku kultury wciąż wierzyła w magię sztuki, siłę muzyki i słowa. Mawiała o sobie: „Ja – produkt PRL, robię cały czas to samo, uprawiam kulturę". Nie chciała udawać kogoś innego.

Już jako dziecko wiedziała, że będzie się zajmować sztuką (lubiła to powtarzać w dziesiątkach udzielonych wywiadów). Muzyką przede wszystkim. Miała zostać skrzypaczką, rodzice tak postanowili, bo starsza siostra zajęła miejsce przy fortepianie. Skrzypaczką nie została, nie dostrzegła w sobie materiału na wirtuozkę, ale pozostała przy muzyce. Nie wiedziała jednak, że to zdarzy się w Polsce.

Kiedy przyjechała po wojnie do Wrocławia, nie mówiła po polsku. Mówiła po rumuńsku, po niemiecku, po francusku. Wychowywała się w Rumunii, matka była Rumunką, ojciec Polakiem, profesorem uniwersytetu w Czerniowcach, ale w domu nie rozmawiało się po polsku. Jako dziewczyna czytała wielkie dzieła Tomasza Manna czy Franza Kafki w oryginale. Nic dziwnego, że po przyjeździe do Polski początkowo czuła się obco – choćby ze względu na barierę językową. Tym wyjaśniała wybór późniejszego pseudonimu artystycznego – z domu nazywała się Szamota. Została jednak Joanną Rawik, kiedy podjęła decyzję o wyborze kariery artystycznej



Na IV Krajowym Festiwalu Piosenki Polskiej w Opolu, czerwiec 1966 r.

eprasa.pl a4cc490

– początkowo aktorskiej, terminowała wtedy w Studiu Teatralnym Ireny i Tadeusza Byrskich, a potem estradowej. Okazało się, że bliższe są jej solowe występy i piosenka.

Pojawiła się z czasem w kabaretach właśnie jako Rawik – nawiązując do głównego bohatera ukochanej powieści, „Łuku Triumfalnego" Ericha Marii Remarque'a. W losach doktora Ravika dostrzegła pewne analogie do swoich przeżyć emigracyjnych. Potem do obranego nazwiska dochodził drugi człon, od nazwisk dwóch kolejnych mężów, ale na zawsze pozostała przy swoim pseudonimie.

Najwyraźniej samo śpiewanie jej nie wystarczało – ani nawet aktorstwo, bo czasem jednak wykorzystywała swoje przygotowanie sceniczne na ekranie i w teatrze – skoro kusiło ją też pisanie i dziennikarstwo. Tak narodził się jej wieloletni związek z radiem, cykle autorskie, liczne wywiady i rozmowy, które prowadziła przy mikrofonie. Równie ważna i wytrwała okazała się jej felietonistyka, uprawiana z pasją kogoś, kto czuje potrzebę obrony kultury i podtrzymywania polszczyzny, której Joanna Rawik stała się w pewnym sensie strażniczką.

To swoisty fenomen. Ktoś, kto w kręgu języka polskiego znalazł się tak późno, jako 13-letnia dziewczyna, stał się wzorcem dla innych. Jej dbałość o zachowanie piękna języka zasługiwała na najwyższe pochwały. Kiedy mówiła i kiedy pisała. Nie tylko felietony i teksty wspomnieniowe o sobie, swojej drodze estradowej na szczyt, wiodącej przez liczne sceny europejskie od Paryża po Moskwę, ale i książki poświęcone wielkim artystkom: Wandzie Wiłkomirskiej i Edith Piaf.

Związek z Piaf i piosenką francuską okazał się dla niej najważniejszy. Poświęciła piosenkarce aż dwie książki, „Hymn życia i miłości. Opowieść o Edith Piaf" (1961) i „Edith Piaf. Ptak smutnego stulecia" (2003). Obie doczekały się wznowienia, a ta druga także dodruków, uzupełniana o dodatkowe dokumenty i szczegóły biografii, do których udało się dotrzeć. Ale Rawik nie poprzestała na tym – śpiewała piosenki Piaf. Po swojemu, wystrzegając się naśladownictwa. Z tego śpiewania powstał początkowo recital, a na jego kanwie monodram, z którym występowała przez wiele lat.

„Piaf mnie sporo nauczyła – komentowała tę więź z „wróbelkiem Paryża". – Kiedy po raz pierwszy popłynęła na kontrakt do Nowego Jorku, na konferencji prasowej zapytano ją: A kogo pani chce poznać w Nowym Jorku? To był rok 1948. Ona odpowiada: Oczywiście Einsteina. A dlaczego Einsteina – pytają zdziwieni. – Bo jeśli tej miary uczony lubi grać na skrzypcach, to musi być porządnym człowiekiem. I tu jest cała filozofia tej prostej w gruncie rzeczy kobiety".

•

Joanna Rawik oddawała się pracy z pasją. Wszystko, co robiła, naznaczone było entuzjazmem – podejmowała się tego, co ją naprawdę interesowało, co lubiła i kochała. Nie ulegała naciskom, trwała przy swoim, w trudnych czasach nie wyrzekając się lewicowych przekonań.

Mawiała: „Ja – produkt PRL, robię cały czas to samo, uprawiam kulturę".

Żyła intensywnie, może czasem zbyt mocno przeżywała swoje związki, przez miłość omal nie umarła. Mówiła o tym cała Polska, „Express Wieczorny" nawet doniósł o jej zgonie. Po dramatycznym związku z Ignacym Gogolewskim pozostała jej przyjaźń. Nie wszyscy o tym wiedzieli, toteż kiedy pojawiła się w Klubie Księgarza na promocji wywiadu rzeki „Ignacy Gogolewski od Gustawa Konrada do… Antka Boryny" Jolanty Ciosek (PIW, 2008), wzbudziło to sensację. Prowadziłem to spotkanie i pamiętam, że mnie też udzieliło się zaniepokojenie, niektórzy wyczekiwali skandalu. Ale skandalu nie było. Joanna Rawik wielokrotnie wspominała o wdzięczności, jaką żywi dla wielkiego aktora za jego rady, dzięki którym wyszlifowała swoją interpretację tekstu i obycie sceniczne.

Dzisiaj mówi się o Joannie Rawik jako ikonie piosenki PRL. Swoim opolskim śpiewaniem wyznaczyła pewien kierunek charakterystyczny dla modnego wówczas wykonawstwa – piosenek o bogatej instrumentacji, wiążących mocny tekst z zapadającą w pamięć muzyką, a czasem znaczącym cytatem muzycznym. Na zawsze symbolami takiej piosenki pozostaną obok wspomnianego już utworu Kaszyckiego i Śliwiaka „Nie chodź tą ulicą" jej opolskie perły: „Po co nam to było" i „Romantyczność", znana też pod tytułem „Kocham świat", na motywie poloneza As-dur Fryderyka Chopina. Po tej ostatniej piosence Jerzy Waldorff zauważył, że Joanna Rawik to jedyna piosenkarka, która jest z Chopinem na ty.

•

Dobrze pamiętam rozmowę z Joanną Rawik, którą toczyliśmy prawie trzy lata temu w ogródku Instytutu Teatralnego w Warszawie. Było ciepło, słonecznie, klimatycznie, serdecznie, jak na spokojnej wyspie. Rozmowę publikował „Przegląd".

Z pewną nostalgią Joanna Rawik wspominała lepsze czasy polskiej piosenki: „Był taki złoty okres polskiej piosenki – Osiecka, Kofta, Adaś Kreczmar, Wojtek Młynarski, rozkwitły pod wpływem piosenki francuskiej. Dość wspomnieć o »Okularnikach« – to dokument epoki. Teraz to powraca u raperów, choć nie każdy jest Matą, synem prof. Matczaka. Poziom jednak bardzo się obniża, króluje disco polo, a zaczęło się od piosenki biesiadnej na początku transformacji".

Zapytałem, czy nie chciała być drugą Piaf, bo uporczywie powtarzano przy różnych okazjach, że niezrównanie interpretuje jej piosenki, że oddała jej swoje pióro, że po prostu jest polską Piaf. Skądinąd, kiedy występowała w Paryżu, dziennikarze francuscy ochrzcili ją mianem polskiej Juliette Gréco. Coś w tym rzeczywiście było: te same egzystencjalne klimaty i mroczność przemieszana z jasnością.

„Człowiek nie może być czyjąś kopią – odparła. – To zresztą powiedział Charles Aznavour, którego osobiście poznałam w Krakowie, jeszcze gdy byłam lokalną sławą. Przestrzegał, że nie wolno naśladować. Kiedy usłyszałam niedawno »Padam, padam« w wykonaniu Mireille Mathieu, która

eprasa.pl a4cc490153

miała być drugą Piaf, utwierdziłam się w przekonaniu, że to niemożliwe.

•

Odeszła artystka niezwykła. Wywalczyła sobie niezależność. Swoją postawą budziła u jednych szacunek, u drugich podejrzenie, że jest tylko uparta. Nie wszyscy byli gotowi respektować jej poczucie niezależności.

Kiedy odeszła, okazało się jednak, że stratę odczuli i jedni, i drudzy, z prawa i z lewa. To rzadkie w naszej przestrzeni publicznej, żeby ludzie różniący się poglądami tak zgodnie wyrażali żal i poczucie straty. Tak jak to uczynili m.in. Krzysztof Janik, były szef SLD i minister spraw wewnętrznych w lewicowym rządzie, i Tadeusz Deszkiewicz, były szef radia RDC i doradca społeczny prezydenta Andrzeja Dudy.

Krzysztof Janik napisał w pożegnalnym poście: „Zmarła Joanna Rawik. Wybitna artystka – piosenkarka, aktorka, dziennikarka. A przy tym Człowiek lewicy. Kumpela Mietka Rakowskiego, bywalczyni odrapanych pokoi na Rozbrat. Kochała Edith Piaf, język, kulturę i francuską grzeczność. Nikt tak nie śpiewał Chopina jak Ona. A w doborze piosenek była wybredna. Chóry anielskie będą miały wybitną solistkę”.

Tadeusz Deszkiewicz zamieścił na Facebooku taki wpis: „Nie zdążyłem Cię pożegnać. Bardzo mi smutno. Joanna była wspaniałą Polką z wyboru. Urodziła się w Rumunii, ale wybrała Polskę. Mówiła piękną polszczyzną i była kochana przez swoją publiczność. Bo jej nie można było nie lubić”.

Wspominają ją artyści, dziennikarze, pozostający pod jej wrażeniem wdzięczni widzowie: „W pierwszej chwili nie uwierzyłem – napisał Grzegorz Ćwiertniewicz – że pani Joanna Rawik nie żyje. Charyzmatyczna piosenkarka, artystka pełna werwy, pasji i pomysłów, pomimo wieku niebywale aktywna – pisząca, śpiewająca, tłumacząca książki, goszcząca w wielu audycjach, przemierzająca Polskę wzdłuż i wszerz – miałaby odejść? Tak nagle? Młoda duchem? Szczęśliwie zakochana? To niesprawiedliwe”.

Przecież jeszcze bawił ją ten świat.

Tomasz Miłkowski

ODESZŁA WIELKA ARTYSTKA

Joanna miała poglądy postępowe, lewicowe, a po przemianach 1989 r. wręcz je manifestowała



Rafał Skąpski

Poznaliśmy się w końcu lat 80. lub na samym początku 90. Może to było w Klubie Księgarza? Odczuliśmy wspólnotę oglądu świata i rzeczywistości. Okazało się ponadto, że mieszkamy blisko, nasze bloki mają wspólne podwórko. Ilość spotkań, rozmów – nie do policzenia.

Joanna miała poglądy postępowe, lewicowe, a po przemianach 1989 r. wręcz je manifestowała. Miała stałe miejsce w miesięczniku „Dziś” redagowanym przez Mieczysława Rakowskiego. Felietony obejmowały bardzo szeroką tematykę, co świadczyło o ogromnej wiedzy i ukształtowanych poglądach autorki.

Moja mama była jej wierną czytelniczką. Nigdy się nie poznały, ale Joanna jeszcze niedawno wspominała, że cieszyła się z takich czytelników. Póki mama żyła, Joanna zawsze prosiła, by ją pozdrowić, podobnie przez ponad 30 lat pytała przy każdym spotkaniu o naszego syna Kornela, którego jako sześcioletniego chłopca spotkała w Klubie Księgarza. Joanna była przez kilka lat członkiem redakcji miesięcznika „Twój Styl”, pisywała też do „Aneksu” – cotygodniowego dodatku kulturalnego do dziennika „Trybuna”.

Wydałem jej autobiografię „Kocham świat” (1996). To była trzecia książka Joanny spośród dziesięciu. Pozycja 11. w jej dorobku to tegoroczne tłumaczenie z francuskiego „Małego księcia”.

W Polskim Radiu przed rokiem 2023 w każdą niedzielę miała godzinną audycję o Edith Piaf, co było pretekstem do popularyzowania piosenek nie tylko francuskich i rozmowy o artystach, ich nieprzemijających dokonaniach. To był czas PiS, więc ta godzina była jedyną, gdy słuchałem Programu I PR. Wiedza Joanny, jej wspaniała polszczyzna, łatwość narracji… to uzasadniało słuchanie „reżimowej” anteny.

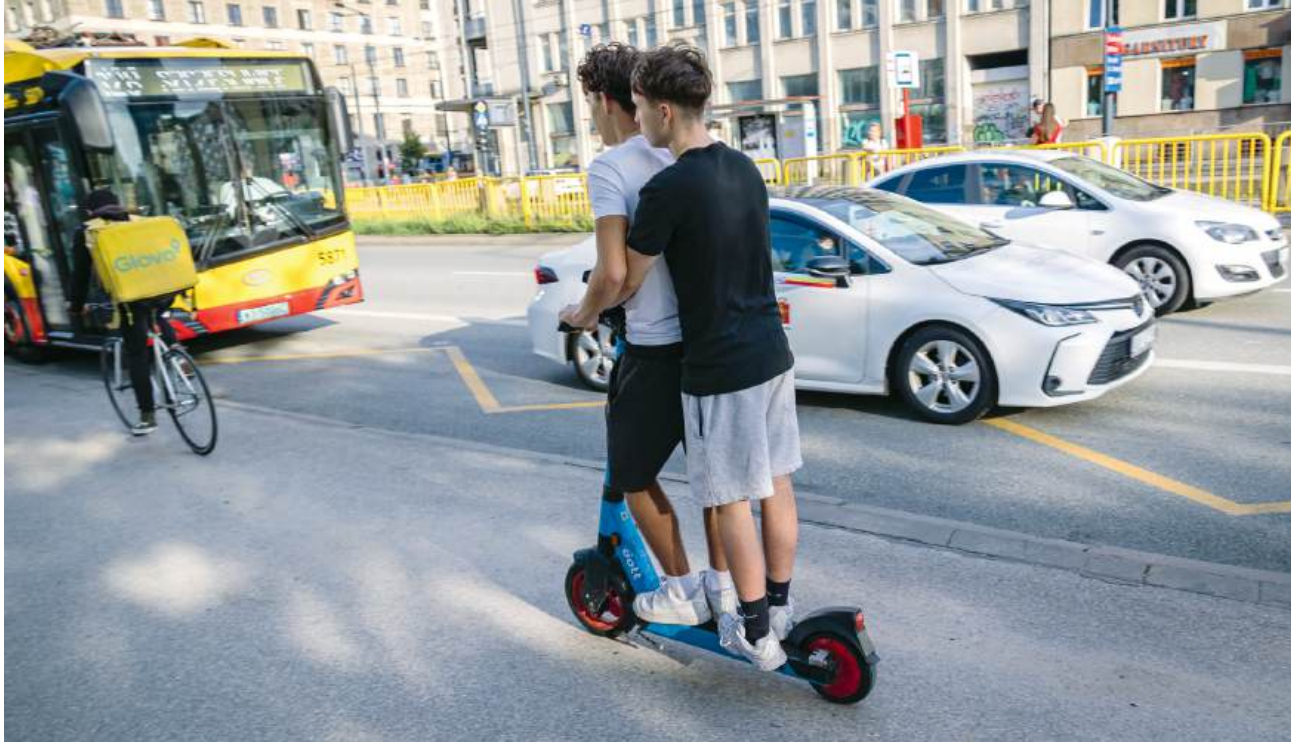
Kiedy przyszła nowa radiowa władza, program Joanny został bezrefleksyjnie zdjęty. Ona, na wskroś lewicowa, została uznana za element pisowskiej anteny. Skreślona przez tę radiową władzę, przyjęła zaproszenie od Radia Wnet. Gdy zaskoczony pytałem, dlaczego się udziela w tak jednoznacznie prawicowym radiu, odparła, że pozbawiona z dnia na dzień anteny przyjęła zaproszenie od redaktora naczelnego, syna jej przyjaciółki. „Krzysztof zna moje poglądy, ja znam jego, ale to nam nie przeszkadza we współpracy”, usłyszałem. Miała tam dwa godzinne programy w tygodniu: „Sztuka jest magią” i „Piaf, czyli wróbel”. Do tego pierwszego przyjąłem kilkakrotnie zaproszenie. Redaktor naczelny nie ingerował w dobór gości Joanny.

Mniej więcej cztery lata temu zauważyłem u Joanny więcej energii, radości i planów. Szybko połączyłem to z określeniem, którego użyła na antenie: „mój mężczyzna”. Potem usłyszałem już od niej: „mój Wituś”, a potem pana Witolda poznałem. Opiekuńczego, troskliwego, zakochanego… a ona odwdzięczała mu się tym samym.

Odeszła Wielka Artystka, wybitna piosenkarka, aktorka, publicystka, dziennikarka radiowa, autorka książek i tłumaczka. Dobry Człowiek, Wspaniała, Mądra Kobieta. Taka zostanie w naszej pamięci! ■

FOT. ANDRZEJ WIERNICKI/EAST NEWS, KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl a4cc490153



Na złamanie karku

E-hulajnogi miały być rewolucją, stały się utrapieniem

Kornel Wawrzyniak

Rośnie liczba wypadków, chodniki stały się torami przeszkód, a na ulicach pojawia się nowe zjawisko: grupy nastolatków pędzących na hulajnogach elektrycznych. Miało być nowocześnie i ekologicznie. Tymczasem są rozbite głowy, połamane kręgosłupy i ofiary śmiertelne – wśród użytkowników e-hulajnóg i wśród pieszych. Gdy kolejne europejskie miasta zaostrzają przepisy lub ograniczają działalność operatorów, Polska dopiero szykuje regulacje. Czy zdąży zareagować, zanim sytuacja całkowicie wymknie się spod kontroli?

Kalejdoskop problemów

Rozwój rynku e-hulajnóg dawno wyprzedził zdolność państwa i samorządów do jego uporządkowania. Rzecz można rozpatrywać na kilku poziomach. Pierwszy dotyczy przestrzeni publicznej. Od kilku lat miasta w Europie zmagają się z konsekwencjami ekspansji rynku hulajnóg na minuty. Pojazdy są zostawiane na środku chodnika, przy przejściach dla pieszych, w bramach wjazdowych lub na ścieżkach rowerowych. Dla większości mieszkańców to utrapienie. Dla osób niewidomych, seniorów, rodziców z wózkami dziecięcymi czy osób poruszających się na wózku może to oznaczać poważną niedogodność przy poruszaniu się, a nawet zagrożenie.

W Kutnie w zderzeniu dwóch użytkowników hulajnóg elektrycznych śmierć poniósł 52-latek jadący bez kasku.

Drugą istotną sprawą jest bezpieczeństwo. Rosnąca liczba wypadków z udziałem użytkowników hulajnóg pokazuje, że przepisy są nieadekwatne do rzeczywistości. Policja i samorządy mają ograniczone możliwości egzekwowania części regulacji, a wielu użytkowników porusza się po ulicach i chodnikach z przekonaniem, że ryzyko konsekwencji jest niewielkie. Szybka jazda slalomem między pieszymi to już klasyka.

Przykładów takiej bezmyślności już zebraliśmy bez liku. Jednak w ostatnich miesiącach pojawiło się nowe zjawisko. Coraz częściej można spotkać kilkunasto- lub kilkudziesięcioosobowe grupy nastolatków przemieszczających się na szybkich hulajnogach elektrycznych i rowerach typu Surron. W mediach społecznościowych i w slangu internetowym określa się ich mianem kukiriniarzy, od popularnej marki hulajnóg KuKirin. Na e-rowerzystów mówi się analogicznie surroniarze.

Choć nazwa może brzmieć niegroźnie, a nawet zabawnie, mieszkańcy wielu miast coraz częściej skarżą się na niebezpieczne zachowania takich grup: jazdę z dużą prędkością po chodnikach, ignorowanie sygnalizacji świetlnej, ryzykowne manewry czy utrudnianie przemieszczania się innym uczestnikom ruchu. Zjawisko stało się na tyle widoczne, że zaczęło przyciągać uwagę samorządowców, policji i ekspertów od bezpieczeństwa ruchu drogowego.

FOT. KRZYSZTOF ŻUCZKOWSKI

eprasa.pl a4cc490153

Zdaniem krytykujących obecną sytuację nie tylko popularność samych pojazdów, ale też luki w przepisach oraz trudności z egzekwowaniem prawa są źródłem problemu. Młodzi użytkownicy nabierają przekonania, że na hulajnodze mogą sobie pozwolić na więcej niż inni uczestnicy ruchu. Wystarczy założyć zabudowany kask lub maskę. Policja i tak nie dogoni kukiriniarza na przerobionej hulajnodze wyciągającej niedozwolone 80 km/godz.

Gangi na hulajnogach

Jeśli chaotycznie porozstawiane hulajnogi można uznać za problem organizacyjny, to na kukiriniarzy coraz częściej patrzy się pod kątem bezpieczeństwa publicznego. Wszystko spopularyzowały media społecznościowe, niestety „inspiracja" wyjeżdża z TikToka wprost na ulice kolejnych miast.

Dla hulajnogowych „gangów" to forma rozrywki i budowania społeczności, ale ich brawurowe zachowania kolidują z bezpieczeństwem innych. Mieszkańcy miast zwracają uwagę na groźne zachowania. Zdjęcie ogranicznika z dozwolonych 20 km/godz. to cztery kliknięcia. Wtedy większość popularnych modeli osiąga 70-80 km/godz. Nie wiesz, jak zdjąć limit? W internecie znajdziesz instrukcję od samego producenta (nieważne, kto wyprodukował twój model) albo pomogą inni kukiriniarze.

Eksperci zajmujący się bezpieczeństwem ruchu drogowego wskazują, że w przypadku hulajnóg problemem jest złudne poczucie bezpieczeństwa. Użytkownik stoi na niewielkiej platformie, a małe koła są wyjątkowo wrażliwe na nierówności nawierzchni. Dlatego nawet niewielki błąd może doprowadzić do groźnego upadku lub potrącenia pieszego. Organizacje reprezentujące osoby niewidome zwracają uwagę, że problem nie ogranicza się do źle zaparkowanych pojazdów. Coraz większym zagrożeniem – o czym wspominałem – stają się bardzo szybkie hulajnogi pojawiające się w miejscach przeznaczonych dla pieszych.

Konkrety? Proszę bardzo. W Kutnie na ciągu pieszo-rowerowym doszło do zderzenia dwóch użytkowników hulajnóg elektrycznych. 15-latek, który miał na głowie kask, nie odniósł poważnych obrażeń. Ale 52-letni mężczyzna jadący bez ochrony głowy nie przeżył mimo reanimacji. Z kolei w Wolbromiu 19-letni chłopak na hulajnodze elektrycznej ominął samochód stojący przed przejściem dla pieszych i potrącił 71-latka korzystającego z pasów. Senior trafił do szpitala, a sprawca uciekł z miejsca zdarzenia.

Ze zderzeniami pieszych z hulajnogami nie radzą sobie też policjanci. Portal BRD24.pl opisuje przypadek Roberta Juchniewicza. Mężczyzna, wychodząc spod bankomatu na chodnik, został potrącony przez nastolatka na hulajnodze. Skończył na SOR z rozciętym łukiem brwiowym. Pojazd jechał zdecydowanie za szybko – zgodnie z przepisami hulajnoga ma się poruszać z prędkością podobną do tempa pieszego – policjanci jednak stwierdzili, że to wina pana Roberta.

Wszystkie te zajścia, choć miały różny przebieg, łączy wspólny mianownik: lekceważenie zasad bezpieczeństwa i przekonanie, że hulajnoga jest pojazdem, który pozwala na więcej, niż przewidują przepisy. Tymczasem konsekwencje błędów bywają równie poważne jak w innych wypadkach w ruchu drogowym.

Filmiki zamieszczane w sieci przez kukiriniarzy to osobny gatunek głupoty. Na nagraniu opublikowanym na TikToku przez konto Moto Joker dziewięciu nastolatków na hulajnogach elektrycznych zatrzymuje się na wszystkich trzech pasach ulicy Marszałkowskiej w Warszawie. Część zostawia pojazdy na jezdni i podbiega do motocyklisty, by zrobić wspólne zdjęcie. Gdy zapala się zielone światło, ruch zostaje sparaliżowany przez pozostawione hulajnogi. Słychać klaksony kierowców, a młodzi odpowiadają obelgami, po czym odjeżdżają, zygzakując. Trudno o lepszą ilustrację poczucia bezkarności. A co najgorsze, na dziesiątkach takich filmików widać, że to dzieci w wieku ok. 13-14 lat.

Coraz częściej można spotkać kilkunastoosobowe i większe grupy nastolatków na szybkich hulajnogach.

Wymogi prawne pozostawiają wiele do życzenia i chociaż na początku 2026 r. zostały „zaostrzone", nadal są nieskuteczne. Samodzielnie hulajnogą może się poruszać osoba, która skończyła 13 lat. Osoby niepełnoletnie (13-18 lat) muszą mieć kartę rowerową albo prawo jazdy kategorii AM, A1, B1 lub T. Dorośli jeżdżą bez dokumentów. Jazda po ulicy jest dozwolona, kiedy nie ma dostępnej ścieżki rowerowej. Jeśli na rzeczonej drodze można się poruszać z prędkością powyżej 30 km/godz., zostaje jazda chodnikiem. Na nim jednak należy jechać, jak pisałem, w tempie pieszego. I tutaj mamy sporą lukę, bo to bardzo uznaniowe. Na deser ograniczenie prędkości do 20 km/godz., którego nikt nie respektuje. A przy kontroli służb szybko zmienia się w swojej hulajnodze limit ogranicznika i zgrywa głupa.

Pecha miał na razie osobnik jadący na hulajnodze 80 km/godz., którego policja złapała radarem prędkości. Kwoty mandatów jednak



eprasa.pl a4cc490153

nikogo nie przerażają. Najwyższy wymiar takiej kary to 2,5 tys. zł. Za jazdę bez uprawnień rodzice zapłacą za dziecko zaledwie 200 zł.

Na problem bezpieczeństwa związanego z hulajnogami coraz częściej zwracają uwagę państwa europejskie, wprowadzające zdecydowane regulacje. Przykładem jest Grecja, gdzie parlament przyjął pakiet przepisów zaostrzających zasady korzystania z tych pojazdów. Władze uznały, że rosnąca liczba wypadków i chaos komunikacyjny wymagają twardszej reakcji. Nowe prawo zakazuje korzystania z hulajnóg osobom poniżej 17. roku życia, wprowadza obowiązkowe ubezpieczenie OC, ogranicza możliwość poruszania się po drogach o wyższych dopuszczalnych prędkościach oraz przewiduje wysokie kary za łamanie przepisów. Mandaty sięgają nawet 1 tys. euro w przypadku firm udostępniających pojazdy nieletnim. Użytkownicy mogą zostać ukarani za brak kasku, korzystanie z telefonu czy jazdę bez wymaganej polisy. Grecja wysyła tym samym jasny sygnał: hulajnoga elektryczna nie jest zabawką ani środkiem transportu wyjętym spod zasad ruchu drogowego. To pojazd, którego użytkowanie wymaga odpowiedzialności i podlega takim samym rygorom bezpieczeństwa jak inne formy transportu.

Hulaj noga, piekła nie ma

Wraz z rosnącą popularnością e-hulajnóg rośnie liczba wypadków z ich udziałem. Lekarze zwracają uwagę, że urazy odnoszone przez użytkowników e-hulajnóg niewiele się różnią od tych kojarzonych dotąd z wypadkami motocyklowymi. Przy prędkości 70-80 km/godz. osoba spadająca z hulajnogi ma jeszcze mniejsze szanse na wyjście cało z wypadku niż motocyklista. Wszystko przez pozycję, jaką przyjmuje się na hulajnodze, i środek ciężkości. Dlatego wystarczy nierówność nawierzchni, wysoki krawężnik lub nagłe hamowanie, by przejazd zakończył się groźnym upadkiem. Osoba spadająca z hulajnogi nie ma możliwości zasłonięcia się rękami. Leci od razu na głowę.

Do wypadków dochodzi głównie na skutek utraty panowania nad pojazdem, jazdy z nadmierną prędkością lub zderzeń z pieszymi i samochodami. Problemem pozostaje także korzystanie z hulajnóg po spożyciu alkoholu oraz przewożenie pasażerów, mimo że pojazdy te są przeznaczone dla jednej osoby. W internecie mamy kolejnych „rekordzistów". Na pewnym nagraniu na jednej e-hulajnodze poruszają się cztery osoby. Ostatnio zaś sieć obiegło nagranie z Warszawy, na którym ktoś przewozi wprawdzie jednego pasażera – ale na barana.

Ratownicy i lekarze najczęściej mówią o złamaniach kończyn, urazach głowy, uszkodzeniach twarzoczaszki czy obrażeniach kręgosłupa. Niestety, tu wychodzą kolejne niedociągnięcia w obowiązujących przepisach. Kask ochronny jest obowiązkowy tylko do 16. roku życia. Co gorsza, większość osób na hulajnogach, nawet jeśli go założy, korzysta z modelu dla rowerzystów, a nie motocyklistów. Przy jeździe 70 km/godz. taka ochrona na niewiele się zdaje.

Zwolennicy e-hulajnóg przekonują, że problemem są nie same pojazdy, lecz nieodpowiedzialne zachowania części użytkowników. Czy jednak o stylu jazdy nie decydują w dużej mierze przepisy i nieuchronność kary? A spójrzmy na statystyki. Z danych Komendy Głównej Policji wynika, że w 2024 r. kierujący e-hulajnogami spowodowali 372 wypadki drogowe. To o 108 więcej niż rok wcześniej, co oznacza wzrost o niemal 41%. W wypadkach spowodowanych przez użytkowników hulajnóg rannych zostało ok. 400 osób, a trzy poniosły śmierć.

Jeszcze wymowniejsze są liczby dotyczące wszystkich poszkodowanych użytkowników e-hulajnóg, niezależnie od tego, kto był sprawcą zdarzenia. W 2024 r. w wypadkach drogowych ucierpiało 624 kierujących hulajnogami elektrycznymi. Pięć osób zginęło, a 619 zostało rannych, w tym 220 ciężko. Policja odnotowała także 42 poszkodowanych pasażerów e-hulajnóg, mimo że – zaznaczmy to jeszcze raz – przewożenie drugiej osoby jest zabronione. Eksperci są zgodni. Większa liczba wypadków nie bierze się z rosnącej popularności tego środka transportu. Powodem są brawura i głupota części użytkowników.

Co w obliczu kryzysu mikromobilności robi państwo? Ministerstwo Infrastruktury zapowiada wprowadzenie zmian w przepisach w 2027 r. Mówi się m.in., że każda hulajnoga i rower elektryczny będą podlegać rejestracji. Obowiązkowe ma być ubezpieczenie OC, jak również kaski dla wszystkich niezależnie od wieku. Planowane są wysokie kary, np. 35 tys. zł za brak rejestracji pojazdu czy 5 tys. za jazdę pojazdem niespełniającym wymagań. Państwo chce też wypowiedzieć wojnę zdejmowaniu ograniczników prędkości.

Mężczyzna, wychodząc spod bankomatu na chodnik, został potrącony przez nastolatka na hulajnodze. Skończył na SOR z rozciętym łukiem brwiowym.

Równolegle zmiany przygotowuje Ministerstwo Sprawiedliwości. Projekt nowelizacji Kodeksu karnego i Kodeksu wykroczeń przewiduje rozszerzenie odpowiedzialności za wykroczenia drogowe również na użytkowników pojazdów imitujących rowery oraz hulajnogi elektryczne. Ministerstwo chce zamknąć furtkę, która dziś pozwala części użytkowników unikać odpowiedzialności, bo ich pojazd nie wpisuje się w istniejące definicje prawne.

Niestety, choć wszystko to brzmi obiecująco, pozostaje na razie w sferze propozycji. A czas mija. Przez lata pozwalano, by problem narastał. Dziś skutki widać na chodnikach, ulicach i szpitalnych oddziałach ratunkowych. Bo z chaosu rzadko rodzi się porządek, znacznie częściej bezkarność. A ta, prędzej czy później, kończy się tragedią.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a4cc490153

BRUD, GŁÓD I ROZCZAROWANIE

Wakacje marzeń, które zamieniają się w traumy

Kornel Wawrzyniak

Spokojna niedziela na koloniach w podkarpackiej Bieździedzy. Jest 5 lipca, początek wakacji. Nagle 16-letnia uczestniczka wypoczynku traci przytomność. Na miejsce jako pierwsi docierają strażacy. Rozpoczynają reanimację. Żeby przywrócić funkcje życiowe, muszą użyć defibrylatora. Chwilę później przy szkole, w której przebywają dzieci, ląduje śmigłowiec Lotniczego Pogotowia Ratunkowego i zabiera nastolatkę do szpitala w Rzeszowie. Co dokładnie się wydarzyło? Do dziś nie wiadomo.

Kto pilnuje twoich dzieci?

Przypadek z zatrzymaniem akcji serca na koloniach jest skrajny, ale podczas letnich wyjazdów dzieci i młodzieży coraz częściej dochodzi do różnych zagrożeń i wypadków. Każdego roku rodzice wysyłają swoje pociechy na kolonie, obozy i półkolonie, wierząc, że zapewniona została opieka odpowiedzialnych organizatorów. Tymczasem za kolorowymi folderami, atrakcyjnymi filmami na TikToku i dopracowanymi profilami w mediach społecznościowych niejednokrotnie kryje się rzeczywistość pełna zaniedbań. Brudne ośrodki, głodowe racje żywnościowe, przypadkowa kadra, brak odpowiedniego nadzoru, a czasem sytuacje, które zagrażają zdrowiu i życiu dzieci. Choć większość wyjazdów przebiega bez szczególnych problemów, kolejne opisywane przez media przypadki pokazują, że oszczędności i zaniedbania organizacyjne potrafią skutecznie zepsuć to, co miało być letnią przygodą.



FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a4cc490153

Najniebezpieczniejszym elementem wydaje się nieodpowiednia kadra. Do opieki nad dziećmi i młodzieżą nie powinno się zatrudniać przypadkowych osób. Niestety, praktyka pokazuje, że tak dzieje się coraz częściej. Wychowawcą na prywatnym obozie można zostać zaskakująco łatwo. Z analizy ofert pracy wynika, że dla wielu organizatorów ważniejsza od doświadczenia czy kwalifikacji jest gotowość wyjazdu na kolejne turnusy. CV bywa jedynie dodatkiem, a nie wymogiem. Z takich niedociągnięć kadrowych, zwłaszcza kiedy chodzi o najmłodszych, szybko rodzą się tragedie.

Pod koniec lipca w łódzkim Aquaparku Fala utonął siedmioletni chłopiec, uczestnik półkolonii. Nagrania z monitoringu pokazują przerażający przebieg zdarzeń. Przez prawie trzy minuty dziecko rozpaczliwie walczyło o utrzymanie się na powierzchni wody. Gdy opadło z sił, osunęło się na dno basenu, gdzie leżało niezauważone przez kolejne sześć minut. W basenie bawiło się jeszcze jedenaścioro dzieci. Nad grupą czuwały 24-letnia instruktorka oraz początkująca stażystka. Dodatkowo bezpieczeństwa pilnowali dwaj ratownicy WOPR. Tonące dziecko wyciągnął z wody dopiero 78-letni mężczyzna płynący na torze obok. Chłopiec zmarł w szpitalu po kilkunastu dniach walki o życie. Prokuratura bada okoliczności zdarzenia.

Na skróty poszli też organizatorzy lipcowej wyprawy w Tatry. Górska wycieczka zakończyła się dramatyczną akcją ratunkową TOPR. Podczas burzy grupa nastolatków przemierzająca rejon Orlej Perci rozdzieliła się. Część uczestników nie potrafiła określić swojej lokalizacji i wezwała pomoc. Do akcji skierowano ratowników i śmigłowiec. Szczególne obawy budził los trzech nastolatków, którzy w chwili dotarcia pomocy nie znajdowali się pod opieką osoby dorosłej. Choć nikt nie odniósł obrażeń, pojawiły się poważne pytania dotyczące organizacji wyprawy.

Teraz policja ustala dokładny przebieg wydarzeń i sprawdza, czy opiekun grupy nie naraził uczestników na niebezpieczeństwo utraty życia lub zdrowia. „Mamy szereg zastrzeżeń do organizatora. Twierdzi, że był to półoficjalny wyjazd, my jednak traktujemy go jako zorganizowany wypoczynek", komentowała w mediach sytuację małopolska kurator oświaty Gabriela Olszowska.

Wątpliwości budzi także zdarzenie, do którego doszło na początku sierpnia na jeziorze Seksty na Mazurach. Podczas obozu żeglarskiego przewróciły się i zatonęły cztery łodzie, a za burtą znalazło się 37 osób, w większości nastoletnich. Rozpoczęła się szeroko zakrojona akcja ratunkowa z udziałem strażaków, ratowników MOPR i Mazurskiej Służby Ratowniczej. Do pomocy ruszyli również okoliczni mieszkańcy, którzy własnymi łodziami wyciągali poszkodowanych z jeziora. Na szczęście wszystkich udało się bezpiecznie ewakuować – tylko jedna osoba wymagała hospitalizacji.

Ściema z Instagrama

– Wysłaliśmy córkę na obóz firmy Camport organizowany w Jantarze. Oczywiście świetnie prowadzony Instagram. Miał być nawet internetowy live z ogniska dla rodziców. Bogate atrakcje. Liczyliśmy więc na dobrze zorganizowaną ofertę. Rzeczywistość okazała się rozczarowująca. Córka mieszkała z dwiema koleżankami w bardzo małym pokoju, w którym brakowało przestrzeni do normalnego funkcjonowania. Sam ośrodek sprawiał wrażenie zaniedbanego i niedostatecznie utrzymanego pod względem czystości. Zdecydowaliśmy się odebrać dziecko w połowie turnusu, ponieważ z każdym dniem czuło się coraz gorzej. Pojawiły się m.in. objawy alergii pokarmowej, co może świadczyć o niskiej jakości wyżywienia. Córka skarżyła się też na bardzo małe porcje. Uczestnicy mogli kupować przekąski i pamiątki jedynie w „zaufanych" punktach. Zastrzeżenia mam także do kadry. Gdy córka miała początkowo trudności adaptacyjne, kontaktowałam się z wychowawczynią. Mimo obietnic nie otrzymałam żadnej informacji zwrotnej. Takie problemy u 13-latki na obozie są normalne, ale wymagają wsparcia. Od tego jest kadra. Po tych doświadczeniach zamierzam wystąpić o zwrot kosztów – mówi matka uczestniczki.

Podobne historie powracają co roku – jak wakacyjny serial z kiepskim scenariuszem. Media regularnie opisują obozy i kolonie, na których oszczędza się przede wszystkim na komforcie dzieci. Organizatorzy wiedzą, że kilkuletni czy nastoletni uczestnik nie wezwie kierownika recepcji ani nie wystawi negatywnej opinii. Może co najwyżej poskarżyć się rodzicom. Ci z kolei często słyszą, że dziecko przesadza, jest przewrażliwione albo nie potrafi odnaleźć się w grupie. A jeśli nadal mają zastrzeżenia, zawsze mogą przecież zabrać je do domu na własny koszt.

– Córka na obozie jeździeckim dostała kulawego i półślepego konia. Jakby tego było mało, jazdy była godzina dziennie. A każda kolejna płatna. Dzieci dowiedziały się o tym na miejscu. Tak, dzieci, a nie rodzice. Wtedy łatwiej wymusić na rodzicach 100 zł dopłaty Blikiem. Właśnie tak znana podwarszawska stadnina dba o standard na swoim flagowym obozie jeździeckim. Córka dzwoniła więc do nas za każdym razem po 100 zł Blikiem, jak instruktorzy organizowali „spontaniczne" wycieczki. Inne aktywności dla dzieci? Sprzątanie stajni. To już bez dopłat. Na dodatek wyżywienie wołało o pomstę do nieba. W formularzu – „zaznacz dietę". W praktyce – mrożone pierogi z Biedronki – opowiada o przygodach córki ojciec z Warszawy.

Nie warto zdawać się na same gwiazdki w wynikach Google. Aby wychwycić niedopatrzenia, trzeba się wczytać w głosy uczestników.

Najniebezpieczniejszym elementem wypoczynku dzieci wydaje się nieodpowiednia kadra.

eprasa.pl a4cc490153

Weźmy obozy przygotowywane przez wspomniany Camport. Biuro organizuje wyjazdy tematyczne, które są wśród dzieciaków bardzo popularne. Ocena w Google to 4,6. Gdy jednak wczytamy się w opinie, to zarówno w negatywnych, jak i pozytywnych wpisach powtarzają się dwa jednakowe zarzuty – jakość jedzenia i małe porcje oraz brud w pokojach. Organizatorzy bardzo często odpisują, że to nieprawda albo że danej osoby nie było na obozie (choć przecież w internecie można używać pseudonimu).

Niekiedy wakacyjne wyjazdy mają znacznie mroczniejsze oblicze niż brudne pokoje czy skromne wyżywienie. Telefony od przerażonych dzieci postawiły na nogi rodziców uczestniczek kolonii w Gorlicach. Dziewczynki błagały o pomoc, twierdząc, że boją się opiekunów. Jedna miała chować się w szafie, druga zamykać w łazience, desperacko pilnując telefonu, by nikt go nie odebrał. W rozmowach i wiadomościach dziewczyny opowiadały o krzykach, wyzwiskach i atmosferze strachu. Zaniepokojone matki natychmiast przyjechały po córki i wezwały policję. Chociaż funkcjonariusze nie stwierdzili bezpośredniego zagrożenia dla pozostałych uczestników, relacje dzieci okazały się na tyle niepokojące, że wszczęto postępowanie w kierunku możliwego znęcania się nad małoletnimi. Śledczy wyjaśniają obecnie, co naprawdę się działo podczas kolonii.

Inną kwestią są zwyczajni naciągacze. Historia przedstawiona przez program „Uwaga!" TVN brzmi jak kolejny rozdział dobrze znanego scenariusza. Katarzyna S. miała zachęcać do udziału w koloniach m.in. za pośrednictwem TikToka, obiecując dzieciom wakacyjną przygodę nad morzem. Zamiast wyjazdu były jednak łzy, rozczarowanie i pytania rodziców o zwrot pieniędzy. Jak ustalili dziennikarze, nie był to pierwszy raz, gdy wokół organizowanych przez Katarzynę S. wyjazdów pojawiły się kontrowersje. Tym razem tuż przed planowanym terminem rozpoczęcia kolonii, gdy walizki były już spakowane, a dzieci odliczały godziny do wyjazdu, rodzice otrzymali informację, że obóz zostaje odwołany z powodu rzekomej choroby organizatorki.

Lata lecą, a zmian brak

Dziwi, że mimo publikowanych co roku podobnych doniesień medialnych nikt nie zaostrza wymagań ani przepisów dotyczących zorganizowanego wypoczynku dla dzieci. Przypadki z ostatnich kilku lat pokazują, że zmiana kursu była potrzebna już dawno.

W 2021 r. na obozie nad Jeziorem Białym wychowawcy mieli grozić dzieciom osobliwymi konsekwencjami za nieposłuszeństwo. Pani Alicja, matka dwójki uczestników, dostawała niepokojące SMS-y. Jej syn Fabian skarżył się, że wychowawcy kazali dzieciakom czyścić toalety własnymi szczoteczkami do zębów. Inna uczestniczka obozu opowiadała w programie TVN „Uwaga!": „Wychowawca powiedział, że jeżeli nie będziemy go słuchać, to będziemy klęczeć na szyszkach czy kamieniach".

W 2021 r. na obozie nad Jeziorem Białym wychowawcy kazali dzieciom czyścić toalety własnymi szczoteczkami do zębów.

W ubiegłym roku opinią publiczną wstrząsnęła sprawa obozu w Węgierskiej Górce na Śląsku. 56-letni wychowawca usłyszał zarzut molestowania seksualnego dziecka. Po ujawnieniu sprawy turnus został przerwany, a prokuratura wszczęła śledztwo. W toku czynności sprawdzano m.in., czy pokrzywdzonych nie było więcej. W czasie obozu pod opieką kadry znajdowało się 37 uczestników w wieku 11-17 lat.

W 2020 r. prokuratura w Pucku postawiła zarzuty 43-letniemu opiekunowi kolonii w Chłapowie. Mężczyzna miał się dopuścić tzw. innej czynności seksualnej wobec 14-latka oraz posiadać dziecięcą pornografię. Sprawa wyszła na jaw, gdy chłopiec powiadomił rodziców.

W 2023 r. na koloniach terapeutycznych w Rajgrodzie jeden z wychowawców (27 lat doświadczenia) zawiadomił prokuraturę o nieprawidłowościach, które mogły zagrażać bezpieczeństwu uczestników. Z jego relacji wynikało, że organizator nie zapewnił ratownika wodnego mimo planowanych zajęć nad jeziorem. Wątpliwości budziła także opieka medyczna – miało brakować pielęgniarki z odpowiednimi kwalifikacjami. Zastrzeżenia dotyczyły również programu terapeutycznego. Organizator reklamował zajęcia obejmujące m.in. trening zastępowania agresji, jednak według zawiadomienia nie zapewnił specjalisty posiadającego uprawnienia do prowadzenia tego typu terapii. Organizator zwolnił sygnalistę w trybie natychmiastowym.

Pięć lat temu wybuchł skandal wokół Siedliska Leluja w okolicach Pułtuska. Obiekt zorganizował obóz pod hasłem „Dzikie dzieci", stawiając na nietypowy marketing. Do swoich mediów społecznościowych organizatorzy wrzucili zdjęcia dwójki dzieci jadących na dachu auta, ot tak, bez żadnych zabezpieczeń. W komentarzach burza, internauci wytykają głupotę i narażanie zdrowia i życia dzieci oraz złamanie prawa. Organizatorzy sprawę zbagatelizowali, twierdząc, że na takie zabawy pozwalają tylko swoim dzieciom. Internauci zaczęli się zastanawiać, czy przy takim braku wyobraźni podopieczni na obozach w siedlisku są bezpieczni.

Branża kolonijna lubi mówić o pasji, wychowaniu i rozwijaniu młodych ludzi. Zbyt często jednak za sloganami kryją się brudne pokoje, oszczędzanie na jedzeniu i przypadkowa kadra. Tam, gdzie zaczyna się kalkulowanie kosztów, kończy się wakacyjna przygoda, a dzieci zamiast z letnimi wspomnieniami wracają do domu z pierwszymi traumami.

Kornel Wawrzyniak
k.wawrzyniak@tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a4cc490153

Czego demokratyczni przywódcy mogą się nauczyć od Leona XIV?

Felipe De La Hoz jest dziennikarzem śledczym, który skupia uwagę na problemach migrantów w Stanach Zjednoczonych. Pracował dla kilku amerykańskich redakcji oraz dla portalu Documented.info dostarczającego istotnych informacji wspólnotom migrantów. Jest współzałożycielem ukazującego się co tydzień biuletynu „Border/Lines". Artykuł, którego fragmenty publikujemy, ukazał się w magazynie „The Nation" 29 lipca 2026 r. Całość dostępna jest pod adresem: www.thenation.com/article/society/society-sspx-excommunication-schism-leo-catholic/.

De La Hoz oczywiście zdaje sobie sprawę, że władza papieża ma inny charakter niż władza sprawowana przez przywódców politycznych wybranych demokratycznie na swoje stanowiska. Niemniej jednak uważa, że kroki podjęte przez Leona XIV w sprawie ukrócenia niesubordynacji lefebrystów mogą być ważną lekcją dla reprezentantów obozu demokratycznego.

Felipe De La Hoz

(...) Gdy urodzony w Chicago papież wchodził po schodach Bazyliki św. Piotra, aby po raz pierwszy ukazać się wiernym, był już pod presją dwóch grup: tej, która chciała kontynuować dzieło przemian zapoczątkowane przez Franciszka, oraz tej, która dążyła do cofnięcia wskazówek zegara.

Skrajnie konserwatywne środowiska kościelne, pragnące odzyskać wpływy po przeszło 10 latach pontyfikatu Franciszka, początkowo przyjęły z aprobatą „tradycyjny" wizerunek Leona XIV. Papież, mniej skłonny do publicznej konfrontacji niż jego mentor i poprzednik, prezentował postawę dyplomatyczną, którą jeden z jego przyjaciół trafnie określił mianem „pełnego godności podążania drogą środka". Jednak najbardziej nieprzejednanych tradycjonalistów nie dało się zadowolić. Skrajnie konserwatywne Bractwo św. Piusa X (SSPX) – ugrupowanie pozostające od dawna solą w oku Watykanu – doprowadziło na początku lipca do otwartego konfliktu. Leon (...) zareagował, nakładając ekskomunikę nie tylko na przywódców, ale potencjalnie także na wiernych związanych z tym bractwem.

Bractwo św. Piusa X zostało założone w 1970 r. przez francuskiego hierarchę Marcela Lefebvre'a w bezpośredniej opozycji do reform Soboru Watykańskiego II. Reformy te dawały m.in. większą swobodę poszczególnym Kościołom w zarządzaniu swoimi sprawami, łagodziły wymogi dotyczące tradycyjnych praktyk (takich jak msza łacińska), rozszerzały dialog z innymi religiami oraz – jak na ironię – ograniczały władzę papieża na rzecz zwiększenia uprawnień biskupów.

Nazwa bractwa nawiązuje do żyjącego na początku XX w. papieża Piusa X. Członkowie bractwa wielbią go za „demaskowanie modernizmu", uznawanego przez nich za herezję największego kalibru. (...) Choć wiele konkretnych zarzutów wysuwanych przez bractwo może się wydawać niezrozumiałych nawet dla praktykujących katolików, u ich podstaw leży niechęć do Kościoła nieco bardziej otwartego i demokratycznego, świadomego konieczności dostosowania się do zmieniających się czasów. Towarzyszy temu dążenie do siłowego przywrócenia stanu izolacji i nietolerancji. Obawy te idealnie wpisują się w kontrowersje wokół „wojny kulturowej" napędzające współczesną skrajną prawicę, zarówno polityczną, jak i religijną.

Bractwo, mające w 2025 r. niespełna 1,5 tys. członków, kształci seminarzystów i sprawuje liturgię na całym świecie. Szacunki dotyczące liczby świeckich uczestniczących w odprawianych przez nie mszach są rozbieżne. „The Guardian" ocenia ją na 150-200 tys.

Z działania Watykanu płynie lekcja dla środowisk liberalnych i progresywnych: nasze systemy instytucjonalne nie są w stanie pomieścić wszystkich.

Kościół instytucjonalny nigdy do końca nie wiedział, jak traktować lefebrystów – jak niekiedy nazywa się członków Bractwa św. Piusa X – ponieważ nieustannie przesuwali oni granice dopuszczalnych działań. W 1988 r., po wielokrotnych ostrzeżeniach ze strony przedstawicieli Kościoła, w tym papieża Jana Pawła II, sam Lefebvre wziął udział w nieautoryzowanej konsekracji czterech nowych biskupów, co skutkowało nałożeniem ekskomuniki zarówno na niego, jak i na wszystkich uczestników tego wydarzenia. Zmarł trzy lata później, pozostając w konflikcie z Kościołem.

Jednak w 2009 r. papież Benedykt XVI zdecydował o uchyleniu ekskomuniki nałożonej na owych czterech biskupów – w tym na negacjonistę Holokaustu Richarda Williamsona – co stanowiło zwieńczenie starań o przywrócenie

eprasa.pl a4cc490153

tradycjonalistów z bractwa do wspólnoty Kościoła. Nawet papież Franciszek wyciągnął do nich rękę, zezwalając w 2017 r. kapłanom bractwa na udzielanie sakramentu małżeństwa.

15 lat po decyzji Benedykta o uchyleniu ekskomuniki bractwo ponownie podjęło kontrowersyjne działania. Na początku lipca, mimo wielokrotnych ostrzeżeń ze strony Watykanu, przeprowadziło w swoim seminarium w Écône w Szwajcarii nieautoryzowaną (i transmitowaną na żywo) konsekrację czterech nowych biskupów, w obecności tysięcy wiernych. Leon XIV zaszokował obserwatorów, oświadczając, że bractwo nie tylko dopuściło się czynu o charakterze schizmatyckim, ale samo weszło w stan pełnej schizmy względem Kościoła. Nałożył karę ekskomuniki na biskupów bractwa (w tym na dwóch, którzy zostali nią objęci już w 1988 r.), na kapłanów oraz na niektórych wiernych świeckich pozostających z bractwem w łączności. Watykan określił rygorystyczną procedurę powrotu dla kapłanów i wiernych, uzależnionego od zerwania przez nich więzi z tym zgromadzeniem.

Surowość sankcji zaskoczyła wielu, zważywszy na znane zaangażowanie Leona XIV w jedność Kościoła i synodalność – dążenie do dialogu i otwartości. Leon i jego doradcy zdają sobie jednak sprawę, że dalsze ustępstwa wobec bractwa nie sprzyjałyby budowaniu pluralistycznego Kościoła, lecz raczej prowadziłyby do jego dalszego rozbicia. To właśnie próby udobruchania tej separatystycznej grupy, podejmowane przez kolejnych papieży w obawie przed podziałami w łonie Kościoła, pozwoliły jej wzmocnić się, aby ponownie działać w oderwaniu od Watykanu. Całkowite wycofanie instytucjonalnego wsparcia oraz groźba ekskomuniki dla zwolenników bractwa najprawdopodobniej doprowadzą do jego powolnego zamierania.

Liderzy sił demokratycznych powinni wyciągnąć z tego wnioski. W Stanach Zjednoczonych paraliżujący demokratów lęk przed zrażeniem do siebie wyimaginowanego elektoratu umiarkowanego – nawet w bastionach partii – doprowadził do prawie całkowitego triumfu sił reakcyjnych. Po zwycięstwie w 2020 r. Joe Biden powiedział narodowi, że nadszedł czas, by „odwrócić kartę – tak jak robiliśmy to w całej naszej historii – i zjednoczyć się oraz uleczyć podziały".

Zaledwie dwa tygodnie później Donald Trump podżegał do rebelii, aby siłą powstrzymać przekazanie władzy, a równolegle podejmował działania proceduralne mające na celu podważenie wyników wyborów. Cztery lata później Trump ponownie objął urząd prezydenta, nie ponosząc praktycznie żadnych konsekwencji ani za te, ani za inne swoje czyny.

We Francji Marine Le Pen, liderka skrajnie prawicowego Zjednoczenia Narodowego, skazana za sprzeniewierzenie środków finansowych, gdy sąd apelacyjny skrócił jej okres obowiązywania zakazu sprawowania funkcji publicznych, ogłosiła zamiar ubiegania się o prezydenturę.

Dziesięć lat temu brytyjski premier David Cameron zarządził referendum w sprawie brexitu, sądząc, że rzuci w ten sposób ochłap radykalnej prawicy i raz na zawsze zamknie temat. Zamiast tego poniósł w głosowaniu porażkę, co miało katastrofalne skutki zarówno dla jego kraju, jak i dla Europy.

[Z działania Watykanu] płynie istotna lekcja i dla środowisk liberalnych, i progresywnych: nasze systemy instytucjonalne nie są w stanie pomieścić wszystkich. To prawda trudna do zaakceptowania dla każdej wizji politycznej uwzględniającej zasadę otwartości na wszystkich. Nie możemy jednak przyjmować z otwartymi ramionami ludzi i grup, które za cel obrały sobie zniszczenie naszych rządów i instytucji. Choć te nie są wolne od wad, stanowią najważniejsze narzędzia budowania sprawiedliwych społeczeństw.

Takie środowiska należy izolować, odcinać od zasobów, pociągać do odpowiedzialności tam, gdzie to jest możliwe, a ostatecznie – ignorować. Żaden nakaz moralny nie zobowiązuje nas do wysłuchiwania przeciwników godności ludzkiej i swobód obywatelskich ani do współpracy z nimi.

Warto również wspomnieć o zaletach szybkiego i zdecydowanego działania – niczym zerwanie plastra jednym ruchem. Z pewnością istniały alternatywne, bardziej ugodowe scenariusze postępowania wobec bractwa, wpisujące się w wieloletnią praktykę łagodniejszych upomnień ze strony Watykanu. Co by to jednak dało? Trudno przecież twierdzić, że ugrupowanie nie było ostrzegane. Leon XIV wyraźnie apelował do wspólnoty, by nie przeprowadzała niezatwierdzonych święceń. W liście wysłanym zaledwie kilka dni przed tym, jak mimo wszystko do nich przystąpiono, błagał przełożonego generalnego bractwa, ks. Davide Pagliaraniego, by „zawrócił z tej drogi". Pagliarani i jego zwolennicy zdawali sobie sprawę, że ich działania stanowią bezpośrednie i jawne wyzwanie rzucone autorytetowi Watykanu. Mimo to zuchwale je kontynuowali. (...)

Posunięcia takie jak nielegalna konsekracja nie są jedynie wyrazem kaprysu czy chęcią zrobienia komuś na złość. To sprawdzanie granic wytrzymałości drugiej strony. Za każdym razem, gdy instytucja wyznacza wyraźną granicę, a następnie pozwala reakcjonistom ją przekroczyć, ci zaczynają posuwać się coraz dalej.

Wstęp, wybór i przekład Piotr Kimla

> Wycofanie wsparcia oraz groźba ekskomuniki dla zwolenników Bractwa św. Piusa X prawdopodobnie doprowadzą do jego zamierania.

eprasa.pl a4cc490153



Lewomyślniej

Roman Kurkiewicz

Radykalne zero

Jest polskiej polityki specyfiką pewien przewidywalny i powtarzalny, rytualny wręcz schemat aktywności, które zasadniczo eksplodują mniej więcej rok przed kolejnymi wyborami parlamentarnymi. W największym skrócie: z peletonu politycznego planktonu lub z obrzeży show-biznesu, z efemerycznej sfery kryptoekspertów wyłania się nagle on jeden, najmądrzejszy, najodważniejszy, radykalny, krytyczny mężczyzna w średnim wieku z ugruntowaną pozycją społeczną, wysokim lub bardzo wysokim statusem materialnym, i ogłasza: teraz ja! Jestem wszak lepszy od innych, niezużyty, krytyczny w ramach powszechnie akceptowalnej wykładni polityki i wizji świata: chcemy „normalnego" życia, unikajmy skrajności (co w 90% oznacza jaskiniową antylewicowość), zaakcentujmy tradycjonalistyczny konserwatyzm Polaków (bardziej niż Polek), nie bacząc na fakty. Nowy mesjasz (zrób to sam) wchodzi na scenę i budzi zachwyt mediów.

W pewnym uogólniającym skrócie tak właśnie pojawiały się Perseidy polskiej polityki: Janusz Palikot, Paweł Kukiz, Robert Biedroń, Ryszard Petru czy Szymon Hołownia. Ich pozorna świeżość przyciąga jak świeże pieczywo tysiące rozczarowanych, zawiedzionych swoimi poprzednimi fascynacjami politycznymi. Wszystkie zrywy tych panów kończą się podobnie, bo inaczej nie mogą – zwiędnięciem po wejściu do Sejmu, najpóźniej po drugiej kadencji.

Czas zatem na nową odsłonę! I tak w ostatnich dniach na dawnym Twitterze, dzisiaj X, pojawia się nowina: jest! A nawet są! Kolejni zbawcy, racjonalni, wyważeni, otwarci na dialog i niezależni – egzotyczny duet Matczak-Stanowski zapowiada: będziemy nową partię zakładać i firmować naszymi tęgimi głowami, profesora prawa i twórcy medialnego sukcesu Kanału Zero.

Będziemy ani z lewa, ani z prawa (choć rzecz jasna konserwatywnie i cywilizowanie), żadnych skrajności i wyrazistości – naszym orężem jest bycie lub udawanie bycia przedstawicielami centrum (w domyśle większości, która jest raczej koniunkturalna, boi się nowych myśli, a stare ją irytują lub budzą rozczarowanie). Jako baczni obserwatorzy polskiej sceny politycznej panowie widzą, że jednak radykałom rośnie, bardziej faszystom niż lewicy, która zresztą radykalnego skrzydła nie ma ani w mainstreamie, ani poza nim. I tak się rodzi „wielki" pomysł na oksymoroniczną inicjatywę.

Pisze na X Matczak: „Prowadzimy wielką ogólnopolską akcję zakładania 50 klubów Radykalnego Centrum. Kluby Radykalnego Centrum to miejsce normalnej ludzkiej dyskusji, gdzie mogą się spotkać ludzie o różnych poglądach, o różnych pomysłach na życie, ale potraktować siebie jak człowieka, a nie jak awatara, nie jak kogoś, kto jest wrogiem, bo się zna go tylko z jednej strony. W rzeczywistości ludzie są wielowymiarowi. Możecie tam spotkać swojego sąsiada, możecie spotkać kogoś, z kim chodziliście do szkoły. I nawet jeżeli ten ktoś ma inne poglądy na rzeczywistość, możecie z nim o tym porozmawiać".

Ach, jak to brzmi! Tu stara nuta jest jak nowa: każdy kowalem (przedsiębiorcą, profesorem, ekspertem) swojego losu. Jaki kapitalizm, jaka opresja systemowa? Taki jest po prostu świat. Matczak tłumaczy: „Brutalna prawda jest taka, że rzeczywistość stawia nam twarde warunki. Nie liberalizm, nie kapitalizm, tylko świat, po prostu". Klasyczny zabieg umetafizycznienia realnego wymiaru rzeczywistości.

I dalej zygota nowej partii „Radykalne Zero" apeluje: „I nie pozwólmy, żeby skrajności odebrały nam rozum". Bo rozum, wiecie, jest w centrum, wszak miliony much siedzących na odchodach nie mogą się mylić. My jesteśmy rozumni, nie to, co tamci, poprzedni i obecni. I na sztandarze w kolorze, jaki wybiorą algorytmy analizujące gusta centrum, pojawi się hasło założycielskie III RP: „Wolność!". Matczakowi lewica nie podoba się fundamentalnie, ponieważ „oprócz słusznej krytyki zaczyna niszczyć jądro liberalizmu, czyli przekonanie, że indywidualna wolność, w tym wolność słowa, jest podstawą naszego bycia w świecie. Wolność nie jest tylko wartością konstytucyjną, ale podstawowym warunkiem naszego rozwoju, tworzenia innowacji, produkcji różnorodności, z której możemy wybierać najlepsze pomysły, by radzić sobie ze złożonym światem. Tak rozumiana wolność indywidualna jako idea podstawowa nie ma konkurencji". Problem w tym, że owa mityczna wolność (a co dopiero „wolność słowa", która nie istnieje, choć nie ma już nadzoru Głównego Urzędu Kontroli Prasy, Publikacji i Widowisk) jest najtrwalszą zasłoną dymną skrywającą realia świata późnego kapitalizmu. No i takoż, że w triadzie wolność, równość, solidarność (w polskiej wersji) dwie pozostałe wartości zostały pozbawione politycznej ważności. Ale Polacy kochają „wolność", nikt im będzie mówił, co i jak trzeba deregulować. Za chwilę do dwójcy nowych radykalnych zer dołączy Rafał Brzoska w nimbie gladiatora walczącego z Metą Zuckerberga, bo się pojawił kiedyś mem z twórcą InPostu ogłaszającym, że wszystkich kurierów zatrudnia na umowę o pracę. A tego byśmy nie chcieli, prawda? My, radykalne centrum.

Zakończę oksymoronem: zwycięskiej klęski życzę. A Krystyna Pawłowicz w stanie spoczynku alarmuje: tak zniszczą szanse na zwycięstwo prawicy!

■

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a4cc490153

ENERGIA DO

Mateusz Mazzini



Pożary w południowo-zachodniej Francji, wywołane suszą, 6 sierpnia 2026 r.

To już nawet nie jest anomalia. W chwili oddawania tekstu do redakcji większość krajów europejskich doświadczała kolejnej w tym roku fali upałów, nerwowo oczekując na następną. David Wallace-Wells zauważył na łamach „New York Timesa", że takie upały nie mogą już uchodzić za odchylenie od normy. Jeśli bowiem, jak pisał publicysta, powołując się na dane zespołu klimatologów z kalifornijskiego Uniwersytetu Stanforda, zjawisko występujące do tej pory raz na stulecie zmienia częstotliwość i pojawia się co 20 lat, trudno to nazywać katastrofą albo czymś niemożliwym do przewidzenia.

Zaledwie 102 cm

Upały niosące suszę, tysiące zgonów i pożary zmuszające do ewakuacji setki tysięcy mieszkańców kilku krajów są już stałym elementem europejskiego letniego pejzażu. Katastrofę klimatyczną zawsze opisuje się za pomocą danych liczbowych. Z reguły jednak nie ma to sensu, bo same liczby nic ludziom nie mówią, ale już umieszczone w kontekście – potrafią zadziałać na wyobraźnię. Jak chociażby podana przez „Guardiana" informacja, że w tym roku we Francji spłonęło dziewięć razy więcej hektarów lasów, niż wynosiła średnia roczna za poprzednią dekadę.

We Włoszech ostrzeżenia przed wychodzeniem z domu wydano na początku sierpnia dla 19 największych miast. A to przecież w większości stare metropolie, z grubymi murami, ciasnymi i zacienionymi ulicami oraz niezłą cyrkulacją powietrza. Jeśli więc skwar nie do zniesienia pojawia się w Bolonii, Florencji czy Turynie, to co mają powiedzieć mieszkańcy nowocześniejszych miast, np. polskich, do których gorąco też wtargnęło, a w których socjalistyczna tkanka miejska podporządkowana była zupełnie innym zasadom.

Te przykłady można mnożyć, tak samo jak dowody anegdotyczne, które na pewnym poziomie stają się wręcz śmieszne. W Wielkiej Brytanii farmerzy wydają dziesiątki tysięcy funtów na instalacje prysznicowe w oborach, żeby schłodzić cierpiące z gorąca krowy. W Szwajcarii bydło nie ma dostępu do wody, bo wysychają strumienie górskie, coraz słabiej zasilane przez skromne roztopy. Władze transportują więc wodę na pastwiska helikopterami. Niski poziom Dunaju spowodował czasowe wyłączenie elektrowni atomowej Paks, dostarczającej połowę energii elektrycznej zużywanej przez węgierską gospodarkę. W efekcie Péter Magyar został zmuszony do nadania sobie szczególnych uprawnień, takich jak rządowy nakaz wyłączenia instalacji przemysłowych w najbardziej energochłonnych zakładach.

Zakłócenia w dostawach produktów końcowych mogą wystąpić na europejskim rynku farmaceutycznym, bo sporo leków i półproduktów na kontynencie transportuje się szwajcarskimi i niemieckimi rzekami, na których żegluga jest obecnie niemożliwa z powodu niskiego stanu wody. To samo widać w Warszawie, gdzie Wisła przerywana jest piaszczystymi łachami, a jej poziom przy bulwarach spadł do rekordowo niskich 102 cm.

Klimat zabija

Coraz cieplejszy klimat nie tylko niszczy i kosztuje, ale też zabija. Według danych stacji Euronews od 1 czerwca w Europie zarejestrowano 16 tys. nadmiarowych zgonów, ale to niepewna liczba, dlatego że „śmierci przez klimat" nie da się ani jednoznacznie zakwalifikować, ani policzyć. Warto przyjąć metodologię z czasów koronawirusa, kiedy do zgonów jednoznacznie wynikających

eprasa.pl a4cc490153

UJARZMIENIA



CZY SKRAJNA PRAWICA ZBIJE KAPITAŁ NA EUROPEJSKICH UPAŁACH?

z zapaści układu oddechowego dopisywano te, które były „nadprogramowe" względem analogicznych okresów poprzednich lat i dotyczyły osób zarażonych wirusem. Prawdopodobna liczba ofiar śmiertelnych jest więc wyższa, zwłaszcza wśród osób starszych. Raporty ratowników medycznych z innych krajów, choćby z Kanady, regularnie opisują przypadki zatrzymania akcji serca u emerytów. Ci najczęściej byli sami w domu, a na zewnętrz było tak gorąco, że nie mogli nawet wyjść po zakupy czy przynieść sobie wody. I tak ugotowali się w mieszkaniach.

Taka już w wielu miejscach jest europejska rzeczywistość. W ostatnich tygodniach w mediach francuskich dominują reportaże o podwyższonym ryzyku zgonu w szpitalach, przytułkach i domach pomocy społecznej, najczęściej pozbawionych klimatyzacji. Można oczywiście opisywać tę sytuację za pomocą czynników kulturowych, jak niezgrabnie zrobił to na łamach „The Atlantic" mieszkający we Francji amerykański kulturoznawca Thomas Chatterton Williams. W swoim eseju próbował argumentować, że Europejczycy znacznie rzadziej w porównaniu z Amerykanami korzystają z klimatyzatorów, bo… mają inne podejście do dyskomfortu. Nie muszą na siłę wszystkiego optymalizować i eliminować źródeł frustracji z życia codziennego. Zamiast tego znoszą niewygodę, niczym jakaś wyższa forma cywilizacyjna.

Rzeki wysychają, ludzie umierają, lasy płoną, ale nie zmienia się nic.

Oczywiście to, że jeden z czołowych amerykańskich eseistów uważa Europejczyków za lepiej przystosowanych mentalnie do zmian klimatycznych, może schlebiać, ale na płaszczyźnie faktów niczego nie zmienia. Owszem, wiemy czym jest sjesta i jak skutecznie okiennicami zmniejszyć wpływ upału na temperaturę w naszych mieszkaniach, z drugiej strony – mieszkamy w starych, energochłonnych, nieizolowanych domach i blokach, gdzie instalacja elektryczna nie nadąża za potrzebami klimatyzacji. Klimatyzatorów wciąż jest za mało, a energia odnawialna w centrach miast pozostaje abstrakcją, także ze względów historycznych. Anegdoty o tym, że w centrum Florencji nie można zamontować paneli fotowoltaicznych, bo nie pozwalają na to regulacje konserwatorskie i przepisy UNESCO, na tym etapie nie są już śmieszne.

Prawica idzie po swoje

Niestety, przy okazji fal upałów ujawnia się coraz dotkliwsza bezradność europejskich rządów. W naukach społecznych jest nawet na to nazwa – prawo Olsona. Zakłada ono, że rozwinięte społeczeństwa żyjące w warunkach stabilności gospodarczej mnożą podmioty z prawem weta, aż system przestaje ewoluować, bo każda zmiana blokowana jest jeszcze na poziomie idei. Prawa wszystkich grup są tak dobrze reprezentowane i chronione, że jakakolwiek zmiana staje się niemożliwa, bo zawsze znajdzie się ktoś, kto uzna, że działałaby na jego szkodę.

Dlatego coraz trudniej przeprowadzać reformy czy zmiany na poziomie samorządowym, które pozwoliłyby dostosować rzeczywistość do warunków klimatycznych XXI w. Im dłużej jednak zwleka się ze zmianami, tym większa ich ostateczna skala, co z kolei zwiększa potencjalne koszty. Spirala więc się nakręca, a system nadal stoi w miejscu. Rzeki wysychają, ludzie umierają, lasy płoną, ale nie zmienia się nic.

I być może tu występuje największy paradoks współczesnej polityki klimatycznej. Jedyną siłą polityczną,

FOT. REXFEATURES/EAST NEWS

eprasa.pl a4cc490153

która w 2026 r. ma jakikolwiek pomysł na zbicie kapitału na upałach i pożarach, jest skrajna prawica. Formacje, które przez lata szczyciły się negowaniem katastrofy klimatycznej, funkcjonowały – jak chociażby Reform UK – na usługach lobby wydobywczego bądź przedstawiały się jako „obrońcy praw kierowców" – to z kolei hasło popularne wśród niektórych kandydatów Konfederacji w ostatnich wyborach – teraz pierwsze chcą chronić obywateli przed skutkami zmian klimatycznych. Problem w tym, że robią to demagogicznie, odnosząc się do skutków, za to omijając przyczyny tego zjawiska.

W ostatnich tygodniach sporo szumu nad Sekwaną narobiła Marine Le Pen, wracając na scenę polityczną po kilkunastomiesięcznej banicji. Choć jej wyrok może jeszcze zostać ponownie zmieniony przez sąd kasacyjny, to w tej chwili jest kandydatką Zjednoczenia Narodowego na prezydenta w kolejnych wyborach. I jednocześnie faworytką sondaży, przynajmniej w pierwszej turze. Kiedy przez zachód kraju przetaczały się fale ognia, a z okolic Bordeaux ewakuowano 300 tys. osób, Le Pen oznajmiła, że w przypadku przejęcia władzy przez jej formację państwo rozpoczęłoby program dopłat do klimatyzatorów. Tym samym kolejny raz udowodniła, że ze wszystkich

Konfederacja i PiS zgarniają dwie najbardziej dotknięte upałami grupy wyborców.

istniejących grup politycznych to skrajna prawica ma najlepszy słuch społeczny i najlepiej identyfikuje tematy, które poruszają wyobraźnię wyborców. Mniejsza o to, jak potem to wykorzystuje. W polityce chodzi przede wszystkim o dojście do władzy, przynajmniej na początku.

Paradoks ten w eseju na portalu Substack opisał brytyjski analityk David Goodhart, założyciel magazynu „Prospect". Podkreślił on, że radykalne partie, a zwłaszcza ich wyborcy, nieustannie postulują reformę działania państwa, często nastawioną na deregulację, redukcję wpływów z podatków i ograniczenie liczebności służby cywilnej. Równocześnie oczekują, że państwo będzie znacznie wydajniejsze i bardziej obecne w życiu obywateli. Nie trzeba doktoratu z nauk politycznych, żeby wiedzieć, że pierwsze postulaty wykluczają urzeczywistnienie tych drugich. Gdy jednak ludzie czują się pozostawieni sami sobie, wydani na pastwę coraz brutalniejszego losu, nie ma to większego znaczenia, gdy na horyzoncie pojawia się trybun ludowy mówiący, że sprawi, iż państwo będzie działać lepiej niż teraz, bo zajmie się tymi „prawdziwymi obywatelami i ich problemami", zamiast sprawami „tych obcych, imigrantów i mniejszości".

Lewica i liberałowie nie są pewni, czy kurs reform klimatycznych z minionej dekady się opłacił.

Lewica jest bezsilna

Trudno o bardziej ironiczną sytuację. Podczas gdy kontynent płonie, siły polityczne, które naprawdę chcą walczyć ze źródłami tej tragedii, znajdują się w defensywie. Ostatnie wybory do Parlamentu Europejskiego zakończyły się niemal wymarciem Partii Zielonych. W dwóch jej bastionach, czyli we Francji i w Niemczech, poparcie dla niej spadło w stosunku do poprzednich wyborów o prawie 10 pkt proc. W dodatku, jak wyliczał „Guardian", w większości przypadków wyborcy Zielonych wcale nie zaczęli wspierać innych ugrupowań, tylko zostali w domach. Oznacza to, że postępowy elektorat, jeszcze niedawno żyjący nadzieją na realne wpływy w polityce i tak samo realną zmianę podejścia do klimatu, jest ogromnie rozczarowany sposobem rządzenia. Tymczasem wyborcy skrajnej prawicy nadal są najbardziej zmobilizowaną grupą w społeczeństwie, wciąż czują, że ich postulaty nie są realizowane, mają też zdecydowanie najsilniejsze uczucia negatywne wobec tradycyjnych elit politycznych. Dlatego kiedy Marine Le Pen we Francji czy lider Vox Santiago Abascal w Hiszpanii oferują kolejne ujście dla ich frustracji – tym razem oskarżając państwo, które nie robi nic, by ulżyć obywatelom udręczonym ekstremalnymi temperaturami – przekaz działa.

Już za kilka tygodni podobne postulaty pojawią się w Polsce. Wyjątkowo gorące lato, połączone z trwającą w niektórych miejscach już dekadę suszą hydrologiczną, wywoła turbulencje na rynku produkcji żywności i zmniejszy zyski rolników z plonów i upraw. To elektorat coraz bardziej podzielony między PiS i dwie Konfederacje, a więc partie antyunijne, pełne kłamców klimatycznych. W dodatku Konfederacje popierają bogatsi mieszkańcy wsi, a elektorat PiS jest bardziej zaawansowany wiekowo. Dlatego partie te zgarniają dwie najbardziej dotknięte upałami grupy wyborców.

Łatwo sobie wyobrazić, że Sławomir Mentzen czy Tobiasz Bocheński zaczynają atakować rząd Donalda Tuska za doprowadzenie do sytuacji, w której Polacy cierpią z powodu wysokich temperatur. Trudno oczywiście o bardziej absurdalne zestawienie, ale w polityce liczy się skuteczność.

Po drugiej stronie widać całkowite pogubienie. Lewica i liberałowie nie są pewni, czy kurs reform klimatycznych z minionej dekady w ogóle się opłacił. Andy Burnham, nowy premier Wielkiej Brytanii, który jest największą nadzieją europejskiej lewicy, ogłosił jako jedną z pierwszych decyzji wydanie zezwoleń na zwiększenie wydobycia ropy naftowej na Morzu Północnym. Mimo wzrostu cen z powodu zamknięcia cieśniny Ormuz Europa importuje coraz więcej paliw kopalnych z Bliskiego Wschodu, nawet jeśli stanowią one relatywnie niewielką część całego naszego miksu energetycznego.

Dosypujemy węgla do pieca, w który powoli zamienia się nasza planeta. Jednocześnie oczekujemy, że liderzy polityczni uchronią nas przed konsekwencjami tych działań. Kiedy spojrzeć na ludzki los w taki właśnie sposób, trudno oprzeć się wrażeniu, że na tę katastrofę po prostu zasługujemy.

Mateusz Mazzini

eprasa.pl a4cc490153

Koniec „uczelni politycznych janczarów”

Węgierski rząd rozwiązał tubę propagandową Orbána, Ziobry i Romanowskiego

Chrystian Ślusarczyk



Nie takie stare, ale dobre czasy – dyrektor generalny Mathias Corvinus Collegium Zoltán Szalai i wiceprezydent USA J.D. Vance w ośrodku szkoleniowym MCC w Budapeszcie. 8 kwietnia 2026 r.

Péter Magyar już kilka dni po zmianie władzy na Węgrzech zapowiadał, że jedną z kluczowych decyzji mających przywrócić normalność będzie wstrzymanie szkodliwej działalności Mathias Corvinus Collegium i uczelni, którą fundacja ta prowadzi. MCC działała, przynajmniej teoretycznie, jako fundacja użyteczności publicznej i zarządza elitarną instytucją edukacyjną o silnych powiązaniach z Fideszem.

Po 30 latach funkcjonowania fundacja Mathias Corvinus Collegium i uczelnia zostały z dniem 31 lipca 2026 r. rozwiązane. Przedstawiciele Fideszu uważają te działania za całkowicie bezprawne i nielegalne, nowy rząd jednak z łatwością wskazał co najmniej kilka powodów takiego potraktowania reżimowej fundacji i uczelni. Najpoważniejszym jest oskarżenie, że MCC jako KEKVA (fundacja zarządzająca majątkiem w interesie publicznym) w najmniejszym nawet stopniu nie wykonuje swoich zadań związanych ze szkolnictwem wyższym i szeroko rozumianą kulturą.

Początkowo nie zapowiadało się, że Mathias Corvinus Collegium będzie jedną z najbardziej wpływowych i upolitycznionych uczelni na Węgrzech. Fundacja była dzieckiem rodziny Tombor. Przez jakiś czas zachodnie media z uznaniem opisywały aktywność tej znanej nie tylko na Węgrzech rodziny. A znani byli Tomborowie ze swojego wkładu w edukację, biznes i kulturę. Najważniejsze postacie rodu to biznesmen András Tombor, założyciel uczelni i wielki fan gry w polo, jego ojciec Balázs Tombor oraz Zoltán Tombor, fotograf mody.

Propaganda i biznes

Węgierski niezależny portal Telex od lat wiele miejsca poświęcał coraz bardziej niebezpiecznej i wymykającej się spod kontroli działalności MCC. Jeszcze pod koniec XX w., jak podkreślają dziennikarze Teleksu, instytucja ta faktycznie sprawowała opiekę nad talentami. Była elitarnym instytutem edukacyjnym, który miał stanowić swoiste uzupełnienie węgierskiego szkolnictwa wyższego.

Założony w roku 1996 instytut systematycznie rozszerzał pole zainteresowań. Miał się skupiać m.in. na organizacji festiwali, międzynarodowym lobbingu, konferencjach, zagranicznych instytucjach edukacyjnych, programach wsparcia dla młodych, wydawaniu książek czy wreszcie popularyzacji w mediach wszystkiego, co węgierskie. Odbywało się to dzięki coraz większemu wsparciu państwa, na czele którego umacniał się z roku na rok Viktor Orbán wraz z rodziną – tą prawdziwą – i przyjaciółmi, czyli rodziną rozumianą nieco inaczej.

Państwo Orbána pompowało w fundację MCC coraz więcej środków. Zarządzało nią zaś coraz więcej bliskich premierowi ludzi. Fundacja otrzymywała ogromne wsparcie od gigantów finansowych ówczesnych Węgier: po 10% akcji MOL i Gedeon

FOT. PAP/EPA

eprasa.pl a4cc490153

Richter, cenne nieruchomości i sporo kasy w gotówce. Obie wymienione firmy przynosiły co roku miliardy forintów dywidend.

Dziś państwo węgierskie przejmuje aktywa MCC warte miliardy forintów, w tym udziały w rzeczonych koncernach. MCC wcześniej rozpoczęło też ekspansję na rynku krajowych mediów, nabywając większościowy pakiet udziałów w InfoRádió, w prawicowej gazecie oraz w portalu Mandiner.

Nie skąpiło również wydatków na propagandę. Do Budapesztu przez cały rok chętnie zapraszano konserwatywne i skrajnie prawicowe gwiazdy międzynarodowej sceny polityczno-gospodarczej. Co roku latem w Ostrzyhomiu nad Dunajem odbywał się MCC Fest.

Z roku na rok państwo Orbána pompowało w fundację MCC coraz więcej środków, a zarządzało nią coraz więcej ludzi bliskich premierowi.

Politycznymi gwiazdami MCC stali się też „gnębieni i prześladowani przez reżim Tuska" Zbigniew Ziobro i Marcin Romanowski. W październiku 2025 r. politycy PiS wzięli udział w wydarzeniu organizowanym przez Mathias Corvinus Collegium, a spotkanie z polskimi uciekinierami połączone zostało z pokazem filmu „Przejęcie", który odbył się w zabytkowym budapeszteńskim kinie Uránia. Jak należało się spodziewać, spotkanie dało pretekst do ostrego ataku na polskie władze.

Lament i zdziwienie

Akcja równa się reakcji: konsekwentnie podejmowane przez rząd Magyara kroki zaczęły się spotykać z odpowiedzią orbánowskiej opozycji. Przez kilkanaście dni prowizoryczny ołtarzyk, który stał wśród designerskich sof w holu budapeszteńskiego budynku MCC był symbolem nieposłuszeństwa wobec ludzi Magyara. Wezwanie do podpisywania petycji żądającej przywrócenia uczelni spotkało się ze sporym poparciem. „Wbrew powszechnemu przekonaniu demokratyczna debata w tej instytucji nigdy nie była tłumiona", głosiła jedna z barwnych notatek w zeszycie z petycjami i protestami.

Likwidacja fundacji MCC i uczelni ma też związek z przegłosowaniem pod koniec lipca br. przez parlament ustawy o stworzeniu Narodowego Biura Odzyskiwania i Ochrony Mienia (MNVVH). To realizacja jednego z kluczowych zobowiązań wyborczych partii Tisza dotyczących zwalczania korupcji i odzyskiwania sprzeniewierzonych środków publicznych. Ustawa została przyjęta 143 głosami, przeciw było 47. Na mocy nowego prawa biuro będzie działać niezależnie, podlegając bezpośrednio parlamentowi. Parlamentarzyści mają wybrać prezesa i wiceprezesów w ciągu 30 dni od wejścia ustawy w życie. Jak można było się spodziewać, opozycja nazwała działanie parlamentu „nielegalnym" i „nie do przyjęcia".

Wciąż liczne na węgierskim rynku prasowym media sprzyjające (nawet mocniej niż w erze przedmagyarowej) Orbánowi nie kryją oburzenia po zamknięciu MCC. Angielskojęzyczny portal Hungary Today ma pretensje do całego cywilizowanego świata, że ten nie próbuje choćby w najmniejszy sposób protestować, widząc, jak wielka krzywda dzieje się węgierskiej nauce i kulturze. Odpowiedzialnego za likwidację MCC Bálinta Ruffa proorbánowskie media nazwały „głównym ideologiem Magyara".

Dziennikarze Hungary Today w najnowszym artykule grzmią w stylu, którego nie powstydziliby się nawet żurnaliści w czasach komunistycznego I sekretarza Jánosa Kádára: „Upadku naszego jedynego edukacyjnego, sztandarowego posłańca idei patriotycznych i konserwatywnych nie da się wytłumaczyć tylko i wyłącznie szalejącym neostalinowskim rządem Węgier! Jest to zjawisko nagłego, systemowego upadku naszych instytucji obywatelskich i naszej kultury politycznej. Nikt, jak się wydaje, nie roni łez nad niewytłumaczalnym barbarzyństwem i zemstą, jaką jest zamknięcie naszej czcigodnej instytucji, nazwanej na cześć jednego z najwybitniejszych węgierskich władców, króla Macieja Korwina".

Według proorbánowskich mediów MCC było miejscem debaty i niezależnego myślenia. Budapeszteńska uczelnia prywatna została okrzyknięta „centrum edukacyjnym nowych, obywatelskich, demokratycznych Węgier, mającym wychowywać kolejne pokolenia młodych patriotów, dla których duma i interes narodowy były punktem wyjścia do wszelkich przyszłych przedsięwzięć".

Dziś w niektórych węgierskich mediach przeczytamy nawet, że „MCC stanowiło wyjątkowy projekt edukacyjny, w którym wolne, niezależne myślenie z nastawieniem na suwerenność narodową miało oferować w pełni uzasadnioną alternatywę dla marksistowskich i globalistycznych poglądów, których głosicielami stały się zachodnie uniwersytety po zakończeniu II wojny światowej". Korea Północna? Nie, to tyrady części mediów węgierskich w połowie roku 2026!

Co dalej?

W kształcie, w jakim istniała przez 30 lat, orbánowska uczelnia na pewno nie może dziś funkcjonować. Głównym zadaniem odpowiednich resortów Magyara jest przeprowadzenie swoistej rewolucji kulturalno-oświatowej. Demokratyczne władze w Budapeszcie chcą, by działające w ramach MCC programy wspierania talentów, którymi objętych jest, a raczej było, ok. 8 tys. młodych ludzi, zostały podporządkowane właściwym ministerstwom. A co z prowadzoną w MCC działalnością naukową i kulturalną? Ta również trafi pod nadzór państwowy.

Widząc konsekwentne działania władz, część członków zarządu oraz wykładowców sama wcześniej opuściła tonący okręt. Jednym z pierwszych, którzy go porzucili, był Balázs Orbán, przewodniczący rady powierniczej MCC. Balázs Orbán do tego roku pełnił funkcję dyrektora

eprasa.pl a4cc490153

politycznego Viktora Orbána i kierował kampanią Fideszu w kwietniowych wyborach, przegranych z Tiszą. Jego odejście 20 czerwca br. nastąpiło w momencie, gdy Tisza premiera Magyara forsowała zmiany w konstytucji, które miałyby zmienić status prawny MCC i innych fundacji utworzonych za czasów Viktora Orbána.

MCC brak jakiegokolwiek oporu, bo osób o autentycznie konserwatywnych poglądach w zamkniętej już dziś uczelni było niewiele. Te same media oskarżają nawet kierownictwo uczelni o tchórzostwo. Bo choć podobno zdarzały się pojedyncze ostre protesty, to od kwietniowej klęski wyborczej kierownictwo MCC

Z mapy Węgier znika także 15 innych fundacji użyteczności publicznej. Nominaci Fideszu zostaną zaś usunięci z rad uczelni.

Jednak los sporej części kadry nauczycielskiej pozostaje niepewny. Dotyczy to zarówno kadry rodzimej, jak i zagubionych obcokrajowców, którzy byli związani z MCC rozmaitymi kontraktami.

Część mediów wciąż sprzyjających Orbánowi cytuje wypowiedzi niektórych pracowników uczelni. Chociaż trudno w to uwierzyć, twierdzą oni, że ok. 70% studentów MCC sympatyzowało z… Tiszą Pétera Magyara. Stąd zdaniem pracowników stało się wyjątkowo defetystyczne. Hungary Today wytyka np. „przepraszający ton, z jakim wielu wykładowców zareagowało na zamknięcie własnej uczelni".

Taką pasywną postawę prezentowano w Budapeszcie. Nie inaczej było w Brukseli (w centrum stolicy Belgii oddział otwarto w roku 2022) oraz w aż 30 lokalizacjach na obszarze dawnych Austro-Węgier, gdzie fundacja MCC szczyciła się prężnie działającymi ośrodkami. W samej tylko Rumunii MCC miała aż dziewięć oddziałów. Regionalne oddziały mieściły się też w słowackiej Dunajskiej Stredzie i serbskiej Suboticy, miastach z większością węgierską.

Z naukowo-politycznej mapy Węgier znika nie tylko MCC. Rozwiązanych zostanie 15 (!) innych fundacji użyteczności publicznej, które nie zajmowały się działalnością uniwersytecką, a nominaci Fideszu zostaną usunięci z rad uczelni.

Gorący przełom lipca i sierpnia przyniósł kres propagandowej tubie kształcącej orbánowskich janczarów. Jak tę decyzję rządu Magyara oceni społeczeństwo – trudno orzec. Tego lata większość Węgrów pochłonięta jest czymś zupełnie innym niż być albo nie być prestiżowej uczelni. Sen z powiek od kilku tygodni spędza im kwestionowane przez Mathias Corvinus Collegium globalne ocieplenie. Jego efekty już wkrótce mogą zagrozić Węgrom wstrzymaniem dostaw wody, prądu, a nawet żywności…

Chrystian Ślusarczyk



eprasa.pl a4cc490153

Gangi ery TikToka

Nowi bohaterowie ulicy – maranza pod Koloseum

Agnieszka Zakrzewicz
Korespondencja z Rzymu

Noc z 1 na 2 lipca 2026 r. pod Koloseum była niezwykle gorąca. Na Placu Largo Gaetana Agnesi – tarasie widokowym górującym nad antycznym amfiteatrem – kilkudziesięcioosobowa grupa tzw. maranza świętowała 21. urodziny kolegi, Egipcjanina. Na nagraniach w social mediach widać tańczący tłum, odpalane race dymne i fajerwerki oraz grupę skandującą niczym na stadionie piłkarskim. Impreza zmusiła do interwencji straż miejską, karabinierów i policję.

Podczas kontroli dokumentów okazało się, że pozwolenie na pobyt jubilata straciło ważność i przebywał na terenie Włoch nielegalnie. Gdy odmówił pójścia na komendę w celu rutynowej identyfikacji, znajomi stanęli w jego obronie. Otoczyli radiowozy straży miejskiej, kilku próbowało dostać się do jednego z pojazdów, a co najmniej trzech wskoczyło na jego maskę. Wbrew informacjom rozpowszechnianym później w internecie samochód nie został skradziony. Za kierownicą siedział nieumundurowany funkcjonariusz straży miejskiej, który wsiadł celowo, aby uniemożliwić jego przejęcie.

Ostatecznie Egipcjanin został zatrzymany i usłyszał zarzuty stawiania oporu funkcjonariuszowi publicznemu oraz uszkodzenia pojazdu służbowego. Kolejny uczestnik zamieszek trafił do aresztu, a dwóch strażników miejskich odniosło obrażenia.

Największym zwycięzcą tamtej nocy okazały się jednak media społecznościowe, gdzie niemal natychmiast opublikowano nagrania. To, co było na nich widać, stało się symbolem nowego problemu włoskich miast.

Maranza, czyli włoski dresiarz

– Maranza to przede wszystkim chłopak (żeńska forma to maranzina) z grupy młodych ludzi, których łączy uliczny styl bycia, charakterystyczny sposób ubierania się, zamiłowanie do muzyki rap i trap, ostentacyjne dodatki oraz często wulgarny język – wyjaśnia prof. Andrea Maggi, nauczyciel i popularyzator języka włoskiego, który często występuje w mediach społecznościowych.

Jak podkreśla, etymologia tego słowa nie jest jednoznaczna. Jedna z hipotez wywodzi je od słowa melanzana (bakłażan), które w slangu bywało używane jako określenie mieszkańców południa Włoch. Z czasem mogło się nakładać na inne potoczne skojarzenia, jak Marrakesz czy Maroko, funkcjonujące w języku młodzieżowym jako odniesienie do osób o północnoafrykańskich korzeniach.

Według prof. Maggiego słowo po raz pierwszy pojawiło się w 1988 r., w utworze „Il capo della banda" Lorenza Cherubiniego, znanego jako Jovanotti. Przez kolejne dekady maranza pozostawało lokalnym elementem mediolańskiego slangu. Dopiero eksplozja mediów społecznościowych sprawiła, że stało się określeniem używanym w całych Włoszech i symbolem nowej subkultury miejskiej. Ale nie tylko. Obecnie maranza to społeczna etykietka młodych ludzi wychowanych na peryferiach wielkich miast, nierzadko pochodzących z rodzin imigranckich, zwłaszcza z rejonu Maghrebu.

Młodociane gangi są odbiciem przemian społecznych zachodzących we współczesnych Włoszech.

Łatwo ich rozpoznać. Dresy, modne sneakersy, błyszcząca kurtka bomberka, czapka z daszkiem, saszetka przewieszona przez ramię i masywna biżuteria tworzą charakterystyczny wizerunek. Ubrania są oczywiście markowe – lub częściej to podróbki, mające jednak podkreślić status. Równie ważny jest sposób bycia: głośne zachowanie, uliczny slang, muzyka oraz przebywanie w grupie. Maranza stadnie manifestuje swoją obecność, zajmując place, stacje metra, dworce, centra handlowe czy ulice. Stadnie też atakuje. Stado (branco) to jego siła. A że w większości to młodociani lub nieletni, są niekaralni. Zjawisko bywa także określane jako baby gangi.

Nie należy oczywiście uznawać, że każdy nastolatek w dresie to maranza ani że każdy przedstawiciel tej subkultury łamie prawo. Problem pojawia się wtedy, gdy ulicznemu stylowi towarzyszą zastraszanie, przemoc, bójki czy ostentacyjne lekceważenie zasad współżycia społecznego.

Właśnie dlatego pojęcie to budzi we Włoszech takie emocje. Dla jednych maranza jest nową miejską subkulturą, dla drugich symbolem nieudanej integracji, narastających napięć społecznych i utraty kontroli nad przestrzenią publiczną. Internet tylko wzmacnia ten obraz. Nagrania bójek, prowokacji wobec służb czy demonstracyjnego „flexowania" – ostentacyjnego eksponowania ubrań, pieniędzy i statusu, błyskawicznie zdobywają setki tysięcy wyświetleń.

eprasa.pl a4cc490153



Po lipcowych wydarzeniach w Rzymie wzmocniono patrole policji w okolicach Koloseum.

W tym sensie młodociane gangi są nie tylko problemem kryminalnym, lecz także odbiciem przemian społecznych we Włoszech.

TikTok i noże

Jednym z pierwszych głośnych incydentów był zlot na plażach nad jeziorem Garda w czerwcu 2022 r. Tysiące młodych ludzi skrzyknęło się przez TikToka. Spotkanie zakończyło się bójkami, aktami wandalizmu, napaściami na przypadkowych przechodniów oraz zgłoszeniami molestowania seksualnego w pociągu, którym uczestnicy wracali do Mediolanu.

Grupowe obmacywanie i masowe molestowanie podczas koncertów, sylwestra czy imprez organizowanych na placach to szczególnie poważna forma zbiorowej przemocy seksualnej. I znowu wiąże się z mechanizmem działania stada. Sprawcy wykorzystują przede wszystkim miejsca największego ścisku, gdzie tłum i głośna muzyka utrudniają wezwanie pomocy. Działają według tzw. techniki muru – otaczają upatrzoną dziewczynę, część zasłania ją przed wzrokiem ludzi, a pozostali dopuszczają się molestowania. Najczęściej wybierane są osoby samotne lub napastnicy odcinają ofiarę od znajomych, aby uniemożliwić skuteczną obronę.

Incydenty tego typu miały miejsce podczas sylwestra na Piazza Duomo w Mediolanie w 2022 r. oraz koncertu pierwszomajowego w Rzymie w 2025 r.

Kolejne przypadki pokazały, że nie chodzi już wyłącznie o improwizowane uliczne awantury. Incydenty z udziałem baby gangów od kilku lat powtarzają się w całych Włoszech. W Mediolanie okolice Dworca Centralnego, Corso Como i Piazza Duomo regularnie stają się miejscem bójek oraz starć z policją, organizowanych za pośrednictwem mediów społecznościowych. W takich miastach jak Brescia, Jesolo, Monza czy Forte dei Marmi dochodziło do napadów, rozbojów i ataków z użyciem noży. Coraz częściej odnotowuje się konfrontacje między grupami maranza a zorganizowanymi kibicami piłkarskimi, m.in. po meczach i w pobliżu centrów handlowych.

W Nogarze koło Werony baby gang zaatakował wiceburmistrza, który zwrócił im uwagę za niewłaściwe zachowanie. W nadmorskim Lido di Spina na Riwierze Romagnolskiej doszło natomiast do ataku na właściciela kąpieliska po zwróceniu uwagi grupie młodzieży grającej w piłkę między wypoczywającymi turystami. Zniszczone zostały parasole i leżaki.

Biała broń

Coraz większym problemem we Włoszech jest liczba nastolatków noszących noże i inną broń białą. Dla wielu młodych ludzi nóż nie jest narzędziem obrony, lecz symbolem siły, sposobem na zdobycie pozycji w grupie i wzbudzenie strachu. Przy łatwym dostępie do tego typu broni nawet błahe konflikty – przypadkowe spojrzenie, sprzeczka czy popchnięcie – błyskawicznie przeradzają się w ataki z użyciem noża. Eksperci zwracają uwagę, że zjawisko napędzają media społecznościowe oraz kultura trap i drill, w których przemoc i demonstracyjne eksponowanie noży stają się elementem budowania wizerunku subkultury maranza.

Skalę problemu potwierdzają analizy włoskiej Krajowej Rady Badań Naukowych (CNR). Wynika z nich, że liczba nastolatków w wieku 15-19 lat, którzy przyznali się do użycia noża lub innej broni w celu zastraszenia lub wymuszenia, wzrosła z ok. 35 tys. w 2018 r. do prawie 90 tys. obecnie. Jednocześnie 3,4% uczniów deklaruje, że regularnie przynosi do szkoły nóż lub kastet – niemal dwa razy więcej niż przed pandemią. Największe ryzyko dotyczy młodzieży w wieku 15-17 lat. Rośnie liczba brutalnych przestępstw z udziałem nieletnich – w Mediolanie skoczyła o 48%,

FOT. SIPA/EAST NEWS

eprasa.pl a4cc490153

a w Genui o 55%, przy czym znaczną część stanowią ataki z użyciem noża.

Wiele szkół zainstalowało lub myśli o instalacji wykrywaczy metalu, aby kontrolować uczniów przed wejściem do szkoły.

Dekret anty-maranza

Nasilanie się zjawiska baby gangów skłoniło rząd Giorgii Meloni do zaostrzenia polityki bezpieczeństwa. W lipcu 2026 r. Rada Ministrów zatwierdziła projekt tzw. dekretu anty-maranza, będącego częścią nowego pakietu bezpieczeństwa. Przewiduje on m.in. zakaz gromadzenia się grup liczących co najmniej pięć osób, jeśli ich zachowanie ma charakter zastraszający lub agresywny, rozszerzenie środków zapobiegawczych wobec nieletnich, zaostrzenie odpowiedzialności karnej młodzieży w wieku 14-18 lat oraz surowsze kary za noszenie noży i innych niebezpiecznych narzędzi.

„Kto popełnia błędy, musi ponosić odpowiedzialność za swoje czyny. Także wtedy, gdy jest niepełnoletni", powiedziała premier w opublikowanym w mediach społecznościowych nagraniu, komentując najnowsze zmiany kodeksu karnego. Meloni przypomniała, że jej gabinet wprowadził już m.in. możliwość zatrzymania nieletnich przyłapanych z bronią, surowsze przepisy dotyczące noży oraz wyższe kary za grupowe niszczenie mienia.

Włoska premier wyjaśniła, że do tej pory osoba między 14. a 18. rokiem życia odpowiadała za przestępstwo tylko wtedy, gdy sąd uznał, że w chwili jego popełnienia była zdolna do rozumienia znaczenia swoich czynów i kierowania własnym postępowaniem. Nowe przepisy zmieniają tę zasadę – odpowiedzialność nieletniego będzie domniemana, choć nadal będzie można przed sądem wykazać brak zdolności rozpoznania znaczenia czynu. „Wcześniej zakładano niezdolność do odpowiedzialności, teraz zakłada się odpowiedzialność", podkreśliła Meloni.

Nowe przepisy są kolejnym etapem polityki prawicowego rządu. Już wcześniej tzw. dekret Caivano wprowadził m.in. możliwość stosowania wobec 14-latków miejskiego zakazu wstępu (daspo urbano), obniżył do 12 lat wiek, od którego policja może stosować formalne upomnienia, oraz zaostrzył odpowiedzialność rodziców za uchylanie się dzieci od obowiązku szkolnego. Zwolennicy nowych regulacji podkreślają, że odpowiadają one na rosnącą falę przestępczości nieletnich.

Dla jednych to nowa miejska subkultura, dla drugich symbol nieudanej integracji.

Prewencja czy represja?

Dekret anty-maranza stał się kolejnym polem politycznego sporu we Włoszech. Opozycja – Partia Demokratyczna, Ruch Pięciu Gwiazd oraz Sojusz Zielonych i Lewicy – zarzuciła rządowi Meloni, że próbuje rozwiązać złożony problem społeczny przede wszystkim za pomocą narzędzi karnych. Zdaniem opozycji przemoc młodzieży jest skutkiem nie samej bezkarności, lecz także marginalizacji społecznej, problemów rodzinnych, kryzysu edukacji i braku perspektyw dla młodych ludzi z peryferyjnych dzielnic.

Psychologowie zwracają uwagę, że za manifestowaną pewnością siebie nieraz kryją się poczucie odrzucenia, wstyd i brak własnej tożsamości. Gdy młodzi ludzie nie potrafią wyrazić tych emocji słowami, coraz częściej okazują je poprzez agresję, prowokację lub drobną przestępczość.

Najwięcej kontrowersji wzbudziła zmiana zasad odpowiedzialności karnej osób między 14. a 18. rokiem życia. Zdaniem krytyków państwo, zamiast obniżać wiek karalności, powinno inwestować w szkoły, pomoc psychologiczną, sport i miejsca integracji społecznej.

„Normy anty-maranza? Dużo hałasu o nic. To przepisy ogłoszone z wielką pompą, które w rzeczywistości niewiele zmienią", ocenił Nicola Gratteri, prokurator naczelny Neapolu, odnosząc się do dekretu.

Tymczasem włoskie zakłady karne dla nieletnich (Istituti Penali per Minorenni – IPM) przepełniły się. W połowie 2026 r. w 20 placówkach przebywało 572 osadzonych. Po ogłoszeniu tzw. dekretu Caivano łączna liczba nieletnich i młodych dorosłych objętych karami wzrosła do 17 833 osób – ponad 3,5 tys. więcej niż w 2022 r.

Spór dotyczy również samego słowa maranza. Zdaniem krytyków termin ten może przyczynić się do stygmatyzacji całej grupy młodych ludzi – na podstawie wyglądu, ubioru czy pochodzenia. „To tak, jakby w latach 60. i 70. wprowadzono przepisy wymierzone w terroni", stwierdził Franco Gabrielli, były szef włoskiej policji i ekspert ds. bezpieczeństwa, porównując określenie maranza do dawnego, pogardliwego terminu używanego wobec mieszkańców południa Włoch. Jego zdaniem słowo to ma charakter obraźliwy i dyskryminujący.

Dla zwolenników dekretu anty-maranza surowsze przepisy nie są karą za styl życia czy sposób ubierania się, lecz koniecznym narzędziem przywracania bezpieczeństwa w miastach. Dla przeciwników stanowią natomiast kolejny przykład polityki opartej na represji, która nie sięga do społecznych źródeł problemu.

Agnieszka Zakrzewicz



eprasa.pl a4cc490153

Matki założycielki III RP

Lewica ma szczególne powody, by pamiętać o parlamentarzystkach

Paweł Siergiejczyk

Powoli odchodzą twórcy III Rzeczypospolitej. Tylko w lipcu br. zmarły trzy nieprzeciętne kobiety, których kariery polityczne wiążą się z Sejmem wybranym w czerwcu 1989 r. Wiesława Ziółkowska – ekonomistka, rodowita poznanianka, została posłanką z ramienia PZPR, do której należała od 1974 r. Danuta Grabowska – nauczycielka z Radomia, również była działaczką tej partii, ze stażem od 1971 r., a na początku lat 80. nawet sekretarzem komitetu wojewódzkiego. Anna Knysok – pielęgniarka z Chorzowa, od 1980 r. działaczka legalnej i podziemnej Solidarności, w stanie wojennym przez kilka miesięcy więziona, weszła do Sejmu z listy Komitetu Obywatelskiego.

Dziwny to był Sejm i do dziś traktowany jest jako swoiste kuriozum. Oficjalnie nazywa się go Sejmem PRL/RP X kadencji, bo gdy był wybierany, nic nie wskazywało, że Polska Rzeczpospolita Ludowa tak szybko zmieni nazwę. Dokonał tego zresztą właśnie ten Sejm po zaledwie sześciu miesiącach istnienia. Jednak numeracja kadencji do samego jej końca – czyli do jesieni 1991 r. – świadczyła o instytucjonalnej ciągłości z państwem, którego już wtedy formalnie nie było. Wszak Sejm PRL I kadencji został wyłoniony w 1952 r., a kolejne w latach 1957, 1961, 1965, 1969, 1972, 1976, 1980 i 1985.



Minister oświaty Krystyna Łybacka. Warszawa, 4 czerwca 2002 r.

Czym więc był ów Sejm działający w latach 1989-1991? Można by powiedzieć, że najlepszym dowodem na pokojową, ewolucyjną przemianę Polski Ludowej w III RP. W naszym kraju doszło bowiem nie do „obalenia komunizmu", lecz do wyjątkowego w polskich dziejach kompromisu najważniejszych sił politycznych: obozu sprawującego władzę od 45 lat, opozycji zorganizowanej pod sztandarem Solidarności od początku lat 80. oraz hierarchów Kościoła katolickiego, którzy pełnili funkcję pośrednika. Efektem tego kompromisu, zawartego na początku kwietnia 1989 r. przy Okrągłym Stole, były czerwcowe wybory, w których obóz rządzący nie tylko „posunął się", dając opozycji możliwość uzyskania 35% miejsc w nowym Sejmie i wszystkich miejsc w odrodzonym Senacie, lecz także dokonał wymiany pokoleniowej we własnych szeregach.

Pierwszą kobietą wicemarszałkiem Sejmu była w latach 1971-1985 bezpartyjna architektka Halina Skibniewska.

Porażka listy krajowej, na której znalazła się czołówka przywódców PZPR, ZSL, SD i prorządowych organizacji katolickich, sprawiła, że w Sejmie X kadencji zabrakło całej ścisłej elity rządzącej dotąd Polską. Władza, która przez poprzednie dekady starała się kontrolować procesy kadrowe na każdym szczeblu, niespodziewanie dopuściła do pełnej demokratyzacji własnych

eprasa.pl a4cc490153

szeregów. Po raz pierwszy w Sejmie PRL ogromna większość posłów nie miała zatem żadnego doświadczenia parlamentarnego. Miało je zaledwie 38 posłów na 460, co nie zdarzyło się nigdy wcześniej i nigdy później. W III RP wymiana kadr parlamentarnych następowała znacznie wolniej, dlatego od wielu kadencji trzon posłów i senatorów pozostaje ten sam.

Konieczność przemian

Sejm i Senat wyłonione w 1989 r. dały więc początek elitom politycznym demokratycznej Polski. Była to zmiana jakościowa pod każdym względem, wszak nowi reprezentanci społeczeństwa, którzy musieli się uczyć parlamentarnego rzemiosła w zupełnie innych niż dotąd warunkach, byli najczęściej ludźmi młodymi, dobrze wykształconymi (oczywiście w szkołach i na uczelniach „komunistycznej" Polski, którą dziś postponują historycy wykształceni w III RP), a przy tym zdającymi sobie sprawę z konieczności przemian ustrojowych.

Wbrew prawicowej czarnej legendzie w Sejmie „kontraktowym" nikt nie chciał bronić starego systemu, z którego niewydolności politycznej i gospodarczej wszyscy zdawali sobie sprawę. Wręcz przeciwnie, posłowie zarówno ze strony dotychczasowej władzy, jak i opozycji mieli poczucie wyjątkowego momentu w historii i zdawali sobie sprawę, że uczestniczą w wydarzeniach przełomowych. Stąd niespotykana już nigdy później zgodność w sprawach najważniejszych.

A takich było naprawdę dużo. Począwszy od powołania rządu Tadeusza Mazowieckiego, za którym 12 września 1989 r. zagłosowało 402 posłów, 13 wstrzymało się od głosu, ale nikt nie był przeciw! Potem zaś zmieniono nazwę i godło państwa, przyjęto plan reform gospodarczych wicepremiera Leszka Balcerowicza, wskrzeszono samorząd lokalny i przeprowadzono nowe wybory samorządowe, zlikwidowano cenzurę i bezpiekę, przekształcono milicję w policję, przeprowadzono pierwsze w dziejach Polski powszechne wybory prezydenckie, wreszcie uchwalono nową, całkowicie demokratyczną ordynację wyborczą do Sejmu. Może nawet zbyt demokratyczną, skoro w Sejmie I kadencji znaleźli się reprezentanci aż 29 komitetów wyborczych, z czego 11 miało zaledwie po jednym pośle.

Przeniesienie na polski grunt rozsądnego niemieckiego rozwiązania z pięcioprocentowym progiem dla partii nastąpiło dopiero w 1993 r., po całkowitej kompromitacji „pierwszego w pełni demokratycznego" Sejmu III RP, który nie był w stanie wyłonić stabilnego rządu.

Tymczasem Sejm PRL/RP X kadencji właściwie niczym się nie skompromitował, za to ustanowił fundamenty demokratycznego państwa i gospodarki wolnorynkowej. W tym wiekopomnym dziele znaczący udział miały kobiety, których w parlamencie pojawiło się wówczas wyjątkowo dużo. W Sejmie było ich 62 na 460 posłów, co stanowiło 13,5% całego składu Sejmu i pozostało rekordem niepobitym do końca XX w. W zdominowanym przez prawicę Sejmie I kadencji liczba posłanek zmalała do 44, w dwóch następnych kadencjach wzrosła co prawda do 60, lecz dopiero po 2001 r. zbliżyła się do setki.

Większość solidarnościowych parlamentarzystek wybranych w 1989 r. przystąpiła z czasem do UD.

Dodajmy jeszcze, że w pierwszym składzie izby wyższej parlamentu z lat 1989-1991 znalazło się siedem kobiet na 100 senatorów. Wszystkie reprezentowały Solidarność, podobnie jak 16 posłanek wybranych z list ówczesnej opozycji. Nietrudno policzyć, że zdecydowana większość kobiet trafiła do tamtego Sejmu z ramienia obozu rządzącego, zwłaszcza PZPR.

We władzach Sejmu

Był to pierwszy Sejm w historii Polski, w którym aż dwie posłanki pełniły funkcje wicemarszałków: wybrana z Gdańska działaczka Solidarności Olga Krzyżanowska (córka Aleksandra Krzyżanowskiego, gen. „Wilka", dowódcy AK na Wileńszczyźnie, zmarłego w stalinowskim więzieniu) oraz olsztyńska działaczka Stronnictwa Demokratycznego Teresa Dobielińska-Eliszewska. Natomiast pierwszą kobietą wicemarszałkiem Senatu w naszych dziejach została prof. Zofia Kuratowska (córka wybitnego matematyka żydowskiego pochodzenia Kazimierza Kuratowskiego). Co ciekawe, wszystkie trzy były z zawodu lekarkami, co stanowi wymowny przykład szczególnej roli tradycyjnej inteligencji w tym historycznym przełomie.

Przy okazji warto przypomnieć, że pierwszą kobietą, która w ogóle została wicemarszałkiem Sejmu, była bezpartyjna warszawska architektka Halina Skibniewska, pełniąca tę funkcję w latach 1971-1985. Po niej przez trzy lata wicemarszałkiem była Jadwiga Biedrzycka z PZPR, pochodząca z Włocławka przewodnicząca Ligi Kobiet Polskich. W 1988 r. zastąpiła ją Elżbieta Gacek, kielecka sędzia, również należąca do PZPR.

Dla porównania dodajmy, że w kolejnych Sejmach III RP, zwłaszcza tych zdominowanych przez prawicę (w latach 1991-1993 i 1997-2005), wicemarszałkiń nie było wcale. Jedynie w centrolewicowym Sejmie II kadencji funkcję tę pełniła znów Olga Krzyżanowska, reprezentująca Unię Demokratyczną, przekształconą wkrótce w Unię Wolności.

Zresztą większość solidarnościowych parlamentarzystek wybranych w 1989 r. przystąpiła z czasem do UD. Obok Krzyżanowskiej i Kuratowskiej partię tę zasiliły m.in. poznańska prawniczka Hanna Suchocka, która w 1992 r. zostanie pierwszą kobietą premierem w historii Polski (wcześniej, w pierwszej połowie lat 80., była posłanką z ramienia SD), Józefa Hennelowa, wybitna krakowska publicystka katolicka z „Tygodnika Powszechnego" (rodem z Wilna), wrocławska romanistka i działaczka Solidarności Barbara Labuda, łódzka lekarka Maria Dmochowska, siostra

eprasa.pl a4cc490153

senatora i przywódcy PPS Jana Józefa Lipskiego, podobnie jak on kombatantka AK i uczestniczka powstania warszawskiego. Ponadto czołowa działaczka Solidarności z Bielska-Białej Grażyna Staniszewska, nauczycielka ze Skierniewic Anna Urbanowicz (później będzie wiceministrem edukacji w rządzie Suchockiej), ekspertka w dziedzinie rolnictwa i prezeska zarządu Fundacji Wspomagającej Zaopatrzenie Wsi w Wodę Maria Stolzman, opolska etnolożka i senatorka prof. Dorota Simonides (również była posłanka SD z początku lat 80.) oraz słupska adwokatka i obrończyni w procesach politycznych Anna Bogucka-Skowrońska.

Wszystkie one pozostały w polskiej polityce przez kolejne lata, niektóre do samego końca parlamentarnej obecności UW. Charakterystyczne, że z Platformą Obywatelską, która w 2001 r. faktycznie dobiła „starą" Unię, żadna z nich nie chciała już się wiązać. Niektóre zaś przeszły do służby dyplomatycznej: Kuratowska zmarła w 1999 r. jako ambasador Polski w RPA, Suchocka przez 12 lat była ambasadorką przy Watykanie, a Labuda po 10 latach pracy w Kancelarii Prezydenta Aleksandra Kwaśniewskiego została ambasadorką w Luksemburgu.



Anna Bańkowska i Izabella Sierakowska w Sejmie VI kadencji. 4 listopada 2007 r.

Wylęgarnia talentów

Tylko nieliczne spośród parlamentarzystek z lat 1989-1991 związały się z prawicą. Była wśród nich Anna Knysok, która stała się jedną z czołowych postaci Partii Chrześcijańskich Demokratów. Ugrupowania niewielkiego, lecz na swój sposób nietypowego, bo cechującego się politycznym umiarem, którego brakowało o wiele większym partiom, np. PC czy ZChN. PChD skupiała takich ludzi jak wicepremierzy Paweł Łączkowski i Janusz Steinhoff, późniejszy prezes Trybunału Konstytucyjnego Jerzy Stępień czy zmarły niedawno nowosądecki senator i przedsiębiorca Krzysztof Pawłowski. Natomiast sama Anna Knysok po zakończeniu kariery poselskiej w 1993 r. pojawiła się jeszcze w rządzie Jerzego Buzka jako wiceminister zdrowia odpowiedzialna za wdrażanie reformy wprowadzającej kasy chorych.

Ławy sejmowe w X kadencji okazały się natomiast prawdziwą wylęgarnią politycznych talentów na lewicy. Stało się tak, mimo że 173 posłów PZPR dość szybko podzieliło się na kilka grup. Pod koniec kadencji Parlamentarny Klub Lewicy Demokratycznej (skupiający m.in. działaczy nowo utworzonej Socjaldemokracji RP) liczył już tylko 102 posłów, utworzona przez Tadeusza Fiszbacha Polska Unia Socjaldemokratyczna – 39, a reszta pozostała niezrzeszona.

Szefową klubu PUS była Wiesława Ziółkowska, która w 1992 r. będzie współtworzyła Unię Pracy i z jej ramienia zasiadała w Sejmie jeszcze przez pięć lat, dając się poznać jako jedna z najlepszych specjalistek od budżetu państwa (była wieloletnią wiceprzewodniczącą, a potem przewodniczącą sejmowej Komisji Polityki Gospodarczej, Budżetu i Finansów). W latach 1998-2004 będzie jeszcze członkinią pierwszej Rady Polityki Pieniężnej z nominacji prezydenta Kwaśniewskiego.

Z kolei Danuta Grabowska znalazła się w PKLD, a potem w SLD, będąc radomską posłanką tej partii w latach 1993-2005. W kolejnych rządach koalicji SLD-PSL pełniła funkcję wiceministra edukacji. Wraz z nią karierę parlamentarną zaczynały m.in. lubelska nauczycielka Izabella Sierakowska (będzie posłanką lewicy do 2011 r.), kujawska posłanka Anna Bańkowska (zakończy karierę sejmową w 2015 r., w połowie lat 90. była też prezesem ZUS) i Dorota Kempka, która później przez trzy kadencje będzie reprezentowała Bydgoszcz w Senacie. Wreszcie pochodząca z Płocka Wanda Sokołowska, która zginęła w 1994 r. w wypadku sejmowego samochodu wraz z trojgiem innych posłów z Komisji Polityki Społecznej jadących do Zakopanego, by odwiedzić ośrodek rehabilitacyjny dla dzieci z porażeniem mózgowym. Jednak najbardziej znana okazała się Barbara Blida, minister budownictwa w latach 1993-1996, śląska posłanka SLD do 2005 r., której tragiczna śmierć podczas aresztowania przez funkcjonariuszy ABW stała się symbolem politycznego wykorzystywania służb specjalnych za pierwszych rządów PiS.

Lewica ma zatem specjalne powody, by pamiętać o parlamentarzystkach, które wniosły znaczący wkład w budowę III RP. Kto bowiem ma się upomnieć o ich pamięć? Przecież nie dominująca w Polsce prawica, dla której są one „postkomunistkami" albo wręcz „lewaczkami". I dotyczy to działaczek zarówno SLD i Unii Pracy, jak i Unii Demokratycznej. Bo dla polskiej prawicy tylko ci, którzy podzielali jej fobie i obsesje, mają miejsce w historii, nie zaś ci, którzy stawiali na kompromis i współpracę ponad podziałami dla dobra państwa i społeczeństwa.

Paweł Siergiejczyk

FOT. MACIEJ MACIERZYŃSKI/REPORTER, WITOLD ROZBICKI/REPORTER

eprasa.pl a4cc490153



ARCHIPELAG DRAMATÓW I GNIEWU

Zapomniane bohaterki polskiej alternatywy

MAGDALENA CZUBASZEK
– niezależna dziennikarka i reportażystka, absolwentka Instytutu Kultury Polskiej UW oraz Polskiej Szkoły Reportażu. Autorka książki „Będziesz wrzeszczeć. Dziewczyny na polskiej scenie alternatywnej lat 80."

Rozmawia Urszula Abucewicz

Jeden z rozmówców w pani książce zapytał: „Po co pani opowiada porażkę?". Inni mówili, że baby zawsze się kłócą i „im się nie chciało". Kiedy to czytałam, narastało we mnie poczucie gniewu.

– Cieszę się, że udało mi się trochę tego gniewu na panią przelać.

Podczas lektury innych książek o historii polskiej sceny muzycznej miałam wrażenie, że kobiety były jedynie dodatkami do męskich opowieści. Ten wzór mnie denerwował.

– Nie wszyscy mężczyźni zachowywali się tak samo, ale większości z nich trudno było uznać kobiety za osoby, które mogą mieć jakiś życiorys. Gniew towarzyszył mi przez dłuższy czas pracy nad tym tematem. Z czasem, gdy poznałam historię Ireny Jagiełki (trębaczka i gitarzystka basowa – przyp. red.), pojawił się namysł, czy w ogóle ten reportaż może kogoś uratować. Wiedziałam, że nie, ale biłam się z myślami, czy nie spróbować tekstu interwencyjnego, bo Irenka żyła w strasznej nędzy.

Z urywków gazet, kaset i wspomnień odzyskiwała pani historie kobiet. Co panią napędzało?

– Na początku niedosyt. Przeczytałam „Dziką rzecz" Rafała Księżyka i choć dużo się z niej dowiedziałam, wątki kobiece wydały mi się zbyt grzecznie opowiedziane.

Później podczas siedmiu lat pracy nad książką te emocje się zmieniały. Wiedziałam na co się piszę – że będzie to wydrapywanie informacji niemal spod ziemi, ale nie chciałam pisać kroniki, lecz pokazać sytuację tych kobiet – czym żyły i oddychały w latach 80. Z tej ciekawości i złości powstała książka. Lubię gniew jako punkt uderzenia, energię do działania. To ona popchnęła mnie do pracy i wyciągania z szafy zapomnianych historii kobiet. Ale potem się wyczerpała.

Gdy już intensywnie pracowałam nad wywiadami, ich historie stały się moimi historiami. Zastanawiałam się, jak to było być kobietą w latach 80., mieć dzieci albo mieć je w drodze i do tego grać muzykę. Dla mnie to była osobista nagroda, że mogę zajmować się kobiecym dziedzictwem.

Kilka kobiet odmówiło pani rozmowy. Dlaczego nie chciały mówić o ówczesnej aktywności?

– Myślę, że to efekt ducha tamtych czasów. Od mężczyzn wymagano, żeby byli aktywni, silni i twardzi, a kobiety miały być ciche i grzeczne. Domyślam się, że mogły czuć pewien dysonans w sytuacji, kiedy pojawia się obca osoba, zadaje pytania i pcha je na pierwszy plan. Nie każda była na to gotowa. Kobiety z tego pokolenia, nie tylko muzyczki czy artystki, rzadko mówią, co myślą. Mają przekonanie, że są bezwartościowe, za wszystko przepraszają i wolą zostać z boku, bo nie czują się komfortowo w świecie, który cały czas sprawdza ich kompetencje.

A może obawiały się odbioru?

– Jest to pewien trop. Wiadomo, że nie są to osoby po dwudziestce, ale po pięćdziesiątce, sześćdziesiątce czy siedemdziesiątce. Żyją domem, mają wnuki, pracę, która nie jest dla nich najważniejsza na świecie. Łączą

eprasa.pl a4cc490153

w sobie dwie postacie: stateczną panią w sile wieku z tamtą pełną buntu dziewczyną sprzed lat, która wychodzi na scenę i elektryzuje publiczność. Jak pogodzić te osoby bez poczucia dysonansu? Nie wiem.

Część z nich mogła się obawiać, że moja książka ma charakter feministyczny. Od Wiganny Papiny, stylistki gwiazd, która pojawia się w historii o zespole Oczi Cziorne, pierwsze, co usłyszałam, to to, że nie jest feministką. Chwilę później bardzo świadomie opowiedziała, kto wtedy miał władzę i jak funkcjonowały mechanizmy wykluczania kobiet.

Zaczyna pani od opisu koncertu The Raincoats w Warszawie. Był przełomowy w rozwoju kobiecej sceny alternatywnej.

– I tak, i nie. Koncert się odbył, a właściwie nawet cztery koncerty, dziewczyny wróciły do domu, ale w Polsce nie narodziła się kobieca scena alternatywna. Ich występy były impulsem dla mężczyzn, którzy ośmieleni ich odwagą stworzyli jedne z pierwszych kapel punkowych.

Na koncercie The Raincoats w klubie Riviera Remont byli Jacek „Luter" Lenartowicz z Gdańska i 16-letni wówczas Robert Brylewski. Punk rock znali wtedy głównie z opowieści, pojedynczych audycji radiowych czy wzmianek w prasie. Kiedy zobaczyli na scenie trzy dziewczyny, byli zaskoczeni. Spodziewali się wściekłych mężczyzn, którzy rzucają krzesłami i używają wulgaryzmów, a ujrzeli Amerykankę, Brytyjkę i Portugalkę w kolorowych ciuchach, samodzielnie obsługujące sprzęt muzyczny. To zrobiło na nich wrażenie. O założeniu zespołów myśleli już wcześniej, ale wtedy po raz pierwszy uwierzyli, że nie trzeba czekać na pozwolenie. Wystarczy mieć tę energię.

Miała pani okazję ich o to zapytać?

– Nie zdążyłam porozmawiać z Robertem Brylewskim, ale ta historia przewijała się w undergroundzie i w świecie punkowym. Muzyk podkreślał, że ten koncert był dla niego inicjacją jego muzycznych działań. Ale nikt poza dwiema amerykańskimi badaczkami nie zgłębił tej historii.

Koncert Any da Silvy, Giny Birch i Jeremie Frank był też przełomem dla Tomka Lipińskiego, który opiekował się zespołem podczas jego pobytu w Warszawie. Był tłumaczem, oprowadzał dziewczyny po mieście i pomagał w organizacji wydarzeń.

Lipiński miał wtedy 20 lat, rzucił studia na ASP i szukał swojej drogi. Po latach wielokrotnie powtarzał, że The Raincoats były nie tylko „szokiem dla Polski", ale i jego „osobistym szokiem". Najbardziej zapamiętał moment pożegnania. Kiedy zespół odjeżdżał z Warszawy, dziewczyny krzyknęły z okna pociągu: „You are the future of Polish rock and roll". Lipiński potraktował te słowa jak przepowiednię i zobowiązanie.

Zresztą historia potoczyła się błyskawicznie. The Raincoats zagrały w Polsce w 1978 r., a już rok później Tomek Lipiński razem z Jackiem „Lutrem" Lenartowiczem założyli Tilt.

Zastanawiałam się, jak to było być kobietą w latach 80., mieć dzieci albo mieć je w drodze i do tego grać muzykę.

Mężczyźni nie umieli grać i śpiewać, a jednak zakładali kapele. Kasia Kulda, wokalistka Kontroli W., uważała, że „tylko pomagała bratu". Gdy wzbraniała się przed tą rolą, mówiąc, że „nie umie śpiewać", usłyszała: „Będziesz wrzeszczeć". Stąd tytuł pani książki.

– Słowa Darka Kuldy idealnie oddają dynamikę tamtych lat, dlatego mnie zainspirowały. Niestety, sama Kasia nie miała udziału w powstawaniu książki. To pewnie nie jest popularne podejście, żeby pisać o kimś, kto nie zgodził się na rozmowę. Nie wyobrażałam sobie jednak, żeby o niej nie opowiedzieć, bo była ikoniczną postacią na scenie alternatywnej lat 80. Poza tym to jest reportaż o znikaniu i nieobecności.

Z istniejących źródeł wynika, że Kasia początkowo nie była przekonana do śpiewania w zespole nowofalowym. Nie zabiegała o miejsce na scenie, raczej pozostawała w cieniu. Być może wynikało to z jej charakteru, a być może z podziału ról, który od początku ukształtował się w zespole. Darek wielokrotnie podkreślał, że to on był liderem, autorem piosenek i to jest jego zespół, a Kasia „tylko" śpiewała. Ta narracja zwróciła moją uwagę. Jakby wykonanie partii wokalnej było czymś oczywistym i niewymagającym. A przecież dobre operowanie głosem wymaga talentu, odwagi, interpretacji i osobowości. Wokalistka nie jest bierną wykonawczynią – współtworzy charakter zespołu, kształtuje jego wizerunek

Z zewnątrz wygląda to tak, jakby Darek sam nie do końca doceniał rolę siostry. A przecież bez niej ten zespół byłby jak setki innych. Nie chodzi tylko o to, że była kobietą. Miała charakterystyczną barwę głosu i potrafiła świadomie ją wykorzystywać. Jej bardzo zimny, zdystansowany sposób śpiewania tworzył ciekawy kontrast z ostrym brzmieniem zespołu. To ta formuła w dużej mierze budowała rozpoznawalność Kontroli W. i Kosmetyków Mrs. Pinki – w którym także była wokalistką.

Pierwszym kobiecym zespołem na scenie alternatywnej był łódzki Transs?

– Wychodzi na to, że tak. Transs powstał w Łodzi w 1979 r. Ale muszę zastrzec, że skoro informacja na ich temat przeleżała w szafie tyle lat, to kto to wie, może w innej szafie leżą kasety innych kobiecych zespołów?

Dziewczyny z Transs nie chciały być grzeczne. Były ostre i wiedziały, czego chcą.

– Chciały żyć po swojemu. Buntowały się przeciw rzeczywistości PRL i nie chciały się podporządkowywać. Śpiewały o braku pieniędzy, niechęci do szpanerstwa, ale też o wierze i Bogu. Rozmawiały z nim, domagając się, by ich wysłuchał.

W ich graniu jest bardzo dużo energii i żaru. Pod tym względem można dostrzec pewne podobieństwo do The Runaways, w którym grała Joan Jett na początku kariery. Dziewczyny z Transs funkcjonowały jednak w zupełnie innych realiach. Ich muzyka wyrasta z innego doświadczenia niż twórczość zachodnich zespołów.

eprasa.pl a4cc490153

Co doprowadziło do przedwczesnej śmierci Mao Star? (Małgorzata Maria Starowieyska – artystka, malarka, performerka – przyp. red.). Niemożność realizacji czy autodestrukcja? Pisze pani, że w jej przypadku najpierw pani słyszała o chlaniu, a potem o tworzeniu.

– Ciężka chmura nad nią wisiała. Gdy tylko pytałam o Mao Star, każdy albo wznosił oczy do nieba, albo brał głęboki wdech. Jeśli po tylu latach nadal reagowano w taki sposób, to na pewno nie było łatwo.

Dziewczyny z Transs buntowały się przeciw rzeczywistości PRL. Śpiewały o braku pieniędzy, niechęci do szpanerstwa, ale też o wierze i Bogu.

Jeden z pani rozmówców powiedział, że miała w środku „żużel", czyli coś, co zostaje, gdy ogień jest zbyt duży.

– Wszystko było przeciwko niej. Jako Małgorzata Starowieyska, córka wielkiego szlacheckiego rodu, nie była mile widziana w ówczesnej Polsce. Już na samym początku była obca we własnym kraju. Nie mogłaby tutaj rozwijać kariery artystycznej, musiała emigrować. A na emigracji – ciągłe problemy z pracą, brak pieniędzy. W Berlinie bieganie na policję żeby co miesiąc przedłużyć pobyt, ale bez prawa do legalnego zatrudnienia. A przecież finansowa niezależność to podstawa poczucia bezpieczeństwa. Jeśli kogoś boli ząb, idzie do dentysty, a nie pisze do matki, że nie może wytrzymać z bólu, bo gniją mu zęby. A o tym czytałam w jej listach. Brak poczucia bezpieczeństwa i status obywatelki drugiej kategorii nie ułatwiał jej egzystencji.

Była też obciążona historią swoich przodków z rodu Załuskich i Starowieyskich. Jej dziadek, który zginął w obozie koncentracyjnym, był żarliwym katolikiem. Organizował potajemne modlitwy więźniów, buntował ich przeciw Niemcom. Jako mała dziewczynka modliłam się razem z babcią do Starowieyskiego. Nie wplotłam tej anegdoty w tekst, ale żarliwość jej dziadka, to jak zginął, a potem samobójcza śmierć jej ojca pokazują, że tragedia jej losu była w pewnym sensie wpisana w DNA tej rodziny.

Jako artystka cały czas meandrowała. Najpierw była malarką, potem była w teatrze, następnie zajęła się performance'em i muzyką, a wszystko było podlewane alkoholem. I to była kropka nad i. Myślę, że gdyby nie piła, byłaby w stanie przeżyć. Ale to był jej sposób radzenia sobie z lękiem i stresem, bo tych emocji i brutalnych przejść z mężczyznami było sporo, archipelag dramatów. Zdecydowanie za dużo na jedną osobę.



Irena Jagiełka

I jeszcze straciła prawa rodzicielskie. Wspomina pani, że granie często przegrywało z macierzyństwem. Mariola Niedbał z Fatum grała i śpiewała dziecku w kąpieli. W przypadku zespołu Oczi Cziorne, dziewczyny grały, gdy pojawiały się nowe możliwości, jakiś pretekst do grania: chwila wolnego czasu, rzucony pomysł, by odświeżyć utwór, nagrać nowy lub zagrać koncert.

– W odróżnieniu od Mao Star dziewczynom z Oczi Cziorne było łatwiej, bo było ich kilka. Wymieniały się opieką nad dziećmi i mogły na siebie liczyć. Kiedy z nimi rozmawiałam, miałam wrażenie, że czuły się gorsze, słabsze, niewystarczające i nieciekawe przez to, że chciały grać, a często nie mogły, bo trzeba było zająć się dziećmi, iść do pracy, zarobić pieniądze. Uważały, że brak ich aktywności na scenie muzycznej to ich wina, ale jak przy tylu obowiązkach to zrobić?

Funkcjonowały przez pewien czas w rytmie grania, po czym to przerywały, bo trzeba było dopełnić inne obowiązki. Gdy brakowało im muzyki, wracały na chwilę, po czym znów znikały. Nieświadomie wypracowały taki model działania, bo innego nie dało się pogodzić z ich życiem. To jedyny zespół, który przetrwał z tamtych lat, może dlatego, że pogodziły się z tym, jak jest.

Wspomniała pani o Irenie Jagiełce. To tragiczna historia schorowanej, żyjącej w skrajnej biedzie kobiety, której emerytura wynosiła 8 zł. Nie doczekała pani książki.

– Bardzo mnie poruszyło, że jej historia tak się skończyła. Irena stale grała z różnymi wrocławskimi składami, ale najwyraźniej planowała też powrót do grania z dawną znajomą. Spotkała się rok temu z Mariolą Niedbał z zespołu Fatum, który tworzyły w 1983 r. Mariola opowiadała mi, że ją prosiła ją wówczas, by o siebie dbała i więcej jadła.

Pół roku od ich spotkania zobaczyłam na Facebooku czarno-białe zdjęcie Irenki. Widziałam w jakich warunkach żyła, ile miała pieniędzy na życie i jak była schorowana, ale nie przyszło mi na myśl, że umrze.

Na samym początku patrzyła na mnie podejrzliwie, chociaż wyjaśniłam jej, że zbieram materiały do książki. Pomyślałam, że pewnie miała trudne doświadczenia. Gdy o to

eprasa.pl a4cc490153



Pocztówka The Raincoats drukowana z okazji wizyty zespołu w Polsce.

spytałam, potwierdziła i zaznaczyła od razu, że nie chce o tym mówić. Okazało się, że ona i Mao Star były z tej samej gliny. Łączyła je bliska przyjaźń. Podobny duch się nad nimi unosił. Kiedy przyniosłam jej listy Mao Star, trzymała je z ogromną czułością. Widziałam, jak wiele emocji w niej się kłębi. Ale widziałam też radość z kawy, którą dostała ze Szlachetnej Paczki, uśmiech, gdy mnie nią częstowała. Mówiła też, że czasem ktoś przychodzi z MOPS żeby posprzątać w jej domu.

Była we mnie niezgoda na jej los. Pamiętam, że kiedy poszłam na koncert Kim Gordon, trudno mi się na nią patrzyło. Miałam świadomość, że obie są w tym samym wieku. Ale jedna jest oklaskiwana, piękna, jej wizerunek jest wykorzystywany w reklamach sieci odzieżowej. Druga siedzi sama w domu i brakuje jej na leki.

Wydaje się, że obecnie kobiety są równoprawnymi liderkami i artystkami na scenie muzycznej. Jak ocenia pani ich pozycję?

– Nie mam szybkiej diagnozy na temat współczesności, bo mentalnie siedzę głęboko w latach 80. i 90. Myślę, że przemysł muzyczny stawia dziś przed artystkami inne wyzwania. Z jednej strony kobiety wywalczyły sobie lepszą pozycję, mogą tworzyć bardziej na własnych zasadach, ale z drugiej – zderzają się z murem realiów ekonomicznych. Funkcjonuje wyraźny podział na mainstream i scenę niezależną. Ta druga ledwie przędzie. Brakuje pieniędzy. Wszystko trzeba finansować z własnej kieszeni. Kiedy rozmawiam z muzykami i muzyczkami niezależnymi, słyszę, że taka działalność często mija się z celem. Wydają jedną płytę, ale na kolejną brakuje już sił. Kapitalizm wykarczował, a właściwie połknął wszelkie inne przejawy muzycznej aktywności. Albo tworzysz pod masowe gusta, albo dla znajomych za półdarmo.

W książce skupiłam się na latach 80., ale uwzględniłam również początek kolejnej dekady. W niej już nie sposób pominąć kwestii nieuczciwych praktyk, na których został zbudowany polski show-biznes. Dopisywanie własnego nazwiska do listy twórców utworów, żeby czerpać zyski z tantiem, czy płacenie stacjom radiowym za emisję piosenek sprawiało, że popularność często zależała nie od talentu, lecz od zaplecza finansowego. Jak to wygląda dzisiaj? Czy takie praktyki funkcjonują w dzisiejszym mainstreamie? Chętnie zapytałabym o to Kasię Lins czy Mery Spolsky.

Domyślam się, że nie wszystkie historie znalazły się w książce. Co dalej pani zamierza?

– Cały czas dostaję wiadomości: „A dlaczego nie napisałaś o niej?”, „Jest jeszcze taki zespół”. To niezwykle cenne. Wciąż pojawiają się nowe tropy i nie wykluczam, że kiedyś do tego wrócę. Dziś jednak nie chcę niczego deklarować. Chcę zobaczyć, dokąd zaprowadzi mnie ta książka.

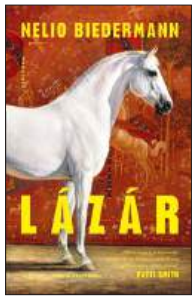
Urszula Abucewicz



FOT. DAWID RUTKOWSKI, Z ARCHIWUM IRENY JAGIEŁKI, ARCHIWUM PRYWATNE

eprasa.pl a4cc490153

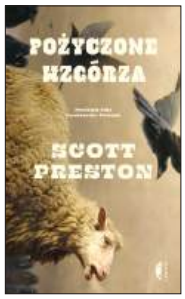
MIĘDZY OKŁADKAMI



Nelio Biedermann
Lázár
tłum. Danuta Fryzowska
Marginesy, Warszawa 2026

Inspiracją młodego autora (rocznik 2003) były domowe przekazy: jego dziadkowie jak rodzina Lázárów pochodzili z węgierskiej szlachty i uciekli do Szwajcarii w latach 50. Baśniowość zderza się u niego z bolesną fizjologicznością, także chwil szczęśliwości Biedermann skąpi, bo, jak tłumaczy w pewnym momencie, „pisarz niczego się tak nie obawia jak szczęścia". Czy jest też autoironia w tym, że przygląda się z zewnątrz powieściowemu światu, otwarcie przyjmując pozycję tego, kto pociąga za sznurki? Podkreśla „dysproporcję sił, jak między sprawcą a ofiarą", między pisarzem a postaciami, którym „stawia na drodze wojny, przyprawia je o depresję albo wyrywa im z objęć ich pierwszą miłość". Przy czym rządzi nie tylko własnymi bohaterami – Stalinowi każe umierać w zasikanej bieliźnie, z ostatnią myślą o „Martwych duszach". Ale czy ludzie nie bywają wobec tego, co ogólnie nazywamy historią, równie bezradni? W miłości z kolei niszczą to, co mają, wiedzeni impulsem...

Aleksandra Pańko



Scott Preston
Pożyczone wzgórza
tłum. Zofia Szachnowska-Olesiejuk
Czarne, Wołowiec 2026

Brawurowy debiut, w duchu klasycznego westernu i surowego brytyjskiego realizmu, z akcją rozgrywającą się w Kumbrii, deszczowej krainie na pograniczu Anglii i Szkocji. Gdy na początku XXI w. epidemia pryszczycy niszczy stada owiec, świat tamtejszych rolników rozpada się w pył. Bohater, Steve Elliman, wraca w rodzinne strony, by pomóc ojcu. Tragedia i utrata dorobku życia popychają go jednak wraz z innym farmerem do desperackiego czynu: kradzieży cennych stad z południa kraju. Przestępstwo to uruchamia lawinę dramatycznych zdarzeń. Preston z wyczuciem poety i okiem filmowca przedstawia przejmujący obraz prowincji, gdzie człowiek jest nieodłącznie związany z trudną ziemią. To mroczna, pełna czarnego humoru i brutalnego piękna elegia o gniewie, rozpaczy oraz walce o przetrwanie w zapomnianym świecie. Powieść gęsta, surowa i trzymająca w napięciu.

Rafał Pikuła

WYDARZENIE



Tegoroczną edycję festiwalu dopełnia podróż przez muzyczne dziedzictwo Starego Kontynentu. W nowym kwartecie prowadzonym przez jednego z najbardziej oryginalnych i cenionych na międzynarodowej scenie skrzypków, Adama Bałdycha, spotkali się niezwykli artyści: włoski bandoneonista Daniele Di Bonaventura, szwedzki pianista Jacob Karlzon i francuski kontrabasista Michel Benita. Każdy wnosi swój bogaty, wielobarwny świat, a razem, w dialogu, tworzą piękny, fascynujący pejzaż dźwiękowy. Premiera albumu „Endless", opowieści łączącej jazzową wolność z precyzją brzmienia muzyki klasycznej, kontemplację z emocjonalnym napięciem, zbiega się z ostatnim w tym sezonie koncertem Jazzu na Starówce. A tytuł płyty jest wymowny – gdy na scenie muzyka ucichnie, jej oddziaływanie na słuchaczy z pewnością się nie zakończy. *(ap)*

Więcej na: jazznastarowce.pl, facebook.com/festiwaljazznastarowce.
Warszawa, Rynek Starego Miasta, 29 sierpnia, godz. 19

NA EKRANACH



W „Gorzkich świętach" Almodóvar powraca do korzeni. Raz jeszcze kręci melodramat w rodzimym języku i tym razem proponuje dualną historię o procesie twórczym, kobiecej przyjaźni i momencie, w którym artysta przekracza granicę lojalności wobec bliskich mu osób. Hiszpan nabija się sam z siebie, sugerując, że nie jest już w stanie zrealizować dobrego filmu (i wychodzi mu całkiem niezła rzecz). Trochę mu trzeba zaufać, bo z początku ten koncept jest formalnie nieklarowny, ale ostatnie 20 minut rekompensuje widzowi niezrozumiały chwilami seans. W filmie pojawia się dialog między bohaterem (alter ego reżysera) a jego menedżerką, że on już nic nie musi. Starczy, że zrobi nawet film krótkometrażowy, który pojawi się na platformie streamingowej, fani i tak będą wdzięczni za kolejne dzieło. Tak jak w tym przypadku. To nie jest najlepszy Almodóvar, ale na tyle interesujący, że to wystarczy, by zadowolić nawet najbardziej wymagających. *Jan Tracz*

Kolumnę przygotowała Agata Gogołkiewicz

FOT. GUTEK FILM, MATERIAŁY PRASOWE (3)

eprasa.pl a4cc490153



Oko w oko Tomasz Jastrun

Zupełne zezwierzęcenie

Myślenie endekoidalne, czyli narodowo-prawicowe, to chemia mózgu. Więc stan umysłu bliski wierze religijnej. Dlatego rozmowa między nami nie ma sensu. Kiedyś, owszem, zdarzała się jakaś wymiana poglądów, teraz może być tylko złorzeczenie. Program w TVN 24 „Kawa na ławę", do którego zaprasza się też gości z prawej strony, zamienił się we wzajemne ujadanie, zupełne zezwierzęcenie. Nie wiem, po co ten spektakl. Prawicowy umysł to cały pakiet poglądów i przekonań. Reakcje prawicy na nowe zdarzenia są przewidywalne. Było oczywiste, że będzie kpiła i złorzeczyła na Trzaskowskiego, że w Warszawie likwiduje się, zresztą na małą skalę, ulice, które nie są konieczne, i przekształca je w promenady; tam zieleń, ławki i fontanny, a po bokach stoliki kawiarni i restauracji. Tak zmieniła się Złota. Rewelacja. Ograniczać samochody, beton zastępować zielenią to jedyny sposób, by tworzyć miasto przyjazne mieszkańcom i turystom. Na razie są to wyspy, ale kiedyś podadzą sobie ręce. Konfederacje i ich krewni z PiS krzyczą zaś, że to atak na kierowców, lewicowy spisek, zwalnia się ruch samochodowy na ulicach lub go likwiduje, by utrudnić życie polskim kierowcom. Na dodatek otwarto widok na Pałac Kultury, zamiast zburzyć ten dar Stalina. To pokrewne przekonaniu prawicy, nie tylko polskiej, że globalne ocieplenie jest fikcją, że to spisek. Można by tak wyliczać objawy ich odmienności, też z moralnymi niekonsekwencjami.

•

W sklepie spojrzała na mnie krzywo „Gazeta Polska Codziennie". Na pierwszej stronie oblicze Tuska – i zdumienie, bo zdjęcie nie jest karykaturalne. Gruby tytuł za to głosi: „Koalicja Obywatelska okradła ofiary powodzi. Kaczyński: nie mają grama przyzwoitości". Kupuję więc pismo za 5 zł, wstyd, że ktoś ze stojących w kolejce zobaczy. Może w tym szambie znajdę jakiś temat. A więc nowa afera, PO i Tusk są odpowiedzialni za to, że szeregowi członkowie tej partii dokonywali nadużyć w związku z wypłatami poszkodowanym przez powódź. Myśląc analogicznie, można uznać, że PiS to agentura Moskwy. Przecież wiceminister i pisowski poseł, uciekając przed polskim wymiarem sprawiedliwości, ukrył się w Naddniestrzu, to enklawa oderwana od Mołdawii i kontrolowana w pełni przez Rosję. Nikt z Polski nie może tam się ukrywać bez zgody Rosji. Jako że nie ulegam paranoicznemu prawicowemu myśleniu, nie uważam jednak PiS ani Romanowskiego za agenturę Kremla, to tylko rodzimy endekoidalny idiotyzm.

•

Umarła Ewa Zawistowska, wnuczka Władysława Broniewskiego. Kilka lat temu szukałem spadkobierców poety, chciałem drukować jego wiersz. I dzięki internetowi znalazłem ją w małej greckiej wsi, z widokiem na górę Athos. Córka Anki, córki Broniewskiego. Anka popełniła samobójstwo, gdy Ewa była małą dziewczynką. Samobójstwo, a może to był wypadek? Pisałem o tym sporo w „Domu pisarzy w czasach zarazy". Broniewski stworzył cykl słynnych wierszy po śmierci Anki. Są piękne zdjęcia poety z małą dziewczynką. Męczyła mnie myśl, co się stało z tym okrutnie osieroconym dzieckiem, jaki był jego los. I znalazłem Ewę w Grecji. Kilka tygodni temu rozmawialiśmy na Messengerze, pytałem o jej męża, wiedząc, że jest ciężko chory, napisała, że jej też psuje się zdrowie. Nie wiedziałem, że tak dramatycznie. I teraz już jej nie ma.

•

Mój synek Franio udał się oczywiście na defiladę wojskową. Chodzi mu po głowie bycie oficerem. Kiedyś bym się na to obruszył, a teraz nie. Nie dałem rady wysłuchać Nawrockiego, upodobnił się do Gomułki, nie może skończyć ględzić. I ten patos i kibolskie pokrzykiwania. Franek też tego nie wytrzymał, zmył się z defilady i pojechał na siłownię. Nawrocki wołał: „Musimy mieć świadomość, że na sztandarach Wojska Polskiego od wieków wypisane jest »Bóg, Honor, Ojczyzna«, a nie SAFE". Z honorem

Ograniczać samochody, beton zastępować zielenią to jedyny sposób, by tworzyć miasto przyjazne mieszkańcom i turystom.

bywało różnie, a Bóg jakoś kiepsko nam w przeszłości pomagał, a jak pomógł w 1989 r., to teraz rzucamy się sobie do gardeł. I dalej, że SAFE zabiera nam suwerenność. Za to w odpowiedzi pochwalnie mówił o SAFE minister obrony Kosiniak-Kamysz. W Republice wytrysnął więc pasek: „Nachalna rządowa propaganda kredytu SAFE". Ci paranoicy uważają, że zadłużamy się u naszych śmiertelnych wrogów, czyli na Zachodzie, w nienawistnych nam państwach, które są z nami w Unii i w NATO. A niezaproszenie na defiladę ukraińskich żołnierzy nie mieści się w głowie. Ten cały nasz nowy sprzęt wojskowy taki wypucowany, jechały wozy wojskowe i czołgi jak duże zabawki, a na wschodzie ukraiński sprzęt w błocie i we krwi.

W poprzednim felietonie Tomasza Jastruna przytrafił nam się wstydliwy błąd ortograficzny, za co Autora i Czytelników przepraszamy.

FOT. BARTOSZ MACIEJEWSKI

Poprzednie felietony na tygodnikprzeglad.pl

eprasa.pl a4cc490153

15 goli w jeden wieczór

Polska kanonada w Europie

Wojciech Kuczok

Tak obficie jeszcze nie strzelano – w czwartek polskie kluby zdobyły rekordowe 15 goli w trakcie jednego pucharowego wieczoru. Lech Poznań okrutnie się zabawił kosztem FC Thun. 7:0 z mistrzami Szwajcarii to najwyższa wygrana Lecha w historii europejskich zmagań, jak również najwyższa pucharowa porażka Helwetów. Co ciekawe, ten radosny trening strzelecki Poznaniacy urządzili sobie pod nieobecność kontuzjowanego supersnajpera Mikaela Ishaka. Takie mecze „bez historii" lubimy.

W ramach próby odkupienia grzechu śmiertelnego, jakim było odpadnięcie z Aarhus GF, Lech wziął się wreszcie do roboty i w ostatnich dwóch meczach kwalifikacji Ligi Europy zdobył 12 goli, zachowując czyste konto z tyłu. Można się wyzłośliwiać, że w przypadku Poznaniaków bezpieczny wynik nie istnieje, ale z taką zaliczką to i kataklizm Lechowi awansu nie odbierze. Nawet gdyby nie pojechali na rewanż i zostali ukarani podwójnym walkowerem – i tak będzie za mało.

Liga Europy to już taka mała Liga Mistrzów, słabeuszy tam nie będzie, za to czekają Milan, Juventus, Bayer Leverkusen czy Benfica – z takimi rywalami trzeba będzie się mierzyć co dwa tygodnie przez całą jesień. By marzyć o przebrnięciu przez fazę ligową, trzeba będzie nie tylko grać na najlepszym poziomie, ale i mieć szczęście w losowaniu rywali. Można się zastanawiać, jakim cudem tak słaba drużyna jak Thun zdobyła w cuglach mistrzostwo Szwajcarii (14 pkt przewagi nad wicemistrzem z Sankt Gallen), albo uznać, że to Lech jest taki mocny – wszak Thun odpadło z eliminacji Champions League z Dinamem Zagrzeb dopiero po dogrywce, w której grało bez jednego zawodnika ukaranego czerwoną kartką.

Kiedy w poprzedniej rundzie Lechici po swojej odysei powietrznej w końcu wylądowali na Wyspach Owczych (z powodu zamglenia jedynego lotniska w tym regionie dotarli z kilkudziesięciogodzinnym opóźnieniem), bez szukania wymówek w zdrożeniu, w sztucznej murawie i w „braku słabych drużyn" zbili gospodarzy 5:0. Klaksvík tylko raz przegrał u siebie w takim wymiarze, ćwierć wieku temu, gdy piłka nożna na Wyspach Owczych była uprawiana hobbystycznie przez amatorów. W ostatnich latach nikomu nie grało się tam łatwo, na tarczy wracały notowane znacznie wyżej drużyny skandynawskie, na czele z Bodø/Glimt i Molde. To nie są normalne wyniki ani dla Farerów, ani dla Helwetów.

7:0 z mistrzami Szwajcarii to najwyższa wygrana Lecha w historii europejskich zmagań.

Lech po prostu dojrzał jako drużyna do tego, by rywalizować z ekipami z europejskiego topu – średniaków i słabeuszy traktuje bowiem bezlitośnie. Kuriozalne potknięcie z Aarhus należy uznać za wypadek przy pracy. Kolejorz ograł Szwajcarów koncertowo, zdobywając gole nie tylko po kardynalnych błędach obrony rywali, ale i po wyrafinowanych, kombinacyjnych akcjach, jak choćby tej koronkowo rozegranej po rzucie wolnym i zakończonej golem Mateusza Skrzypczaka na 4:0.

Jagiellonia była murowaną faworytką w starciu z zespołem gruzińskim i nie zawiodła, choć niefrasobliwość białostockich obrońców w pierwszej połowie mogła kibiców przyprawić o palpitacje. Zlekceważony rywal miał kilka okazji do zdobycia gola, ale je partaczył, aż w końcu Jagiellonię obudził swoimi dryblingami skrzydłowy Jeremy Agbonifo. Najpierw zakręcił obrońcą i bardzo sprytnie „się sfaulował jego nogami" – ospały Jesús Imaz dopiero w drugiej próbie trafił z 11 m (sędzia nakazał powtórzenie karnego, bo czterech Gruzinów wbiegło przed strzałem w pole karne). Potem kapitalnie wbiegł w pole karne i po klepce z kolegą strzelił gola. Ten wynik łatwo już było kontrolować, rywale pękli, w dodatku ich stoper strzelił samobója; wisienką na torcie był cudowny gol Sergia Lozana w okienko.

Mamy zatem dwie ekipy w Lidze Europy, ale do pełni szczęścia brakuje jeszcze choć jednej w fazie grupowej Ligi Konferencji, aby podtrzymać kapitalne, 10. miejsce w klubowym rankingu UEFA (da nam ono za dwa lata upragniony awans do LM bez eliminacji).

Znacznie bliżej tego sukcesu jest Raków Częstochowa po szczęśliwym remisie 2:2 w Splicie. Polacy grali na arenie wypełnionej szczelnie przez najbardziej fanatycznych kibiców chorwackich, którzy zasłynęli niegdyś także z poczucia humoru – polskiego papieża pielgrzymującego do Splitu witał napis: „Hajduk pierwszy. Jan Paweł drugi!". Przed trzema dekadami warszawska Legia odebrała na tym obiekcie lekcję futbolu, przegrywając czterema golami, ale czasy się zmieniły – teraz to Ekstraklasa jest na fali wznoszącej, a Chorwacja jest w trzeciej dziesiątce lig europejskich, przy czym na jej miejsce w rankingu pracuje właściwie wyłącznie Dinamo Zagrzeb. Hajduk najlepsze lata ma

eprasa.pl a4cc490153



W meczu z FC Thun Lech urządził sobie radosny trening strzelecki. Mieli z czego się cieszyć Mateusz Skrzypczak i Radosław Murawski. Poznań, 20 sierpnia 2026 r.

za sobą, ostatnie mistrzostwo kraju zdobył ponad dwie dekady temu, a od 15 lat bezskutecznie dobija się do fazy grupowej jakichkolwiek europejskich rozgrywek.

Raków zaczął sezon w Polsce fatalnie, od trzech porażek, a w dwumeczu ze szwedzkim Hammarby awansował pomimo długich okresów antyfutbolu – zwłaszcza kiedy z przewagą zawodnika rozpaczliwie bronił wyniku w Sztokholmie. Pierwsza połowa w Splicie, w której polski klub radził sobie całkiem dzielnie, odrobił stratę bramkową i był o centymetry od wyrównania (słupek po strzale Michaela Ameyawa), napawała optymizmem. Na początku drugiej odsłony Chorwaci trafili po raz drugi i Raków wydawał się stłamszony – pomógł jednak albański pomocnik Hajduka, który za bandycki faul wyleciał z boiska już w 55. minucie. Tyle że Raków grać w przewadze nie potrafi – długo to Chorwaci byli bliscy podwyższenia wyniku, m.in. gdy kąśliwie uderzył weteran Marko Livaja.

Dopiero w końcówce Lamine Diaby-Fadiga oszukał defensywę rywali – najpierw uderzył głową w poprzeczkę, ale w ostatniej akcji meczu sprytnie znalazł drogę do bramki. Kwestia awansu pozostaje więc otwarta – Hajduk na wyjazdach, pozbawiony szalonego dopingu, gra o klasę gorzej.

W Zabrzu Górnik ponownie postawił się klasowemu rywalowi i znowu niczego nie wskórał. To w poprzedniej rundzie Górnicy zmarnowali realną szansę na awans, gasnąc po godzinie gry z Ferencvárosi i tracąc w końcówce prowadzenie. Przed meczem z obrzydliwie bogatym AS Monaco szanse były już iluzoryczne, tym bardziej po wcześnie i stanowczo zbyt łatwo straconej bramce. Banalna kontra, jedno podanie do szybkiego napastnika, jeden plasowany strzał po ziemi i trzeba było odrabiać straty.

Zabrzanie walczyli dzielnie, zagrali jak równy z równym, zdobyli dwa gole po pięknych akcjach (wreszcie obudzili się napastnicy Erik Prekop i Sondre Liseth), ale trudno było oprzeć się wrażeniu, że Monaco grające na pół gwizdka, bez największych gwiazd w składzie (brakowało choćby Fatiego, Baloguna i Minamina), kontrolowało grę i ani przez chwilę nie było zagrożone stratą punktów.

Zabrze zatem raczej honorowo pożegna się z Europą i pozostaje mieć nadzieję, że tylko na jeden rok, bo ten klub zasługuje na powrót do lat sławy. Fantastycznej, najdonioślejszej akustycznie areny w Polsce nie budowano z myślą o meczach z Wieczystą Kraków czy derbach z Piastem Gliwice. Lukas Podolski jako właściciel zrobi wszystko, żeby Górnik znowu był wielki, także w skali Europy.

W międzyczasie ruszyły topowe ligi europejskie. Po przenosinach Roberta Lewandowskiego za ocean w Hiszpanii ostał nam się niespodziewanie rodzynek w defensywie Deportivo La Coruña. Bright Ede robi błyskawiczną karierę – od rezerw Lubina, przez pierwszy skład Lublina, do debiutu w La Liga w wieku 19 lat. W ubiegły poniedziałek zagrał cały mecz ligowy na środku obrony i zebrał bardzo dobre opinie. I to jest wydarzenie, którego przemilczeć nie wolno. Nasze chłopaki sprzedawane do lig Top 5 odbijają się jak piłki kauczukowe i wracają po sezonie albo dwóch latach cierpliwego czekania na szansę, a Brajcik wchodzi do Primera División bez pukania i rozsiada się na pozycji stopera. Wszystkie pojedynki główkowe wygrane, 10 odbiorów, w tym jeden na połowie rywala, 90-procentowa skuteczność podań – lokalna prasa przywitała jego występ więcej niż ciepło, podkreślając „osobowość i spokój nietypowe dla piłkarza przed dwudziestką".

Lukas Podolski jako właściciel zrobi wszystko, żeby Górnik znowu był wielki, także w skali Europy.

Czy z tej mąki będzie reprezentacyjny chleb, oceniać za wcześnie, ale za naszego jedynaka w Hiszpanii musimy trzymać kciuki. Jak się ogra przeciw Barcelonie i innym Realom, przyjdzie nam bez lęku myśleć o przyszłości obrony narodowej, której jakość na dziś wyznacza w środku nadzwyczaj niepewna para z FC Porto Kiwior-Bednarek. ■

FOT. ŁUKASZ GDAK/EAST NEWS

eprasa.pl a4cc490153

Historia rugby w Siedlcach

Owalna piłka stała się w mieście symbolem sukcesu, jedności i ducha walki

Maciej Belowski

Sport w Siedlcach przez dekady kojarzył się przede wszystkim z piłką nożną. Gdy w mieście pojawili się pierwsi zawodnicy z owalną piłką, działacze innych klubów w lokalnym środowisku sportowym i część urzędników zadawała sobie pytanie, po co nam jakieś rugby. Futbol miał pierwszeństwo i zgarniał pieniądze sponsorów, a „nowa" dyscyplina musiała walczyć o każdy centymetr przestrzeni. Od początku byli jednak w mieście i tacy – w federacji, szkołach, zakładach pracy i ratuszu – którzy widzieli w rugby szansę. Ich decyzje wpłynęły na to, co przyszło później.

Odpowiedź na pytanie, czy rugby było w Siedlcach potrzebne, okazała się konkretna. MKS Pogoń Awenta Siedlce w 2025 r. sięgnął po pierwszy w historii złoty medal Ekstraligi, najwyższej klasy rozgrywkowej w kraju, a rok później obronił tytuł mistrza Polski. Na siedleckie boiska zjeżdżają dziś kadra narodowa i kluby z zagranicy, a przy stadionie w młodzieżowych turniejach rywalizują setki dzieci. Ten sukces nie wziął się znikąd – wykuwał się przez prawie pół wieku – na szkolnych boiskach i w żmudnej pracy u podstaw.

Aby w pełni zrozumieć drogę, jaką przeszły klub i całe siedleckie środowisko rugby, trzeba zacząć od wyjaśnienia, czym właściwie jest ten sport, który przez lata uchodził w Polsce za egzotyczny i skomplikowany.

Legenda Webba Ellisa

Ktoś, kto nigdy wcześniej nie widział meczu rugby, może mieć wrażenie chaosu, obserwując, jak 30 dobrze zbudowanych zawodników toczy nieustanną walkę o jajowatą piłkę. Tymczasem to jedna z najdokładniej opisanych gier świata.

Wszystko zaczęło się od buntu w angielskim miasteczku Rugby. „Legenda Williama Webba Ellisa, któremu przypisuje się pierwsze chwycenie piłki w ręce i pobiegnięcie z nią w kierunku bramki podczas meczu w Rugby School w 1823 r., jest uznana za początek gry w rugby", przypomina oficjalny podręcznik „Przepisy gry: Rugby", wydany przez federację World Rugby (edycja z 2021 r.).

Z tamtego zrywu powstała gra, której klasyczną odmianą jest wariant 15-osobowy, uzupełniany odmianami bardziej dynamicznymi, takimi jak rugby 7-osobowe. Zasada rywalizacji jest prosta (zgodnie z zapisami World Rugby): wygrywa zespół, który zdobędzie więcej punktów, przenosząc piłkę za linię bramkową rywali i dociskając ją do ziemi (przyłożenie za 5 pkt), podwyższając kopem na bramkę po przyłożeniu (2 pkt), trafiając z rzutu karnego lub drop gola (po 3 pkt). To baza, bo oficjalny taryfikator i przepisy World Rugby przewidują znacznie szerszy wachlarz sytuacji punktowych oraz kilkadziesiąt szczegółowych zasad regulujących walkę w kontakcie, formacje młyna czy auty.

Cały ten taktyczny fundament najprościej tłumaczy trener MKS Pogoń Awenta Siedlce Łukasz Nowosz: – Trzeba wszystkim uświadomić, że rugby to jedyny w świecie zespołowy sport walki. Zespołowo walczymy i podejmujemy rywalizację z przeciwnikiem. Celem jest zdobycie punktów poprzez przeniesienie piłki na pole punktowe przeciwnika jak najkrótszą drogą. Piłkę podajemy do tyłu, a zatrzymywać wolno wyłącznie zawodnika z piłką. To takie podstawowe informacje na początek, które są w zupełności wystarczające. Wiele innych rzeczy należy już przekazywać w trakcie samych zawodów, żeby kibice sami mogli naocznie doświadczyć tego, o czym mówimy.

Tę rolę nauczycieli i edukatorów na siedleckim stadionie biorą na siebie m.in. spikerzy, lokalni działacze rugby czy też byli zawodnicy obecni podczas rozgrywek.

Przepisy doprecyzowują, że podawanie do przodu rozumiane jako sytuacja, w której „ramiona zawodnika podającego piłkę poruszają się do przodu", jest uznawane za przewinienie. Do przodu piłkę można wyłącznie nieść albo kopać.

MKS Pogoń Awenta Siedlce w 2025 r. sięgnął po pierwszy złoty medal Ekstraligi, najwyższej klasy rozgrywkowej w kraju, a rok później obronił tytuł mistrza Polski.

W stronę ligowej mapy

Prawdziwa historia tej dyscypliny w Siedlcach rozpoczęła się jesienią 1979 r. To wtedy Henryk Niedziółka, absolwent warszawskiej AWF, były gracz stołecznego AZS oraz Mazovii Mińsk Mazowiecki, trafił jako nauczyciel wychowania fizycznego do Szkoły Podstawowej nr 3 w Siedlcach. W tym samym czasie sekcja w Mińsku przeżywała kryzys. Ówczesny prezes Wojewódzkiej Federacji Sportu Jerzy Matwiejczuk postanowił ratować dyscyplinę w regionie i przenieść ją do Siedlec. Pierwszy trening odbył się 9 września 1979 r.

– Na początku drużyna składała się z uczniów Szkoły Podstawowej nr 3,

eprasa.pl a4cc490153



Zawodnicy z Siedlec świętują zdobycie Mistrzostwa Polski Ekstraliga Rugby 2026.

którzy po prostu musieli przychodzić na treningi, bo trener był nauczycielem i miał u nich autorytet oraz przebicie – wspomina Jacek Wierzbicki, jeden z pierwszych zawodników siedleckiej drużyny rugby, jej kronikarz i autor wielotomowej encyklopedii siedleckiego rugby. – Wtedy nie było takich limitów jak dzisiaj. Wystawiało się chłopaków z siódmych i ósmych klas, a jak przeciwko starszym zagrał 13-latek, nikt nie robił problemu – dodaje Wierzbicki.

Początki rozgrywek, odbywających się pod szyldem Wojewódzkiej Federacji Sportu, były szkołą charakteru. Zgłoszeni poza konkursem Siedlczanie odbierali bolesne lekcje – pierwszy oficjalny mecz z warszawskim AZS w kwietniu 1980 r. zakończył się porażką 3:33, a historyczne pierwsze punkty z rzutu karnego zdobył Krzysztof Gruda. Satysfakcjonujące wyniki przyszły jednak szybciej, niż ktokolwiek przypuszczał. Siedlecka młodzież, wychowana w twardej dyscyplinie, zaczęła w kraju dominować. W 1983 r. przyszedł brązowy medal mistrzostw Polski kadetów, a rok później w Poznaniu juniorzy WFS wywalczyli pierwsze w historii miasta złoto.

Kolejne lata klubu upływały pod zmieniającymi się, zakładowymi i miejskimi, szyldami. Sama WFS Siedlce nie była reprezentacją województwa, ale centralne władze sportowe uznały, że trudno to komukolwiek tłumaczyć, i postawiły twardy warunek: albo zmiana nazwy, albo koniec występów w Ogólnopolskiej Spartakiadzie Młodzieży. Wsparcie zaoferował Marek Sztaba, ówczesny dyrektor Fabryki Narzędzi Skrawających VIS, i w 1986 r. powstał RKS VIS Siedlce. Zakład zapewnił bezcenny wówczas autokar, a trzej zawodnicy zyskali zatrudnienie na fabrycznych etatach.

W okresie transformacji ustrojowej, gdy upadały przemysłowe molochy, sekcję uratowały decyzje podjęte w ratuszu. Pod koniec 1991 r. dzięki prezydentowi Henrykowi Gutowi oraz lokalnemu działaczowi sportowemu Lucjanowi Izdebskiemu dla rugbistów i siatkarzy utworzono Klub Sportowy MOSiR. Rok później zawodnicy weszli w struktury nowo tworzonego Miejskiego Klubu Sportowego Pogoń Siedlce. – Nie obyło się bez oporów, bo środowisko piłkarskie pytało, po co im jakieś rugby – opowiada Jacek Wierzbicki. – Prezydent Gut postawił jednak sprawę jasno: albo wchodzą wszyscy sportowcy, albo nie będzie żadnego klubu. Wsadzili nas do Pogoni i w tej Pogoni zostaliśmy na stałe, podczas gdy sekcje futbolowe z czasem poszły własną, burzliwą drogą.

Nowa złota era

Droga seniorów na sam szczyt była znacznie dłuższa. Juniorzy zdobywali medale, seniorzy wielokrotnie stawali na ligowym podium – po srebra i brązy – ale w Ekstralidze przez lata nie potrafili przełamać mistrzowskiej hegemonii klubów z Trójmiasta, Łodzi czy Sochaczewa. Zmieniły to dopiero ostatnie sezony: przemyślana polityka kadrowa, profesjonalizacja sztabu i powroty wychowanków z zagranicy.

Rugby przez lata zmagało się w Polsce ze stereotypem gry brutalnej i nieczytelnej. W Siedlcach ten mit obalono.

Przełom nadszedł w czerwcu 2025 r. Pogoń pokonała w finale, rozegranym na własnym stadionie, Orlen Orkan Sochaczew 21:9 i po raz pierwszy w historii stanęła na najwyższym stopniu podium Ekstraligi. Sezon 2026 udowodnił, że nie był to zbieg okoliczności. Choć runda jesienna nie należała do idealnych, wiosną Siedlczanie nie oddali już nikomu pola, a 20 czerwca – znów

eprasa.pl a4cc490153

przed własną publicznością – pokonali w finale Energę Ogniwo Sopot 15:13 i obronili tytuł.

Trofeum z 2025 r. okazało się początkiem nowej ery w siedleckim i polskim rugby. – Jako ubiegłoroczny mistrz Polski podchodziliśmy do rozgrywek, stawiając sobie za cel obronę tytułu – podkreśla trener Łukasz Nowosz. – Na pewno były trudne momenty, zwłaszcza runda jesienna nie zakończyła się tak, jak byśmy chcieli, bo przegraliśmy mecz z Orkanem u siebie, zremisowaliśmy w Sopocie. Po raz kolejny pokazaliśmy jednak, że jesteśmy rycerzami wiosny. Wiosna należała do nas. Wygraliśmy wszystkie mecze, weszliśmy do play-offów z pierwszego miejsca i wygraliśmy finał. Nie sztuką jest wygrać mecz, kiedy wszystko układa się idealnie. Prawdziwą siłę drużyny poznaje się po tym, jak reaguje i zwycięża wtedy, gdy sprawy nie idą po naszej myśli.



Juniorzy drużyny rugby WFS Siedlce po zdobyciu mistrzostwa Polski w 1984 r.

Sportowy sukces nie wydarzyłby się bez odpowiedniego planu i dodatkowych działań. Warto podkreślić, że w siedleckim środowisku rugby zmieniało się podejście do widza. Sport ten przez lata zmagał się w Polsce ze stereotypem gry brutalnej i nieczytelnej. W Siedlcach ten mit obalono – przede wszystkim metodyczną pracą i edukacją. Mecze Pogoni przestały być wyłącznie 80-minutowym starciem zawodników – stały się istotnymi imprezami miejskimi.

Podczas pojedynków ligowych stadion tętni życiem. Zapach grillowanych kiełbasek, akcje promocyjne angażujące celebrytów, atrakcje dla najmłodszych i oprawa muzyczna sprawiły, że na trybuny zaczęły przychodzić całe rodziny. Kluczowym elementem stała się właśnie edukacja: trenerzy, byli zawodnicy i spikerzy na bieżąco objaśniają zawiłości przepisów, interpretacje sędziowskie i decyzje taktyczne. – Rugby to skomplikowana gra. Jeżeli człowiek przyjdzie na trybuny i nikt mu nie wytłumaczy, co dzieje się na murawie, to po prostu więcej nie wróci – zauważa Jacek Wierzbicki. – Lata temu wychodziliśmy do widzów, rozmawialiśmy z nimi, tłumaczyliśmy zasady. Dziś to procentuje. Ludzie czują, że są częścią tego spektaklu.

Wierzbickiemu wtóruje trener Nowosz: – Tradycja kibicowania rugby buduje się w Siedlcach z każdym rokiem. Widzimy stały trend wzrostowy. Pokazujemy piękno tej gry i jej wyjątkową kulturę. Rugby uczy szacunku, dyscypliny i poszanowania rywala. Cała boiskowa twardość i agresja zostają na murawie. Po końcowym gwizdku wszyscy podają sobie ręce, rozmawiają i wspólnie spędzają czas. To doskonała lekcja dla całego społeczeństwa.

Przyciągają świat

Dopełnieniem organizacyjnego sukcesu jest infrastruktura, której Siedlcom może pozazdrościć cała Polska. Pełnowymiarowe płyty boisk, zaplecze hotelowe, siłownia i basen sprawiły, że miasto stało się nie tylko domem lokalnych rugbistów, ale także bazą reprezentacji narodowych oraz uznanych klubów z zagranicy. – Żadna drużyna w Polsce nie ma takiego zaplecza jak my – podkreśla Wierzbicki. – Zawodnicy wychodzą z pokoju hotelowego prosto na murawę, mają na miejscu pełne zaplecze regeneracyjne. To przyciąga świat.

Siedleckie boiska gościły już m.in. wielokrotnego mistrza Rumunii, Steauę Bukareszt, która podczas zgrupowania rozegrała tu oficjalny mecz sparingowy z reprezentacją Polski, kobiecą kadrę Hongkongu przygotowującą się do międzynarodowych startów oraz wspomnianą wcześniej seniorską reprezentację Polski w rugby, regularnie szlifującą w Siedlcach formę. Te warunki pozwalają organizować największe w kraju festiwale młodzieżowe – turnieje dzieci i nastolatków pochodzących z całej Polski, podczas których na wydzielonych boiskach rywalizuje jednocześnie po kilkuset młodych adeptów owalnej piłki.

Dzisiejsza Pogoń to nie tylko ligowy dominator, lecz także zespół odważnie spoglądający na arenę międzynarodową – w europejskich rozgrywkach Ascent Rugby Series zmierzy się z czołowymi ekipami z Czech, Holandii, Niemiec czy Belgii. Do siedleckiego klubu dołączają ikony polskiego rugby z wielokrotnym reprezentantem kraju Mateuszem Bartoszkiem na czele, a on sam stanowi trzon kadry narodowej.

– Dla wszystkich zawodników największym honorem musi być gra z orzełkiem na piersi, a dla klubu dumą jest posiadanie reprezentantów – podsumowuje Łukasz Nowosz. – Żeby się rozwijać, musimy stale grać z lepszymi od siebie. Sparingi z mocnymi klubami z zagranicy i występy w pucharach to jedyna droga do podnoszenia poziomu całego polskiego rugby.

Historia siedleckiego rugby to opowieść o tym, jak garstka entuzjastów wbrew modzie i deficytom finansowym zbudowała coś trwałego. Dziś owalna piłka jest wizytówką miasta – symbolem sukcesu, jedności i sportowego ducha walki, które na trwałe wpisały się w DNA regionu.

Maciej Belowski

FOT. ARCHIWUM PRYWATNE JACKA WIERZBICKIEGO/KOLORYZACJA: PAWEŁ PAPLIŃSKI (FOTOELAB.PL), JACEK WIERZBICKI

eprasa.pl a4cc490153



Wieczne odpoczywanie

Wojciech Kuczok

Aktor totalny

„Twój stary znowu umarł” – takiego SMS-a wysłał mi kumpel i tym czarnym wicem zabił mi ćwieka, ale tylko pókim nie zajrzał do sieci, bo tam już wszędzie czarno na białym stało, że Jan Frycz nie żyje.

Kiedy widzę portrety pozbawione koloru, to już się boję – jakbym słyszał muzykę klasyczną w komercyjnej radiostacji – a właściwie to skąd wiadomo, że śmierć jest czarno-biała i nie lubi dyskoteki? Wszak niegdyś ją malowano, jak ciągnie swoje ofiary w hołubce totentanzu. Mój stary znowu umarł – konkretnie stary K., za którego filmową wersję Frycz został z górą dwie dekady temu obsypany nagrodami. Być może tak jest, że jak się pisze rolę pod konkretnego aktora, to jakby się szyło garnitur na miarę – jeśli propozycji nie odrzuci, jak go raz przymierzy i poczuje, że dobrze leży, to już potem zapału nie straci.

Rolę ojca w „Pręgach” Magdy Piekorz pisałem dla Jana Frycza, bo w dość jeszcze młodzieńczej bezczelności uznałem, że w naszym debiutanckim filmie zagrać musi mój ulubiony aktor, zwłaszcza że pisałem historię swojego dzieciństwa, naonczas kamuflowaną jako „antybiografia”. W filmie ostało się ledwie kilka scen przeniesionych bezpośrednio z powieści „Gnój”, ale były to sceny kluczowe, najmocniejsze, jak ta z pejczem i „karą zaległą”, którą ojciec wymierza zaskoczonemu synkowi poniewczasie, a potem jak gdyby nigdy nic pobitemu chłopcu proponuje wspólne oglądnie meczu. Nie chciałem, żeby tę rolę zagrał aktor płasko, jednowymiarowo – stary K. nie był najstraszniejszy wtedy, gdy wściekle garbował mi skórę, ale wtedy, gdy ze skrajną nieporadnością próbował być czułym tatą. Frycz się w tej roli odnalazł i sprawdził perfekcyjnie, nie mnie dociekać, czy przeniósł tam własne problemy w relacjach z rozlicznym potomstwem.

Był aktorem totalnym, kiedy go spotkałem na planie, miałem wrażenie, że nie odkłada roli na bok, że jest w niej całodobowo, także w prywatnych rozmowach, napisałem nawet niedelikatnie w eseju dla miesięcznika „Kino”, że być może „wybitny aktor już tak ma, że nie może przestać grać nawet w sraczu, że oni cierpią na taki zespół maski wrośniętej w twarz”. Żałowałem potem tej nieostrożności, ale takie miałem wrażenie, cóż poradzić – pierwszy raz spotkałem go kilkanaście lat wcześniej w studium aktorskim Doroty Pomykały, gdzie przyszedł gościnnie na zajęcia z dzieciarnią bawiącą się w teatr niby jako Jan Frycz, ale tak naprawdę jako Astrow z „Wujaszka Wani”, którego wtedy próbował. Przejęci, że osobiście poznamy sławnego aktora, szybkośmy spostrzegli, że to się nie wydarzy – Frycz wodził po nas nieobecnym spojrzeniem, jakby szukał Soni i chciał jej wyperswadować miłosne wyznania, bo tyle, co mu pacjent zmarł; nie było Frycza, był Czechow.

Wtedy, jako nastoletnie szczenię, pierwszy raz zobaczyłem z bliska, jak pracuje aktorski geniusz, ale już wtedy byłem nim oczarowany za to, co robił w kinie i teatrze. To był czas pierwszych triumfów schaefferowskiego „Kwartetu”, przedstawienia nadzwyczaj efektownego, w którym czwórka aktorów mistrzowsko błaznuje ku uciesze gawiedzi – dostać się do Teatru STU na pierwsze spektakle było niepodobieństwem, naiwna wiara w wejściówki kazała mi stać w kolejce po wielekroć, zanim się w końcu dopchałem na widownię.

W kinie Frycz był już po swojej pierwszej wybitnej roli głównej w kongenialnej adaptacji „Pożegnania jesieni”, wyreżyserowanej przez Mariusza Trelińskiego. Jego Atanazy Bazakbal od początku miał w sobie przeczucie katastrofy pośród dekadenckiej klaunady wyższych sfer i niespełnionych artystów – aż po tragikomiczny koniec, kiedy przyłapany na zielonej granicy próbuje obłaskawić ruskiego sołdata, recytując „Czudnoje mgnawienie” Puszkina.

Potem, jako studenciak, jeździłem do Krakowa na jego wielkie role w monumentalnych przedstawieniach Krystiana Lupy, z bułhakowowskim Piłatem i Iwanem Karamazowem na czele. Do tych kreacji nawiązał po latach w „Wycince” Bernharda, gdzie przez połowę spektaklu aktorzy wraz z widownią czekali na jego przybycie – wielki aktor grał bowiem wielkiego aktora.

Kolejne pokolenia dostawały nowe powody do zachwytu, Frycz nie potrafił grać na obniżonej nucie, zawsze był wielki, nawet w epizodach i drugich planach filmów błahych. Wnosił swój znak jakości, czasem wręcz kradł film. Największą popularność przyniosła mu rola Daria w serialu Krzysztofa Skoniecznego „Ślepnąc od świateł” – nieobliczalność i psychiczne rozedrganie tego zbira były porażające, w chwilę dokonywał wolt od rozbawionego chama do kipiącego pragnieniem zemsty psychopatycznego mordercy. Dario Frycza unieśmiertelnił w czasach memosfery, a jego „Ale to nie do mnie tak, do mnie nie” jest naszym odpowiednikiem „You talkin’ to me?” Roberta De Niro.

Dwa razy miałem dotąd wrażenie, że odszedł największy z żyjących polskich aktorów, a nasza kultura poniosła stratę niepowetowaną, za każdym razem przedwczesną – tak czułem po śmierci Tadeusza Łomnickiego, potem Zbigniewa Zapasiewicza i teraz właśnie Jana Frycza. ■

eprasa.pl a4cc490153

Między zupą a baklawą

Jogurt grecki czy turecki? Kulinarny konflikt nabiera rozpędu

Marcelina Szumer-Brysz
Korespondencja z Turcji



W ostatnich dniach upalnego lipca temperatura w Turcji jeszcze się podniosła. Podobnie ciśnienie, które po raz kolejny skoczyło Turkom za sprawą Greków.

Portale informacyjne doniosły, że słynny turecki deser znad Morza Czarnego (polane słodkim syropem cienkie ciasto przełożone kremem z semoliny), znany jako laz böreği, jest przez sąsiadów promowany jako tradycyjny grecki specjał galaktoboureko. Greckie gazety publikują go na listach potraw regionalnych z Salonik, tuż obok innych „spornych" słodyczy, takich jak baklawa, künefe, kazandibi i tulumba. „Teraz ukradli jeszcze laz böreği!", denerwują się redaktorzy dziennika „Sözcü". A portal Onedio.com podsumowuje, że oto otworzył się zupełnie nowy rozdział w długotrwałych sporach dotyczących dziedzictwa kulturowego obu krajów.

UNESCO a sprawa flaków

To już kolejna odsłona kulinarnej kłótni. W lutym tureckie gazety donosiły, że Grecy próbują zawłaszczyć tureckie flaki. Saloniccy mistrzowie patsas – zupy z podrobów – złożyli w tamtejszym Ministerstwie Kultury udokumentowany wniosek o wpisanie jej na Listę Niematerialnego Dziedzictwa Kulturowego UNESCO. Zupa miała być wspomniana przez Homera w „Odysei", przepis zaś dopiero przez Grecję i Bizancjum trafić do Imperium Osmańskiego.

Turcy uważają to za wierutne kłamstwo i dowodzą, że patsas to nic innego jak ich słynna işkembe çorbası. Argumenty? Kuchnia oparta na podrobach jest charakterystyczna dla wędrownych ludów Anatolii, a niemuzułmańska ludność Imperium Osmańskiego nauczyła się jej dopiero od Turków. Podróżnik Evliya Çelebi w XVII w. (trudno konkurować z Homerem, ale dobre i to) opisywał stambulskich sprzedawców flaczków i nóżek, dowodząc, że ta kulinarna tradycja liczy co najmniej cztery stulecia. Restauracje z işkembe çorbası już wówczas otwarte były do późnego wieczora, co – zdaniem tureckich publicystów – dowodzi, że „jedzenie flaków stanowiło integralną część życia w mieście".

Nie udały się pomysły wypromowania na świecie marki „jogurt turecki".

Ostatecznie zupa nie znalazła się na tegorocznej liście, a turecka dziennikarka kulinarna Aylin Öney Tan nieco łagodziła ton sporu, zauważając uczciwie, że flaki to przysmak dość rozległego obszaru geograficznego od Europy Środkowej po Bałkany, Anatolię i Bliski Wschód.

Publicystka dziennika „Milliyet" jest jednak w mniejszości. Większość uważa, że Grecy znów chcą coś Turkom ukraść. A fakt, że UNESCO na razie nie będzie się zajmować flaczkami, w ogóle nie rozwiązuje problemu.

Baklawy nie oddamy

Na liście, tym razem tureckiej, znalazło się za to coś innego. O tym, że Ankara wystąpiła o zastrzeżenie słynnego wielowarstwowego deseru z cienkiego ciasta filo, orzechów i słodkiego syropu, w obu krajach nazywanego baklawą, doniósł w mniej oskarżycielskim, ale jednak pełnym niezadowolenia tonie „The Greek Reporter". Publicysta dziennika Tasos

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a4cc490153

Kokkinidis zauważył, że wnioskując do UNICEF, Turcja szykuje się na drugą rundę walki o baklawę. Pierwszą wygrała w 2013 r., wnioskując (skutecznie) do UE o nadanie baklawie z Gaziantepu statusu PGI – Chronionego Oznaczenia Geograficznego. „Ankara jest głęboko przekonana o zwycięstwie, umocniona tym wielkim, dyplomatyczno-kulinarnym sukcesem", czytamy w dzienniku.

Tymczasem, zauważają Grecy, pochodzenie baklawy wcale nie jest jasne. Ich zdaniem deserem zajadali się już Bizantyjczycy, a Osmanowie przejęli go od nich po podboju. Turcy trwają na stanowisku, że współczesną wersję deseru świat zawdzięcza kuchniom imperium, zwłaszcza w czasach panowania Mehmeda Zdobywcy, kiedy to baklawa stała się elementem pałacowych ceremonii. Grecki dziennik zauważa, że choć wpisy na listę UNESCO nie stanową przyznania nikomu wyłącznych praw własności, symboliczna stawka jest ogromna: „Pomyślne rozpatrzenie wniosku może znacząco wpłynąć na rozwój turystyki, wzmocnienie globalnej marki kraju oraz poczucie dumy narodowej".

Ale nie wszystkie dotychczasowe batalie są dla Greków przegrane. Wygrali – co Turcy przyznają niechętnie – marketingową bitwę o jogurt. Ten mleczny produkt niemal na całym świecie znany jest jako „jogurt grecki", podczas gdy nawet jego nazwa wywodzi się z tureckiego yoğurmak – mieszać, ugniatać. Według źródeł, na które powołują się Turcy, jogurt wywodzi się z kultur azjatyckich i mezopotamskich, a jego wytwarzanie i spożywanie przez koczownicze plemiona tureckie są potwierdzone w XI-wiecznych pismach. I choć – zauważają – starożytne greckie eposy też wspominają o podobnym wyrobie, nijak ma się on do tego, co świat poznał jako jogurt grecki. Oxygala, o której mowa, jadana była głównie na słodko.

Tych argumentów nikt jednak nie słucha, i choć w Turcji mówi się po prostu jogurt, na świecie ten produkt znany jest jako jogurt grecki. Pomysły, by wypromować na świecie markę „jogurt turecki", nie udały się. Lokalni producenci nie byli tym zbyt zainteresowani. Zaplanowane konferencje na temat tureckiego pochodzenia jogurtu odwołano. Bo nawet należąca do Turka największa amerykańska marka jogurtów nazywa się Chobani's Greek Yogurt…

Kawa i polityka

Choć w niektórych tureckich gazetach można znaleźć komentarze, że tak naprawdę to wszystko przyjacielska rywalizacja sąsiadów (z których jeden woli nie pamiętać, że był pod panowaniem drugiego), sprawa nie jest taka prosta. Gdyby była, nie mnożyłyby się – nawet w poważnych dziennikach – listy produktów i zwyczajów, które Grecy mieli jakoby ukraść Turkom. Portal Onedio zalicza do nich np. kawę po turecku i dowodzi, że parzony w ten sposób napój dopiero w latach 70., po tureckiej operacji na Cyprze, stał się z powodów politycznych „kawą grecką".

Wygląda na to, że sąsiedzi muszą o coś się spierać.

Kolejny przykład już z innego obszaru to kukiełkowy teatr cieni znany w Turcji jako karagöz, a w Grecji najsłynniejszą postacią tego rodzaju teatru jest Karagiozis. Turcy dowodzą, że teatr pochodzi z czasów sułtana Orhana. Z dokumentu wyemitowanego w 2023 r. przez grecką telewizję Zougla wynika tymczasem, że to pomysł Greków. „Nasze Ministerstwo Kultury ponosi odpowiedzialność za taki stan rzeczy", grzmieli publicyści tureckiej gazety „Yeni Çağri", domagając się działań dyplomatycznych w tej sprawie.

Nie inaczej było kilkanaście lat wcześniej, gdy Grecja wystąpiła do FCI (Międzynarodowa Federacja Ras Zwierząt) o zarejestrowanie pod nazwą *Ellenikos Ichnlatis* psa myśliwskiego, którego Turcy uważają za rodzimą rasę i nazywają zagar. Doğan Kartay, autor książek o tureckich rasach psów, przekonywał wówczas, że psy tropiące rasy zagar zostały przywiezione z Azji Środkowej przez plemiona Oguzów, a Osmanowie zawieźli je do wszystkich krajów, którymi władali. Tak rozprzestrzeniły się po Bałkanach. „Rasa ta jest znana jako dziedzictwo osmańskie w Bułgarii, Rumunii, Serbii, Albanii, Macedonii, Kosowie oraz w Bośni i Hercegowinie". Do dziedzictwa przyznać się nie chcieli jedynie Grecy.

Było, minęło, kto by pamiętał o psach, skoro są nowe problemy?

Najnowszy przykład, który wstrząsnął turecką opinią publiczną dotyczy ludowego tańca zwanego w Turcji zeybek, a w Grecji zeibekiko. W czerwcu w Salonikach odbyło się bowiem bicie rekordu Guinnessa w jednoczesnej liczbie tańczących. W tureckich mediach – tradycyjnych, społecznościowych i naukowych – zaroiło się od publikacji na temat pochodzenia zeybeka, który ma się wywodzić z koczowniczej kultury tureckich wojowników. To rodzaj tańca rytualnego, wykonywanego pierwotnie przed bitwami i polowaniami, stopniowo przekształconego w taniec ludowy.

Turcy przyznają co prawda, że Grecy też znają ten taniec, ale dowodzą, że to zasługa intensywnej wymiany kulturowej i faktu, że po 1923 r. doszło do wymiany ludności, a Grecy wyprowadzający się z Anatolii po prostu zabrali taniec ze sobą. Grecy nie wnikają, po prostu tańczą i – grając Turkom na nosie – biją rekord.

Nawet gdyby i w tej kwestii udało się dogadać, a może i razem potańczyć, wygląda na to, że sąsiedzi muszą o coś się spierać. Na jednym z tureckich instagramowych kont opublikowano właśnie zdjęcie… breloczka z grecką flagą. Przedstawia on muzyka ludowego Markosa Vamvakarisa, ale zdaniem Turków jest… zbyt podobny do ich muzyka Neşeta Ertaşa. Wpis stał się viralem, generując mnóstwo komentarzy na temat zapożyczeń kulturowych. Canan Ertaş, córka muzyka, próbowała łagodzić napięcie: „Markos Vamvakaris jest w Grecji cenionym i uwielbianym artystą. Nie ukradli mi ojca. Mam nadzieję, że ten piękny zbieg okoliczności wyeliminuje uprzedzenia i wzmocni przyjaźń turecko-grecką", napisała na Instagramie. Nie wszyscy jednak wydają się przekonani. ■

eprasa.pl a4cc490153



Preriokur dwuczuby

SAMIEC IDEALNY

Na tokowisku większość samców nie ma szans. Nieliczni zdobywają wszystko

Joan E. Strassmann

Mgła jeszcze się nie podniosła, gdy zobaczyliśmy preriokura dwuczubego (znanego też jako attwateri) i usłyszeliśmy jego melodyjne dudnienie i trajkot. Tupiąc nogami – jakby tańczył w miejscu – ptak nadął żółte worki powietrzne; można by je wziąć za policzki, gdyby nie były tak duże. Zaraz potem, niedaleko, dostrzegliśmy kolejnego, i kolejnego. To były samce, każdy tańczył na swoim maleńkim „podwórku", czekając na decyzję samicy. Czy to jego wybierze? Samice, to trzeba przyznać, były mistrzyniami nonszalanckiego spokoju, krocząc obojętnie wśród samców, zanim wybrały jednego do szybkiej kopulacji. Dla nas wszystkie samce wyglądały podobnie, ale dla samic – nie. Wiele samic wybierało tego samego samca, często tego, którego „podwórko" znajdowało się na niewielkim, z trudem zdobytym skrawku ziemi w centrum tokowiska, czyli miejsca, gdzie samce się gromadzą, by przyciągnąć samice i kopulować z nimi. Na tym kończy się ich „związek" z samicą, bo tokujące samce nie zapewniają żadnej opieki rodzicielskiej.

Tego poranka na tokowisku pasły się krowy, ich chude nogi stanowiły tło dla tańczących samców. Powiedziano nam, że bydło jest potrzebne do utrzymania preriowych traw, ale zastanawiam się, czy nie przyczyniło się do krytycznie zagrożonego statusu attwateri. Na wolności zostało ich tylko ok. 200.

Preriokur dwuczuby to jeden z nielicznych gatunków ptaków, które tworzą tokowiska. (…) W tokach samce zaciekle konkurują o najlepsze miejsca, tak by samice, które odwiedzają areny tylko na krótko, jakby przychodząc na miłosne „zakupy", wybrały właśnie jego. Gdy już dojdzie do kopulacji, samice odlatują budować gniazda gdzie indziej. Mniej niż 100 gatunków ptaków tworzy tokowiska – głównie siewkowate, kuraki, kolibry, bławatnikowate, rajskie ptaki i manakiny – ale toki są tak zagadkowe i barwne, że i tak przyciągają wiele uwagi.

Uważa się, że tokowiska ułatwiają samicom ocenę samców i wybór tego najlepszego. Pojawiają się najczęściej wtedy, gdy pojedyncze samice żerują na ogromnych obszarach, przez co samcom trudno je odszukać. Nie mogą też zmonopolizować ich lub ich zasobów pokarmowych. Samce zbierają się więc w tokowiska w miejscach, gdzie można się spodziewać gniazdujących lub żerujących samic.

Niektórzy badacze uważają toki za biologiczny paradoks, bo samice wybierają tak, jakby miało znaczenie, z którym samcem się łączą, choć dostają od niego wyłącznie plemniki. Gdyby wybierały samca, który daje coś materialnego (zasób, opiekę), ich wybredność byłaby łatwiejsza do zrozumienia. (…) U gatunków tokowiskowych chodzi wyłącznie o to, że samice starannie wybierają ojca swoich nielicznych, cennych jaj (samce mogą wyprodukować dość plemników, by kopulować z wieloma samicami).

Inni sądzą, że paradoksu nie ma – albo przynajmniej że toki mają swój sens. Jak wszyscy, samce różnią się genetycznie, a długie tańczenie na arenie, na której trzeba walczyć o każdy skrawek terytorium, pomaga wyłonić czempionów i odsiać słabeuszy. Samice muszą tylko przyjść na arenę i po kolei kopulować z topowym samcem, nawet jeśli oznacza to czekanie w kolejce.

Na czym więc polega paradoks tokowiska? Na powolnym tempie ewolucji. Jeśli to najlepszy samiec zawsze zdobywa prawo do kopulacji, jego geny będą przekazywane

FOT. SHUTTERSTOCK

eprasa.pl a4cc490153

licznym potomkom. Ostatecznie zniknie zmienność cech istotnych dla wyboru partnera, więc samice nie będą miały podstaw, by uznać jednego samca za „genetycznie lepszego" od innego. (…) Skoro jednak samice widzą różnice, te zapewne faktycznie istnieją. Może jakaś siła podtrzymuje zmienność wśród samców. Na przykład choroby – atakują one najczęstsze genotypy. Pasożyty i patogeny utrzymują zmienność, bo stale ewoluują, by lepiej atakować osobniki z najpowszechniejszymi genotypami. To oznacza, że tożsamość „najlepszych" samców może bez przerwy zmieniać się z pokolenia na pokolenie, gdy niegdyś rzadkie genotypy stają się częstsze i przez to bardziej podatne na infekcje. Ten pomysł to hipoteza Hamiltona-Zuk, od nazwisk jej autorów. (…)

Jednym z najsłynniejszych ptaków tokujących jest preriokur ostrosterny. Po raz pierwszy opisali je Lewis i Clark podczas słynnej wyprawy na zachód w 1805 r., wyruszającej z Saint Louis (Missouri). Wtedy były one pospolite, dziś są klasyfikowane jako *near threatened* (NT, bliskie zagrożenia), bo ich siedliska zostały zniszczone przez wypas bydła, przekształcone pod uprawy albo zabudowane osiedlami. Ostatnio znikają one również przez coraz większe pożary na wschód od Gór Skalistych oraz rozwój wydobycia ropy i gazu. W Wyomingu żyje 40% wszystkich ocalałych osobników tego gatunku.

Preriokur ostrosterny to ptak żyjący na preriach z ich kilkoma gatunkami bylicy krzewiastej i innymi roślinami suchymi, chłodnymi polami poprzecinanymi jarami ciągnącymi się wzdłuż cieków wodnych. Zakłada tokowiska na otwartej przestrzeni, choć blisko gęściej zarośniętych miejsc odpowiednich do gniazdowania. O świcie i zmierzchu samce preriokurów popisują się tam przed samicami. Kroczą dumnie z rozpostartymi ogonami, wypełniają worki przełykowe powietrzem, aż te zaczynają przypominać piersi ssaków – rytmicznie to nadymając je, to opróżniając. Głębokie „mlaśnięcia", które wydaje ich krtań dolna (*syrinx*) przy wypuszczaniu powietrza, słychać z blisko kilometra. (…)

John Scott przeprowadził jedne z najwcześniejszych badań zachowań godowych preriokurów ostrosternych na równinach koło Laramie (Wyoming). Obserwował tam tokowiska, które nazywał „arenami kroczenia". Wchodził do czatowni, która skrywała go przed ptakami, zanim te przyleciały, i pozostawał tam dopóty, dopóki samce nie skończyły swoich popisów, czyli do ok. 8 rano. Samice pojawiały się na tokowisku kilka tygodni po samcach i długo oglądały kandydatów, zanim rzeczywiście wybierały jednego i kopulowały w drugiej połowie kwietnia. Scott obserwował je od połowy marca do połowy czerwca, łącznie co najmniej 15 dni.

Badacz skupił się na dużym tokowisku, 180 m szerokości i 800 m długości. W szczycie sezonu było tam nawet 400 samców. Samice trudniej było policzyć – przychodziły i odchodziły, „robiąc zakupy". Ptaki korzystały rok po roku z tego samego miejsca. (…) Choć tokowisko było ogromne, to do kopulacji dochodziło tylko na czterech niewielkich obszarach – każdy mający zaledwie parę metrów szerokości. Przy tych punktach stale kręciła się grupka kur i dwa koguty: jeden, nazywany przez Scotta *master cock* (samiec dominujący), który maszerował i popisywał się na swoim „podwórku", a drugi, mniej okazały *sub-cock* (samiec podrzędny), czaił się obok. Inne samce trzymały się w bezpiecznej odległości.

Samiec dominujący monopolizował szanse rozrodcze w każdym z miejsc, gdzie odbywały się kopulacje. Scott widział, jak jeden samiec kopulował z 21 kurami jednego wczesnego ranka. Dwa dni później samiec na tej samej arenie – najpewniej ten sam (…) – kopulował z 15 kurami. Inny z 5 samicami w zaledwie 9 minut. Nawet najbardziej żwawe osobniki nie mogły utrzymać tego tempa w nieskończoność i zwalniały w późniejszej części poranka. Scott widział, jak samiec dosiadł 14. samicy danego dnia, ale nie był już w stanie dokończyć aktu (Scott umiał rozpoznać udane kopulacje, bo samice energicznie się po nich otrzepywały i pieczołowicie czyściły pióra – ich odpowiednik wskoczenia pod prysznic, żeby się odświeżyć). Gdy próby kończyły się bez satysfakcjonującego „prysznica", rezydujący samiec podrzędny rzucał się na kurę i zajmował miejsce samca dominującego – za co ten często go atakował. (…)

Kopulacja jest celem toków, więc zastanawiałam się, co dokładnie robią samice po przybyciu. Pierwsze z nich pojawiają się wczesną wiosną w grupkach liczących do pięciu ptaków, ale do jednego centrum może ich jednocześnie zajrzeć setka lub nawet więcej, gdy zaczyna się sezon godowy w połowie kwietnia. Krążą po okolicy, często odwiedzają różne tokowiska i terytoria w obrębie większych tokowisk. Gdy dokonają wyboru i skojarzą się z samcem, odlatują i nie wracają. Ta jedna kopulacja wystarcza do zapłodnienia wszystkich jaj w sezonie – zwykle od sześciu do ośmiu. (…)

Samce preriokurów oferują samicom tylko jedno: swoje geny.

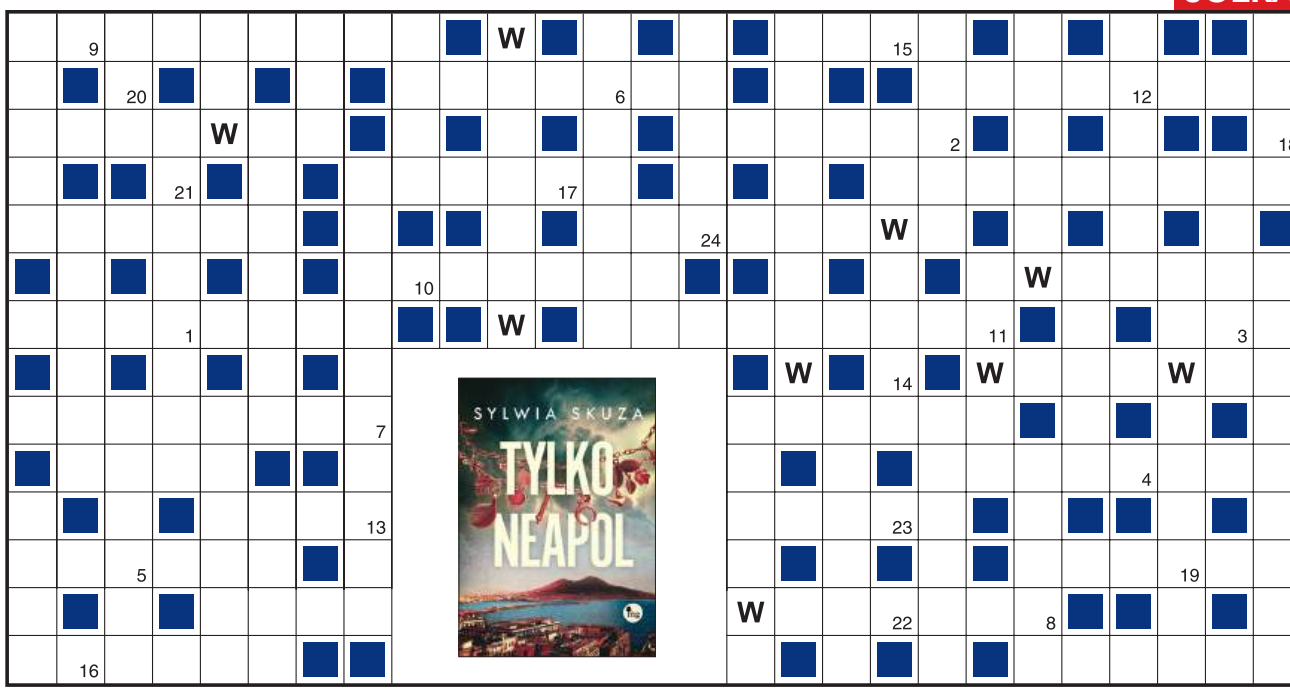
Większość badań preriokura ostrosternego odbywa się na tokowiskach. Ale samce, które tam nie wygrywają, mogą próbować zbliżyć się do samic poza obszarem toków. Katy Semple i zespół postanowili to sprawdzić, śledząc samice z nadajnikami radiowymi i zbierając jaja do testów ojcostwa. Dane genetyczne generalnie zgadzały się z obserwacjami z tokowisk, ale część młodych pochodziło od ojców nieobecnych na żadnym z nich. Rozmnażanie preriokurów jest więc nieco bardziej skomplikowane, niż można wywnioskować tylko z obserwacji toków. Jednak nie da się zaprzeczyć, że samiec prezentujący się w miejscu preferowanym przez samice ma więcej potomków.



Fragmenty książki Joan E. Strassmann *Społeczne życie ptaków*, tłum. Szymon Drobniak, Copernicus Center Press, Kraków 2026

eprasa.pl a4cc490153

JOLKA



1	2	3	4	5	6	7	8	9	10	11	12	13	14	15	16	17	18	19	20	21	22	23	24

Objaśnienia są podane w kolejności alfabetycznej odgadywanych wyrazów. Miejsce wpisu do odgadnięcia. Wszystkie litery W ujawniono. Litery z pól ponumerowanych od 1 do 24 utworzą końcowe hasło.

- tkanina o nazwie od miasta w Syrii
- kamień półszlachetny o barwnych pasmach
- zespół przyrządów, urządzeń
- nieraz w herbacie trunek o anyżowym aromacie
- Oviedo jej stolicą
- Józef, hodowca gołębi z „Alternatywy 4”
- potężne drzewo afrykańskie
- z niego skwarki
- stolica z siedzibami instytucji UE
- z zachwytu, z dezaprobatą lub w policzek
- pozyskanie mleka z wymion krów, kóz
- bibliofilski znak własności
- poetycki utwór miłosny
- imię żony Éluarda, potem Dalego
- jeden z pierwszych opisanych dinozaurów
- w poezji antycznej akcent metryczny
- za wcześnie myślał o niedzieli
- papuga z czubem
- elektroniczne urządzenie do obliczeń matematycznych
- pospolicie o jelicie
- w tym filmie Gajos arcybiskupem
- białe… – gdy prawda byłaby przykra
- podrzędna, ale jeszcze nie speluna
- „…Bezimienna” Antoniny Domańskiej
- Amal Clooney z pochodzenia
- czart, który nie śpi
- bez niego i składu – nieporządnie
- wskrzeszony brat Marii i Marty
- najdłuższa cieśnina na świecie
- zdradna, co spokój zabrała, w piosence Mazowsza
- mroczny nurt w kinie i powieści kryminalnej
- ciemna faza Księżyca
- pasza dla koni
- pawie… – motyl i gupik
- japońska figurka z papieru
- do zdjęcia kapsla potrzebny
- jasnozielony nalot na miedzi
- nożna, lekarska albo krótka
- Chlestakow został za niego wzięty
- …krwi – wielu rannych i zabitych w walce
- brak go w bzdurze
- i krasnoludek, i małe dziecko
- zielony miejski placyk
- przedstawienie na scenie
- …z natury – remanent
- ślubna, wieczorowa lub balowa
- Ewa, biegaczka medalistka
- „…miękkie” Zyty Rudzkiej
- na torowisku lub wodny
- rodzaj jak podejrzany facet
- mini je odsłania
- struktura tektoniczna i szybki ruch obronny
- i pokrywka, i część kory mózgu
- Gołas, Ochman lub Myśliwski
- ćwiczenie muzyczne, wokalne, literackie
- stamtąd klub Górnik
- marynata
- łagodne z oślą łączką
- imię Sośnickiej
- Kanał… Stanowskiego

KUPON JOLKI „Przeglądu”

hasło: .....

.....

imię i nazwisko: .....

.....

adres: .....

.....

Ja, niżej podpisany(a), wyrażam zgodę na przetwarzanie moich danych osobowych przez Fundację Oratio Recta z siedzibą w Warszawie, ul. Inżynierska 3 lok. 7, 03-410 Warszawa, w celu niezbędnym do rozwiązania jolki w „Przeglądzie”, opublikowania moich danych osobowych na łamach tygodnika w razie wygranej i przesłania mi nagrody. Oświadczam, że zostałem(am) poinformowany(a) o dobrowolności podania danych osobowych, o prawie wglądu do moich danych, prawie do ich poprawiania i usuwania.

data, miejscowość .....

czytelny podpis .....

Rozwiązania samego szyfru prosimy nadsyłać na adres redakcji w ciągu 14 dni od daty ukazania się numeru, z dopiskiem: „JOLKA-1288”. Do rozlosowania książki „Tylko Neapol” ufundowane przez Wydawnictwo MG. Rozwiązanie można też wysłać, pisząc SMS: KRPRZ.XXX.HASŁO KRZYŻÓWKI. Należy stosować litery, cyfry i kropki, wielkość liter nie ma znaczenia, w miejsce XXX wpisać numer krzyżówki. Osoby nadsyłające rozwiązania wyrażają tym samym zgodę na przetwarzanie ich danych osobowych. SMS-y należy wysyłać pod numer 72550 (płatny 2,46 PLN + VAT) do 30 sierpnia 2026 r.

Rozwiązanie „JOLKI-1285” z nr. 32: *Nie ma życia bez przyjaźni.*
Nagrody otrzymują: Aldona Biernat z Warszawy, Bogdan Kaźmierski z Karbowa, Barbara Radwańska-Czop z Bytomia.

eprasa.pl a4cc490153

Dyplomacja pod psem

MSZ już dawno by zapomniało o Bognie Janke, gdyby nie przypomniała się sama. Po pierwsze, założyła ministerstwu sprawę w sądzie i żąda 100 tys. zł odszkodowania za to, że wycofano ją do kraju ze stanowiska ambasadora w Brazylii. Po drugie, opisała los „wygnanej ambasadorki" w portalu Onet, użalając się i ciskając gromy na MSZ.

„31 lipca 2024 r. otrzymałam z MSZ polecenie powrotu do Polski – pisała. – Nowe kierownictwo MSZ nakazało mi powrót z dnia na dzień. Nie mogłam zrobić tego w wyznaczonym terminie ze względu na obowiązujące przepisy sanitarne Unii Europejskiej dotyczące powrotu zwierzęcia z Brazylii. Pies, który przyjechał ze mną na placówkę, musiał przejść przewidzianą prawem procedurę, obejmującą badanie i okres oczekiwania. Nie była to kwestia mojej wygody ani uznaniowa decyzja, lecz formalny wymóg. Istotą tej historii nie jest jednak pies. Istotą jest reakcja państwa na obiektywną przeszkodę prawną. Zamiast ustalić bezpieczny i zgodny z prawem sposób zakończenia mojego pobytu, pozbawiono mnie służbowego mieszkania i samochodu. Przestałam otrzymywać świadczenia związane z pobytem na placówce. Musiałam sama wynająć mieszkanie, zapewnić sobie transport oraz opłacić ubezpieczenie medyczne. Dla polskiego MSZ z dnia na dzień stałam się osobą prywatną".

Można się wzruszyć tym nieszczęściem i nieludzkim postępowaniem ministerstwa, ale… Do skarg pani Janke odniósł się rzecznik resortu. I przypomniał, że już 13 marca 2024 r. została oficjalnie, na piśmie, poinformowana, że planowane jest zakończenie jej misji. 22 kwietnia otrzymała informację, że do prezydenta trafił wniosek o odwołanie jej z funkcji ambasadora, a misję w Brazylii zakończy 31 lipca. Miała więc ponad trzy miesiące na uporządkowanie spraw, licząc zaś od pierwszej informacji – nawet cztery i pół miesiąca.

Gdy wskazany termin powrotu minął, MSZ zezwoliło na bezpłatne mieszkanie w rezydencji przez dodatkowy miesiąc, do końca sierpnia, i opłaciło bilety lotnicze w wybranym przez panią Janke terminie, 29 sierpnia. Ale dziewięć dni przed upływem tego dodatkowego terminu Bogna Janke poinformowała MSZ, że zostanie jednak w Brazylii do końca października, właśnie ze względu na psa.

Tu już pogrywanie z państwem polskim pani Janke się nie udało. Rzuciła się więc opowiadać na prawo i lewo o swoim nieszczęściu.

Opowiadając o bezduszności ministra Sikorskiego, Bogna Janke przekracza wszelkie granice przyzwoitości, ale czy to może dziwić? W normalnym państwie nigdy nie zostałaby ambasadorem. Nie miała do tego żadnych kwalifikacji – nie przepracowała wcześniej w MSZ nawet 15 minut, nie zajmowała się nigdy polityką zagraniczną. Za to pracowała w kancelarii prezydenta Dudy jako sekretarz stanu odpowiedzialna za Biuro Dialogu i Korespondencji. I raz była w delegacji wiozącej pomoc na Ukrainę… A wcześniej kierowała portalem Salon24 i pracowała jako dziennikarka. Jej wyjazd do Brazylii miesiąc przed wyborami w 2023 r. był zwykłą partyjną nominacją. I de facto był obraźliwy wobec Brazylii – bo Polska przysyła dyletanta.

Tak to jest, gdy partyjniactwo wpycha się do dyplomacji. I gdy wysyła się za granicę byle kogo.

Attaché



Uroczystość poświęcenia figury Matki Bożej Miłosiernej w Konotopiu. Fundatorami monumentu uznanego za najwyższy w Europie (55,6 m) są Grażyna i Roman Karkosikowie. 15 sierpnia 2026 r.

FOT. JUSTYNA ROJEK/EAST NEWS

eprasa.pl a4cc490153







PENETRACJE

ANDRZEJ ZANIEWSKI,
PROZAIK I POETA

Niekorzystnie na promocję wartościowych dzieł literackich wpływa jakość krytyki literackiej. Nie wspominam już o tym, że na pozycjonowanie książki oddziałują opinie różnych portali, niewiele mających wspólnego z przemyślaną analizą utworów. Nawet ludzie zawodowo parający się krytyką literacką czytają niewiele i nie zauważają zdarzeń literackich godnych polecenia. Krytycy z reguły piszą o książkach autorów już znanych i uznanych, niejako literacko konsekrowanych.

PIOTR PUSTELNIK,
PREZES POLSKIEGO ZWIĄZKU ALPINIZMU

Na szczęście, gdy biznes wysokogórski kwitnie, sport alpinistyczny przeżywa własną rewolucję. Cichą, ale głęboką. Przygotowanie atletyczne alpinistów wyczynowych zmieniło się nie do poznania. Dawni mistrzowie himalaizmu byli twardzielami, jednak niestroniącymi od kobiet, alkoholu i śpiewu, żyjącymi na granicy możliwości fizycznych dzięki intuicji i zahartowaniu. Dziś elita wspinania to sportowcy z planami treningowymi rodem z kolarstwa wytrzymałościowego, z monitorowaniem VO2max, z precyzyjnie zarządzaną suplementacją i cyklami regeneracji. Czy stronią od kobiet, alkoholu i śpiewu? Tego nie wiem. Ale znacie może środowiskową imprezę „La Jura Jura”? Nie? A to szkoda.

ELISE BLANCHARD,
LAUREATKA KONKURSU WORLD PRESS PHOTO

Podejście Afganek do zdjęć różni się w zależności od tego, z jakiego regionu i z jakiej rodziny pochodzą. Dajkondi to jedna z najbardziej liberalnych prowincji w Afganistanie, gdzie mieszkają Hazarowie. Grupa etniczna, która akurat w kwestii robienia zdjęć jest dość otwarta. Żadna z moich bohaterek nie chciała zakrywać twarzy do zdjęcia, choć czasem sama im to proponowałam. Najwyraźniej uznały, że niewiele ryzykują. Mówimy w końcu o temacie, który nie uderza w żaden sposób w talibów, tylko w amerykański rząd. To on odciął Afgańczyków od pomocy humanitarnej.

EWA JUSZKIEWICZ,
MALARKA

To rodzaj surrealistycznej gry z historią portretu. Z jednej strony zakrywam twarz, ale z drugiej, właśnie przez ten gest, próbuję odkryć coś więcej. W wielu portretach z tamtego okresu twarze kobiet były podobne, podporządkowane określonym schematom, przez co często same stawały się pewnego rodzaju maską. Przesuwam więc uwagę na inne elementy, takie jak tkaniny, włosy, kwiaty, które mogą stać się nośnikami emocji, witalności i indywidualności. Ukrywając, staram się jednocześnie odsłonić to, czego sama twarz często nie była w stanie wyrazić.

FOT. AMEM, SEKCJA GIMNASTYCZNA, POLSKA ORKA POLITYCZNA

eprasa.pl a4cc490153

UWAGA, BYK!

Poprawa byków w tekstach krzyżówek to duże wyzwanie dla korektorów.
Oto objaśnienia przed korektą, z błędnym słowem. Popraw błąd, a następnie odgadnij hasło.



						B

* włókno z kokosów

	W					

* człowiek kuty na cztery buty

				Z			

* różni się od dnia poprzedniego

ROZWIĄZANIA: JEDWAB, CWANIAK, NIEDZIELA



Aby język giętki…

PROF. JAROSŁAW FLIS
O GRANICACH OKRĘGÓW WYBORCZYCH

Od dawna nie odzwierciedlają zmian demograficznych i wypaczają ostateczny wynik wyborczy.

PROF. RAFAŁ CHWEDORUK O PREZYDENTURZE

Powszechne wybory prezydenckie są w Polsce najzwyczajniej w świecie bez sensu.

PROF. WOJCIECH SADURSKI
O BOGDANIE ŚWIĘCZKOWSKIM

Jak długo można zaciskać zęby i znosić coraz bardziej szalone brewerie prezesa uzurpatora?

PROF. ANDRZEJ PILC
O KURACJI POLITYKÓW

Mam taką teorię, że każdy, kto chce kandydować do parlamentu, powinien przejść obowiązkową kurację psychodelikami.

KRZYSZTOF VARGA O PISARZACH

Pisarzy jest za dużo, za dużo jest powieści, za dużo premier książkowych, a z tego wszystkiego może co 20. książka warta jest lektury.

TOMASZ KONIECZNY
O ZAWODZIE ŚPIEWAKA OPEROWEGO

Nie ma drugiego gatunku sztuki, który na scenie tak obnażałby człowieka…

EWA KASPRZYK O POCZUCIU HUMORU

Bez poczucia humoru, także na własny temat, nie przetrwałabym w tym zawodzie.

WERONIKA ROSATI O CÓRCE ELIZABETH

Jest megaracjonalna, jak mój tata. Oboje lubią porządek. Wszystko muszą mieć zorganizowane, poukładane, logicznie ogarnięte.

ADRES REDAKCJI
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
Telefony +48 22 635 84 10,
+48 503 158 795, 503 159 027
fax +48 22 635 84 10 wew. 119
przeglad@tygodnikprzeglad.pl
listy@tygodnikprzeglad.pl

tygodnikprzeglad.pl

Redaktor naczelny: Jerzy Domański j.domanski@tygodnikprzeglad.pl
Pierwszy zastępca redaktora naczelnego: Paweł Dybicz
Zastępcy redaktora naczelnego: Roman Kurkiewicz, Robert Walenciak
Sekretarze redakcji:
Agata Gogołkiewicz a.gogolkiewicz@tygodnikprzeglad.pl
Marzena Michałek m.michalek@tygodnikprzeglad.pl
Zastępca sekretarza redakcji: Aleksandra Pańko
Koordynator do spraw wydawniczych: Ilona Morżoł i.morzol@tygodnikprzeglad.pl
ZESPÓŁ I WSPÓŁPRACOWNICY:
Marek Czarkowski, Regina Dachówna, Jakub Dymek, Beata Dżon-Ozimek, Jakub Katulski, Leszek Konarski, Marek Książek, Helena Leman, Mateusz Mazzini, Tomasz Miłkowski, Jan Ordyński, Jacek Pałkiewicz, Rafał Pikuła, Maciej Polkowski, Eliza Sarnacka-Mahoney, Michał Sobczyk, Małgorzata Szczepańska-Piszcz, Bronisław Tumiłowicz, Krzysztof Wasilewski, Kornel Wawrzyniak, Andrzej Werblan, Elżbieta Wojtalik-Soroczyńska, Daniel Wójtowicz, Artur Zaborski, Beata Znamirowska-Soczawa
Stali felietoniści: Jerzy Bralczyk, Stanisław Filipowicz, Tomasz Jastrun, Wojciech Kuczok, Bronisław Łagowski, Andrzej Romanowski, Andrzej Szahaj, Jan Widacki
Rysownicy: Grzegorz Bąkowski, Kain May
Studio graficzne: Dorota Markowska-Burbelka, Anna Rosiak, Daria Słowińska-Kettner
Dyrektor artystyczny: Izabela Mierzejewska
Fotoedytorzy: Magdalena Głuska, Rafał Pyznar
Fotoreporter: Krzysztof Żuczkowski
Dział wydawnictw i reklamy:
Dyrektor: Anna Banaszek a.banaszek@tygodnikprzeglad.pl
Koordynator do spraw promocji i reklamy:
Joanna Biegalska j.biegalska@tygodnikprzeglad.pl
Dział kolportażu: tel. +48 22 635 84 10 wew. 120
e-mail: kolportaz@tygodnikprzeglad.pl
Wydawnictwa książkowe: tel. +48 22 635 84 10 wew. 111
e-mail: sklep@tygodnikprzeglad.pl
Sprzedaż elektroniczna: sklep.tygodnikprzeglad.pl

Redakcja nie zwraca materiałów niezamówionych, zastrzega sobie prawo do opracowywania i skracania tekstów. Za treść ogłoszeń redakcja nie odpowiada. Redakcja ma prawo do odmowy publikacji ogłoszeń.

Wszelkie prawa zastrzeżone. Rozpowszechnianie artykułów opublikowanych w „Przeglądzie" bez zgody wydawcy jest zabronione. Przedruki po uzyskaniu zgody wydawcy.
Sprzedaż numerów aktualnych i archiwalnych po cenie niższej od ustalonej przez wydawcę jest nielegalna i grozi odpowiedzialnością karną.

Druk: P/mint Sp. z o.o.
07-200 Wyszków, ul. Pułtuska 120

WYDAWCA: Fundacja Oratio Recta
03-410 Warszawa, ul. Inżynierska 3 lok. 7
NIP: 951-19-67-251, **REGON:** 016275090
KOD SWIFT: WBKPPLPP, **IBAN:** PL
Nr konta: 72 1090 2851 0000 0001 2023 9821

eprasa.pl a4cc490153

Damian Bonk
Knightfall





„Czy obrazy mają szansę stać się malarską definicją rzeczywistości?", pyta Damian Bonk, absolwent krakowskiej ASP, którego najnowszy cykl „Knightfall" podejmuje temat granic poznania, kryzysu wartości i doświadczenia upadku. W centrum cyklu znajduje się powalony jeździec – figura bohatera pozbawionego dawnej pewności i celu. Jego upadek oznacza jednak nie koniec, ale moment zmiany perspektywy. Prace, bez tytułów, odznaczają się dramaturgią światła, ciszą i niedopowiedzeniem. Nie tworzą linearnej opowieści, lecz zapraszają do uważnego patrzenia i własnej interpretacji.

Czarna Galeria CENTRUM
Kraków, Aleja Jana Pawła II 232
2-23 września
wernisaż 4 września, godz. 18





FOT. MATERIAŁY PRASOWE

eprasa.pl a4cc490153

unicef | dla każdego dziecka

PASTA TERAPEUTYCZNA

Życie w każdej porcji

unicef.pl/pst

witaminy A, B, C, E

kwas foliowy

proteiny

tłuszcze

wapń

żelazo



© UNICEF/UNI963131/Azizullah Karimi

URATUJ DZIECKO PRZED GŁODEM

KOSZT SASZETKI TO TYLKO 1,40 ZŁ

eprasa.pl a4cc490153

TEATR CAPITOL

PREMIERA
WRZESIEŃ 2026



AUTOR
ROBIN HAWDON

LEWE INTERESY

REŻYSERIA
JERZY BOŃCZAK

PRZEKŁAD
ELŻBIETA WOŹNIAK

TOMASZ DEDEK · ARKADIUSZ DETMER · MAGDALENA DWURZYŃSKA · PIOTR JANUSZ · JUSTYNA JELEŃ · SEBASTIAN KONRAD · MIKOŁAJ KRAWCZYK · PAULINA LASOTA · JACEK LENARTOWICZ · OLGA ŁASAK · BARTOSZ OBUCHOWICZ · BŁAŻEJ STENCEL · MARCIN WILEWSKI · PIOTR ZELT

• KUP BILET TEATR CAPITOL • www.teatrcapitol.pl

Patroni Medialni

Partnerzy Teatru

TEATR CAPITOL, ul. Marszałkowska 115, 00-102 Warszawa, tel. 22 620 21 42, www.teatrcapitol.pl

eprasa.pl a4cc490153